

PREMIER
MATEUSZ MORAWIECKI
CZŁOWIEKIEM WOLNOŚCI 2019

„SIECI" – NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZY TYGODNIK W POLSCE



BRUTALNA KAMPANIA KIDAWY-BŁOŃSKIEJ



AMERYKAŃSKO-ROSYJSKIE SIŁOWANIE SIĘ O BIAŁORUŚ



SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 7 (376) 2020
10–16 lutego 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

NASZ TEMAT

ATAKUJĄ POLSKĘ, BO ROŚNIE W SIŁĘ

CORAZ SILNIEJSZA GOSPODARKA, CORAZ MOCNIEJSZA ARMIA, CORAZ WIĘKSZE ZNACZENIE NA MAPIE EUROPY. **POLSKA SIĘ ROZPYCHA I MA AMBICJE.** TO POWODUJE KONTRAKCJĘ. CZY WYTRZYMAMY?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

CYFROWY POLSAT

MASZ INTERNET OD DOWOLNEGO DOSTAWCY?

MAMY DLA CIEBIE TV INTERNETOWĄ!



OTT

Na start ponad 100 kanałów 3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

Włączaj pakiety, kiedy chcesz i płać tylko za te programy, które wybrałeś
Oglądaj wybrane programy nawet do 7 dni wstecz

Usługa wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s na jeden dekoder. Oferta telewizji internetowej dla nowych Klientów przy umowach pisemnych z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe, z opłatą podstawową 10 zł/mies., nieuwzględniającą opłat za dokupywane przez Klienta pakiety i usługi. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty 1 zł za aktywację dekodera oraz opłat za dostęp do internetu. Szczegóły w Regulaminie Promocji i „Regulaminie świadczenia usług telewizji internetowej", dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.
Serie A TIM w ELEVEN SPORTS. Fot. Getty Images. „Carter 2" © 2019 Sony Pictures Television Inc. Wszystkie prawa zastrzeżone.

Ze smutkiem obserwuję polskich opozycjonistów w Parlamencie Europejskim



Goran Andrijanić

Nawet ja, Chorwat, ze zdziwieniem, smutkiem i niepokojem obserwowałem relację ze spotkania w Parlamencie Europejskim, kiedy opozycyjni europosłowie i intelektualiści nalegali, aby ich podobnie myślący koledzy z innych krajów wywarli presję na legalny, demokratycznie wybrany, rząd w Polsce. Mogę się tylko domyślać, jak czuli się Polacy.

Byłem zaskoczony tym, do czego jest zdolna totalna opozycja, aby powrócić do władzy w Polsce. Szokuje mnie gotowość do wykorzystania każdej możliwej metody dla własnej korzyści politycznej (oczywiście ukrytej pod maską troski o demokrację). Poszukiwanie sojusznika poza własnym krajem dla wzniecania konfliktów wśród własnych obywateli na dłuższą metę nie może sprzyjać dobru Polski.

Zadziwiające było dla mnie obserwować, jak politycy z innych krajów są gotowi mieszać się w wewnętrzne sprawy nie swoich państw. Hiszpański socjalista Juan Fernando López Aguilar był w tak rewolucyjnym nastroju, że zaofiarował swoją pomoc w obaleniu polskiego rządu, do tego stopnia, że Radosław Sikorski musiał go uspokajać, zwracając mu uwagę na włączone kamery.

Smutno było patrzeć na polskich polityków z układu III RP, jak źle mówią o swojej ojczyźnie.

Pochodzę z kraju, którego wolność wiele kosztowała. W Chorwacji jest nie do pomyślenia, aby poważni politycy, nawet ci lewicowi, podczas tak oficjalnych spotkań wypowiadali się w tak negatywny sposób o demokratycznie wybranym rządzie swojej ojczyzny. Tak jest teraz, nie wiem, jak będzie w przyszłości.

Naiwnie myślałem, że jest tak też w Polsce, w kraju, który również zapłacił ogromną cenę za swoją wolność i niezależność. A potem zobaczyłem Wojciecha Sadurskiego, który namawia europejskie elity do dalszej presji na Warszawę, bezwstydnie obrażając przy tym polski rząd.

Ale też bardzo niepokojący wydał mi się całościowy obraz Unii Europejskiej oraz sposób, w jaki dziś funkcjonuje i dokąd zmierza. To nie jest dobry kierunek, ponieważ system polityczny, który daje politykowi z Hiszpanii, o którym nic nie wiem i któremu nie przyznałem żadnej legitymacji wyborczej, tak wielką władzę w najważniejszych kwestiach, które dotyczą mnie jako obywatela Chorwacji (piszę teoretyczne), nie ma dobrej przyszłości. Chodzi o system, który wykorzystuje część danej mu suwerenności narodowej do gier politycznych. W tej perspektywie bitwa, którą prowadzi teraz PiS w kwestii reformy wymiaru sprawiedliwości, jest walką, która powinna interesować każdego obywatela UE, mającego inną wizję suwerenności niż ta, która dominuje w brukselskiej biurokracji. Jeśli ta bitwa zostanie przegrana z powodu nacisków z Brukseli, jutro wszystkim nam będzie trudniej walczyć o swoje sprawy.

Na końcu zwracam uwagę, że nie chodzi o zajęcie takiego lub innego stanowiska w bardzo trudnej kwestii dotyczącej reformy sądownictwa w Polsce. Chodzi o coś innego. O wagę ochrony zasady, według której prawo do decydowania o tak ważnych sprawach mają mieć ci, których one najbardziej dotyczą, czyli polscy obywatele.

„Sieci" najbardziej opiniotwórczym tygodnikiem w Polsce

Według danych zebranych przez Instytut Monitorowania Mediów pismo „Sieci" zajęło pierwsze miejsce w kategorii najbardziej opiniotwórczych tygodników. W 2019 r. inne media powoływały się na „Sieci" 3933 razy. Natomiast wPolityce.pl uplasowało się na trzecim miejscu wśród najbardziej opiniotwórczych portali.

SIECI	3933
WPROST	3424
NEWSWEEK	2657
DO RZECZY	2141
POLITYKA	1902



Reklama | 57/1219/F

eprasa.pl 4380405d25

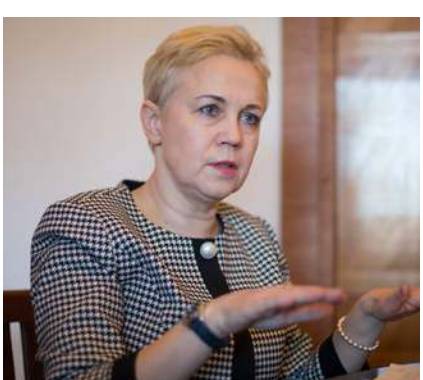
SIECI spis treści



42 *Jeszcze Polska nie zniknęła*
Konrad Kołodziejski



50 Dzieci pod presją
Dorota Łosiewicz



80 Z Beatą Daszyńską-Muzyczką, prezes BGK, *rozmawia Jacek Karnowski*

TEMAT TYGODNIA

6 **ATAKUJĄ POLSKĘ, BO SIĘ ROZPYCHA**
Michał Karnowski

8 **PREMIER MATEUSZ MORAWIECKI CZŁOWIEKIEM WOLNOŚCI 2019 TYGODNIKA „SIECI”**
Relacja z uroczystej gali

10 **STRAŻNIK ETOSU REPUBLIKAŃSKIEGO**
Laudacja Bronisława Wildsteina

NA POCZĄTEK

14 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

16 **AKTOR JĄDROWY**
Krzysztof Feusette

17 **KROK W TYŁ**
Dorota Łosiewicz

18 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

20 **PERSONALIA I ANOMALIA**
Jan Pietrzak

22 **NOBEL DLA OPANI**
Bronisław Wildstein

23 **SANKTUARIUM WOLNOŚCI PONAD PODZIAŁAMI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

24 **WALIZKA JAROSŁAWA KRETA**
Michał Korsun

25 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

26 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

KRAJ

28 **BRUDZENIE KAMPANII**
Stanisław Janecki

31 **Z LIDIĄ STAROŃ**
rozmawia Edyta Hołdyńska

35 **IMPAS, KTÓRY SIĘ POGŁĘBIA**
Jan Rokita

38 **SPUTNIK, CZYLI ŚWIAT CYRYLICĄ PISANY**
Piotr Gontarczyk

42 **JESZCZE POLSKA NIE ZNIKNĘŁA**
Konrad Kołodziejski

45 **Z MARKIEM KOCHANEM**
rozmawia Marcin Fijołek

48 **FRANCISZEK I JAN PAWEŁ II: PODOBNI I RÓŻNI**
Grzegorz Górny

50 **DZIECI POD PRESJĄ**
Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

53 **Z JANEM HRYNIAKIEM**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

56 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

57 **UROK ROMANTYCZNEJ PIEŚNI**
Adam Ciesielski

58 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

60 **POLECA**
Łukasz Adamski

OPINIE

62 **KOGO BOLI F-35?**
Konrad Kołodziejski

66 **CZEGO TURSKI NIE POWIEDZIAŁ**
Jakub Augustyn Maciejewski

68 **O JAK OPERACJA „POLSKIE ZBRODNIE”**
Hanna Karp

HISTORIA

70 **Z MARCINEM MICHALSKIM**
rozmawia Jolanta Sowińska-Gogacz

ŚWIAT

74 **PODBITE TERYTORIA**
Aleksandra Rybińska

77 **AMERYKAŃSKO-ROSYJSKA RYWALIZACJA O BIAŁORUŚ**
Marek Budzisz

GOSPODARKA

80 **Z BEATĄ DASZYŃSKĄ-MUZYCZKĄ**
rozmawia Jacek Karnowski

KUCHNIA

86 **MOJE SZLAKI: FRIDA KAHLO**
Jolanta Gajda-Zadworna

87 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

88 **NASZA FLOTA**
Wojciech Reszczyński

89 **PRZEŁOM W WALCE O SĄDOWNICTWO**
Jerzy Jachowicz

90 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

91 **PYTAM: DLACZEGO?**
Katarzyna Łaniewska

92 **WROŃSKI POWINIEN PRZEPROSIĆ**
Aleksander Nalaskowski

93 **JOKER HOŁOWNIA**
Wiktor Świetlik

94 **SKUTECZNOŚĆ I SIŁA**
Alina Czerniakowska

96 **EFEKT PRZEŁOMU**
Ryszard Makowski

97 **O STAROŚCI... NA PROGU NOWEGO ROKU CHWILKA**
Leszek Długosz

98 **TECHNOCIASNOTA?**
Andrzej Zybertowicz

Reklama | 33/0120/F

eprasa.pl 4380405d25



MECENAS FILMU

Podlaskie

PATRON HONOROWY FILMU

BOCIAN POŻYCZKI

PATRONI MEDIALNI

FILMWEB SUPER express TeleTydzień VOX WP wprost

eprasa.pl 4380405d25

Atakują Polskę, bo się rozpycha

Za nasilającymi się atakami na Polskę kryje się świadomość konkurentów i przeciwników, że jeszcze kilka lat takiego rozwoju i znajdziemy się w europejskiej ekstraklasie





MICHAŁ KARNOWSKI

W środę 23 stycznia w Polsce opozycja na chwilę zajęła się swoimi sprawami, bo trwały wybory na szefa Platformy Obywatelskiej. Ale w największych mediach komercyjnych w najlepsze, jak co dzień od niemal pięciu lat, grano spektakl ponurych przepowiedni. Przegląd mediów z tego dnia przypomina nekrolog: świat nas potępia za reformy sądownictwa, Bruksela traci cierpliwość, a w kraju same złe trendy.

W tym samym dniu premier Mateusz Morawiecki spotykał się na Światowym Forum Ekonomicznym w szwajcarskim Davos z najważniejszymi ludźmi polityki i gospodarki. Wielu z nich zabiegało o spotkanie. Ogłoszono wartą 1,5 mld inwestycję międzynarodowego koncernu farmaceutyczno-chemicznego w Polsce, i to w obszarze najbardziej pożądanym: wysokich technologii, badań rozwojowych. A w polskim pawilonie na forum zjawili się sekretarz generalny OECD José Ángel Gurría oraz minister ekonomii i finansów Francji Bruno Le Maire, by posłuchać o sukcesie polskiej walki z mafiami vatowskimi i propozycjach eliminacji rajów podatkowych w Europie.

Oczywiście perspektywa światowego salonu, jakim staje się każdego roku forum w Davos, może być myląca. Ale podobnie widać także ze stolic większości państw Europy Środkowo-Wschodniej, gdzie wzrost polskiego znaczenia jest dostrzegany i jednoznaczny. Bukareszt, Budapeszt, Wilno, Tallin, Ryga, Praga, Bratysława, Zagrzeb – tam wzrost znaczenia Polski jest również dostrzegany, a różnice potencjałów politycznych i gospodarczych nie ulegają wątpliwości. Co jednak najważniejsze, nie kłamią również liczby. Mimo europejskiego spowolnienia polska gospodarka pracuje pełną parą. Jest duża szansa, że budżet na rok 2020 będzie zrównoważony, najniższe w historii bezrobocie, a rozsądne programy prorodzinne i prospołeczne zatrzymały upływ krwi przez emigrację młodych. Ogłoszony właśnie przez ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka zakup 32 nowoczesnych amerykańskich samolotów F-35 wraz z innymi programami modernizacyjnymi, w tym niesłusznie często lekceważoną budową Wojsk Obrony Terytorialnej, czyni z nas znaczącą siłę w regionie. Nawet w Niemczech pojawiają się głosy ni to niedowierzania, ni to smutku, że już wkrótce polska armia może być silniejsza od Bundeswehry. Mamy jednak w naszym regionie znaczącą i coraz większą obecność amerykańską. Na wojnę z nikim nie idziemy, oby nigdy jej nie było, ale to ma znaczenie.

Do tego dochodzą szokująca dla ludzi Zachodu ambicja i dynamizm w relacjach międzynarodowych, jak zdolność walki o swoje interesy w Unii Europejskiej czy inicjatywa Trójmorza, plan połączenia więzami politycznymi i wspólną infrastrukturą państw od Bałtyku po Adriatyk. To nie są nowe koncepcje, to polityczne dziedzictwo wypracowane przez śp. prezydenta Le-

eprasa.pl 4380405d25

cha Kaczyńskiego. Dziś jednak, dzięki stabilnym rządom Zjednoczonej Prawicy, mogą być realizowane.



W tym samym czasie Komisja Europejska przysyła czeską inspektorkę, która jest tak bezczelna i tak uprzedzona, że nie ma czasu spotkać się ze wszystkimi stronami sporu. Rada Europy (z Rosją w składzie) podejmuje nieprawdziwą rezolucję o stanie demokracji w naszym kraju. Opozycja krajowa spać nie może z podniecenia, że może wreszcie dołożą Polsce ekonomicznie. Rosja z Izraelem próbują wulgarnie fałszować historię. I nawet przekop Mierzei Wiślanej przeszkadza w Brukseli, a Centralny Port Komunikacyjny budzi niepokój.

Skąd te ataki? Trzeba to widzieć w szerszym kontekście. Z polskiej (propolskiej) perspektywy ostatnie pięć lat to wieczna szarpanina, by zyskać chwilę oddechu i móc wykonać jakiś krok do przodu. Jakakolwiek próba reform, podniesienia spraw polskich na wyższy poziom, spotyka się z potężnym oporem. Jakbyśmy szli w glinie, w bagnie. Frustrujące to, bo wiemy, dokąd moglibyśmy dojść, gdyby nam uwolniono nogi i ręce, gdyby zastępy całe nie próbowały ściągnąć nas w dół.

Ale gdy wyjedziemy z Polski, gdy spojrzymy na samych siebie z oddali, dostrzeżemy nieco inny obraz. To Polska, która jednak idzie do przodu, która wyrywa się konsekwentnie z postkomunistycznego bagna, która odrzuca przypisany jej los peryferyjnego kraju niemieckiego imperium i która wybija się na podmiotowość.

Zaczęła od zatrzymania złodziejstwa na granicach (m.in. paliwa) i w systemie finansowym (mafie vatowskie). Odzyskane pieniądze przeznaczyła na podniesienie społeczne rodzin, ale roztropnie, bez przesady – nie poszła w szalone rozdawnictwo. Odzyskała kontrolę nad systemem bankowym (repolonizacja). Odzyskała minimum suwerenności informacyjnej (dzięki TVP za prezesury Jacka Kurskiego). Zaczęła sensownie używać ocalałych przed złodziejską prywatyzacją zasobów publicznych. Odbudowała potęgę gospodarczych kół zamachowych, jak Orlen, LOT, Grupa PZU. Rozpychają się Polacy – wspomniany już polski pawilon („Polish House") na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos, śmiałe kroki w Niemczech (zakup linii Condor przez Polską Grupę Lotniczą), w Brukseli. Wzrost gospodarczy się trzyma, eksport rośnie, struktura gospodarki się zmienia, realny (nie medialny) prestiż państwa rośnie. Także reformę wymiaru sprawiedliwości, ściągającą na Polskę niezasłużone gromy, trzeba widzieć w tym kontekście. Zachodni politycy przyłączają się niekiedy do takich połajanek – co im w sumie szkodzi podlizać się lewicowo-liberalnej prasie – ale doskonale wiedzą, że to wzmacnia Polskę. Bo bez uczciwego, sprawnego i wyrwanego z postkomunistycznych układów sądownictwa nie da się osiągnąć pewnego poziomu rozwoju. Jak wielkim kamieniem dla kraju i narodu może być spatologizowanie tego obszaru, najlepiej widać na Ukrainie. Mogą sobie urządzać kolejne rewolucje, płacić krwią za marzenie o normalnym kraju, a i tak rządzą oligarchowie.

Żeby było jasne: tu trzeba mieć chłodną głowę. To nie żadne sny o potędze, ale racjonalne użycie zasobów, sprawne wykorzystanie szans, konsekwentna praca. Coś odwrotnego od przypisywanej temu obozowi tromtadracji. Potęgi niemieckiej i innowacyjności tamtej gospodarki prędko nie dogonimy, francuskiej też, handel krajowy nadal tracimy, wciąż zbyt wielu Polaków żyje za skromnie, duża część elit w ogóle odrzuca perspektywę narodową, państwową. Osłabia nas też sącząca się z każdej strony propaganda arcygłupich haseł lewicowych, odciągająca ludzi od kwestii istotnych i prawdziwych. Wielu z obozu patriotycznego nie wytrzymało presji, chodzą teraz takie duchowe zombie, podlizują się niemieckim mediom dla Polaków i kąsają. To są smutne sprawy.

Jednak – mimo tych słabości – wykonaliśmy ogromny postęp, a ekipa reformatorska Jarosława Kaczyńskiego przedłużyła swój mandat na kolejne cztery lata i może nadal spełniać polityczny testament śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Co zaskakujące, większość Polaków okazała się też odporna na presję zagraniczną, połajanki prasy nowojorskiej i berlińskiej, a także straszenie rzekomym polexitem. Jednocześnie nie ma tlenu dla jakiegoś szaleństwa nacjonalistycznego. To też znak wzmacniającej się podmiotowości, rosnącej dojrzałości.

Ciekawe głosy na ten temat wybrzmiały w trakcie ubiegłotygodniowej uroczystości przyznania tytułu Człowieka Wolności tygodnika „Sieci" za rok 2019 premierowi Mateuszowi Morawieckiemu. Dwie wypowiedzi, dwa głosy szczególnie zapadły mi w pamięć. Pierwsza to podkreślenie przez Bronisława Wildsteina, autora laudacji na cześć laureata, że wspólnota republikańska, jaką chcemy budować, to coś innego niż proponowana przez III RP, oparta na egoizmie, liberalna umowa społeczna traktująca państwo użytkowo. I głos premiera Mateusza Morawieckiego, który wskazał na wagę i znaczenie konsekwentnej, upartej pracy, podnoszenia się po porażkach, zdolności psychicznego wytrwania w trudniejszych też momentach. Obie wypowiedzi znajdą państwo na dalszych stronach naszego tygodnika.

Musimy o tym pamiętać, musimy rozumieć, w jakim momencie się znajdujemy: rosnąca polska moc, którą zresztą najlepiej widać ze stolic innych państw naszego regionu, pozostających mentalnie w poprzednich dekadach, w naturalny sposób wywołuje kontrakcję.

Zbliżamy się do przesilenia. Albo obronimy szansę wybicia się Polski ku wielkości, albo nas złamią na kilka dekad i poważnie zredukują.

Wyzwanie wielkie, presja ogromna, ale w porównaniu z warunkami, w jakich musiały walczyć poprzednie pokolenia, absolutnie do podjęcia.

eprasa.pl 4380405d25



Wolność to nasza arcypolska wartość

„Nie możemy dać się uśpić, wcisnąć w koleiny bezczynności. Wrogowie wolności kochają bezczynność, chcą marazmu. Nie możemy na nią pozwolić. Tu i teraz odbywa się walka o wolność” – podkreślił premier Mateusz Morawiecki, który podczas ubiegłotygodniowej uroczystej gali odebrał statuetkę Człowiek Wolności 2019 tygodnika „Sieci”

Człowieka Wolności redakcja tygodnika „Sieci” wybrała już po raz siódmy. Nagrodę otrzymują co roku ludzie, dla których wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie – codzienną powinnością.

List do uczestników uroczystości przekazał Jarosław Kaczyński, również laureat nagrody Człowiek Wolności. Podkreślił w nim, że Mateusz Morawiecki jest osobą „o ogromnych zasługach dla krzewienia rzeczywistej polskiej wolności”. „Prawo i Sprawiedliwość, rząd Zjednoczonej Prawicy tę wolność od czterech lat nieustająco poszerza i dzięki zeszłorocznemu zwycięstwu będzie ją jeszcze długo umacniał” – zapewniał prezes PiS. „To pan premier Mateusz Morawiecki od grudnia 2017 r. uosabia politykę dobrej zmiany, jest jedną z najważniejszych jej twarzy” – zaznaczył Jarosław Kaczyński, dziękując premierowi za jego pracę dla Polski.

Jacek Karnowski, redaktor naczelny tygodnika „Sieci”, podkreślał podczas gali, że nagroda Człowiek Wolności nie jest tytułem człowieka roku. „To coś więcej – nagroda za to, co było i co będzie, to także bardzo ważne zobowiązanie. Dlatego tę nagrodę można otrzymać tylko raz” – mówił.

Laudację na cześć laureata nagrody Mateusza Morawieckiego wygłosił publicysta Bronisław Wildstein. „Z czym kojarzy się obecny premier? To przede wszystkim autor kompetentnej i odpowiedzialnej polityki ekonomicznej, która przynosi konkretne efekty” – zwrócił uwagę mówca. „Mateusz Morawiecki często odwołuje się do republikańskiego fundamentu naszej wolności […]. Rozumie, co to znaczy prawdziwa wolność” – mówił Bronisław Wildstein.

Mateusz Morawiecki, dziękując za przyznaną nagrodę, mówił jednocześnie, że jest ona wielkim zobowiązaniem „do refleksji nad wolnością”. W swoim przemówieniu podkreślał, że wolność to dla niego „wspólne doświadczenie”, a także „wspólnota idei, ideałów i ludzi, którzy dążą do lepszego świata, lepszej Polski”. Przypomniał też o różnych formach wolności w polskiej historii – pracy pozytywistycznej, wysiłkach powstańczych, ale także destrukcyjnej wolności anarchicznej. „Wielkie akty wolnościowe Polaków pokazywały, że rozumiemy wolność w sposób bardzo specyficzny. Jako pewnego rodzaju więź, która jest składnikiem budującym naród, czerpiącym soki żywotne z przeszłości, ale jednocześnie sięgając w przyszłość” – wskazywał. Jak zauważył, „nie możemy tylko z sentymentem patrzeć w przeszłość, musimy z odwagą spojrzeć w przyszłość”.

Premier Morawiecki stwierdził w swoim wystąpieniu, że uczestniczymy w maratonie, który jest znaczony czterema obszarami: wyścigiem gospodarczym, walką o pamięć, o wartości, takie jak rodzina, praca, prawo równe dla wszystkich, oraz o duszę narodu. Szef rządu pytał również, czy będziemy w stanie zmierzyć się z wyzwaniami przyszłości. „Już w maju odpowiemy na bardzo ważne pytanie wyborcze. Takim gwarantem ciągłości walki o wolność w coraz to bardziej nowoczesnym wydaniu, ale jednocześnie jak najbardziej polskim, jest prezydent Andrzej Duda. I to jest pytanie, na które Polacy muszą już wkrótce odpowiedzieć, czy chcą takiej gwarancji, kontynuacji takiej wolności, które realizuje hasło republikańskie i hasło Solidarności, że nie ma wolności bez solidarności” – mówił laureat nagrody tygodnika „Sieci”.

Adam Kacprzak



Fot. Wojtek Dobrogojski

Fot. Andrzej Wiktor



Statuetkę Człowieka Wolności 2019 premierowi Mateuszowi Morawieckiemu wręczyli Romuald Orzeł, prezes wydawnictwa „Fratria" oraz Jacek Karnowski, redaktor naczelny tygodnika „Sieci" .

Strażnik etosu republikańskiego

Bronisław Wildstein

Laudacja, którą wygłosić mam dla premiera Mateusza Morawieckiego jako człowieka wolności 2019 r., jest zadaniem zaszczytnym, chociaż nie wydaje się prostym. Z czym kojarzy się bowiem obecny premier? To przede wszystkim autor kompetentnej i odpowiedzialnej polityki ekonomicznej, która przynosi konkretne efekty: wzrost dochodów i eksportu naszego kraju, nadwyżki w handlu zagranicznym, rekordowo niski poziom bezrobocia, spadek długu i deficytu. To także przywódca prowadzący do wzrostu znaczenia Polski w relacjach międzynarodowych, zwłaszcza w Unii Europejskiej, czego dowodem była choćby zmiana jej polityki emigracyjnej czy zablokowanie wyboru Fransa Timmermansa na stanowisko przewodniczącego Komisji Europejskiej. Wszystko to jednak w odczuciu powszechnym w małym stopniu wiąże się z wolnością.

Wychowani jesteśmy w duchu liberalnym, a więc indywidualistycznym, w którym kojarzy się ją po prostu z brakiem zakazów. Im mniej ograniczeń, tym większą wolnością mielibyśmy się cieszyć. Podejście takie współcześnie steoretyzował i nadał mu najbardziej kanoniczny kształt Isaiah Berlin w eseju „Dwie koncepcje wolności". Zgodnie z duchem czasu wolność negatywną przeciwstawił tam wolności pozytywnej. Ta pierwsza to właśnie niezależność od jakichkolwiek zewnętrznych ingerencji czy choćby porządku norm, które nakazują nam postępować tak, a nie inaczej. Ta druga – to możliwość realizacji określonych celów.

eprasa.pl 4380405d25

Liberałowie przeciwstawiają negatywną wolność, która jest wolnością od – wolności pozytywnej, która jest wonnością do. Dla umysłu współczesnego zdaje się to oczywiste, tak jak oczywiste jest dla niego, że prawdziwa wolność to ta negatywna, która broni nas przed jakąkolwiek presją, podczas gdy wolność pozytywna niesie w sobie zalążki zniewolenia, a nawet tyranii. Tak opisywał to Berlin.

* * *

Jeśli jednak wyjdziemy poza rozpowszechnione stereotypy, dość szybko zorientujemy się, że obowiązujące dziś liberalne podejście mistyfikuje zagadnienie wolności. Wybitny współczesny polski filozof Ryszard Legutko w „Traktacie o wolności" wskazywał, jak funkcjonowanie w cywilizacji, która jest naszym naturalnym środowiskiem, wpisuje człowieka w sieć międzyludzkich uzależnień. Zgodnie z liberalną doktryną idealnie wolny i niekrępowany przez nikogo jest rozbitek na bezludnej wyspie. Czy tęsknimy za takim statusem?

Ludźmi w pełnym tego słowa znaczeniu stajemy się dzięki cywilizacji, a więc zbiorowemu, wielopokoleniowemu dziełu, na które składa się język, religia, zespół norm kształtujących wspólnotę, prawo oraz polityka, obyczaj, wiedza, sztuka... wyliczankę tę można kontynuować. Wszystkie te dziedziny niosą z sobą reguły, a możliwości ich zmiany są dla jednostki bardzo ograniczone. Czym jednak byłaby ona bez cywilizacji?

Antyczni i średniowieczni klasycy myśli zachodniej wskazywali, że prawdziwa wolność wiąże się z samokontrolą. Rezygnacja z jakichkolwiek zahamowań powoduje, że człowiek staje się igraszką swoich popędów. Tak dziś apoteozowana wolność negatywna prowadzi właśnie w tym kierunku. Czy osoby kierowane odruchami nazwać można rzeczywiście wolnymi?

* * *

Wspominałem już, że ludźmi stajemy się dzięki cywilizacji. Ta jednak występuje w rozmaitych wariantach. Współcześnie, najszerszą wspólnotą, z którą człowiek potrafi się identyfikować, jest naród. To jednocześnie najmniejszy moduł cywilizacji. Najlepsza chyba jego definicja stwierdza, że to wspólnota losu. Członkowie narodu odczuwają swój fundamentalny, egzystencjalny związek. Ich życie wpisane jest w istnienie wspólnoty, jej jakość określa warunki indywidualnej egzystencji. Naród jest tu rozumiany politycznie. Poczucie wspólnoty jego członków powoduje, że akceptują oni również wspólne instytucje w ich republikańskim kształcie. Republika oznacza res publicę, rzecz wspólną, przynależne do ogółu państwo, którego celem jest dobro wspólne.



Premier wie, że dobrobyt swój musimy wypracować sami i nie zastąpią go sztuczki z budżetem państwowym oraz programy społeczne – mówił Bronisław Wildstein

Fot. Wojtek Dobrogojski

Fot. Andrzej Wiktor

Istnieje zasadnicza różnica między liberalnym projektem umowy społecznej a republikańskim poczuciem narodowej wspólnoty. Ten pierwszy zakłada porozumienie jednostek, które, na wzór dowolnej spółki, łączą się, aby osiągnąć indywidualne korzyści. Wynika z tego, że jeśli kontrakt przestaje przynosić im założone benefity, mogą go wypowiedzieć i zmienić na inny, bardziej dochodowy. Uczestników kontraktu nie wiąże nic poza osobniczym pożytkiem. Jakakolwiek zbiorowa lojalność wprowadza czynnik niemieszczący się w liberalnej antropologii.

Republikańska wspólnota przyjmuje, że stanowiący ją ludzie zależą od niej w bardzo głębokim, egzystencjalnym sensie. Nie tylko ich losy są z sobą splecione, ale stali się oni tym, kim są, dzięki wychowaniu i ukształtowaniu w danej zbiorowości, dzięki stwarzanym przez nią warunkom.

Ten różny stosunek do tego, czym jest narodowa wspólnota, demonstruje abstrakcyjność i oderwanie od rzeczywistości liberalnej antropologii. Ludzkie jednostki nie istnieją poza kulturą, a więc zespołowym trwaniem. To w nim nauczyły się języka i przejęły całość formującego je habitusu. Naturalnie, człowiek nie jest molekułą zbiorowego istnienia ani jego więźniem. Każdy jednak, kto obserwował próby oderwania się konkretnych ludzi od ich narodowej przynależności i usiłowanie identyfikacji z inną – bo w samotności człowiek funkcjonować nie może – wie, jak głęboki i fundamentalny jest to akt i jak jest on trudny. Choćby to dowodzi, jakim nieporozumieniem jest idea umowy społecznej. Nie możemy z dnia na dzień rozwiązać naszych narodowych więzi i uznać, że przestaliśmy być Polakami, a staliśmy się np. Niemcami czy Rosjanami.

Republikańskie podejście demonstruje fundamentalny wymiar ludzkiej wolności zupełnie niedostrzegany w liberalizmie. To możliwość kształtowania swojego, ludzkiego, czyli zbiorowego świata. Jednostkowo nie jest to możliwe. Dopiero wspólnota otwiera perspektywę budowy optymalnego dla siebie otoczenia, umożliwia kreowanie wspólnego losu.

* * *

Zaniepokojeni słuchacze mogą zacząć myśleć, że zgubiłem się i zapomniałem, iż wygłosić mam laudację dla premiera Morawieckiego. Otóż nie. To, co mówię, dotyczy jego osoby i reprezentowanej przez niego formacji. Prawo i Sprawiedliwość ponad cztery lata temu doszło do władzy, kwestionując liberalną mitologię. Naturalnie tezy te

eprasa.pl 4380405d25

ugrupowanie polityczne formułowało w języku konkretu, ale to, co proponowało, to powrót do określającej polską tradycję idei republikańskiej demokracji. Erupcją republikanizmu był wielki ruch Solidarności, który odbudował wspólnotę polską naprzeciw niewolącemu ją totalitaryzmowi. Wbrew 40 latom atomizującego społeczeństwo oraz niszczącego wszelkie więzi komunizmu oraz wcześniejszym doświadczeniom utraty niepodległości i rozbiorów Polacy powrócili do fundamentu swojego dziedzictwa, jakim był republikanizm, na nowo odkryli wspólnotę losów i potrzebę przekroczenia partykularnego interesu w imię dobra wspólnego.

Niestety, III RP zbudowana została na zwłokach Solidarności. Zamiast odwołać się do republikańskiej tradycji, postkomunistyczne elity i ich koalicjanci zaaplikowali nam liberalną transformację. Jej iluzje można by odsłonić dość szybko, można by, gdyby nie przemożne siły nowej oligarchii, które zdominowały ośrodki opiniotwórcze oraz media nie całkiem nowego państwa. Uczeni byliśmy, że żyjemy (tak jak poprzednio) w systemie bezalternatywnym, a każdy, kto inną politykę proponował, odsądzany był od czci i wiary, piętnowany jako oszołom, współcześnie populista, często nacjonalista, szowinista czy wręcz faszysta.

* * *

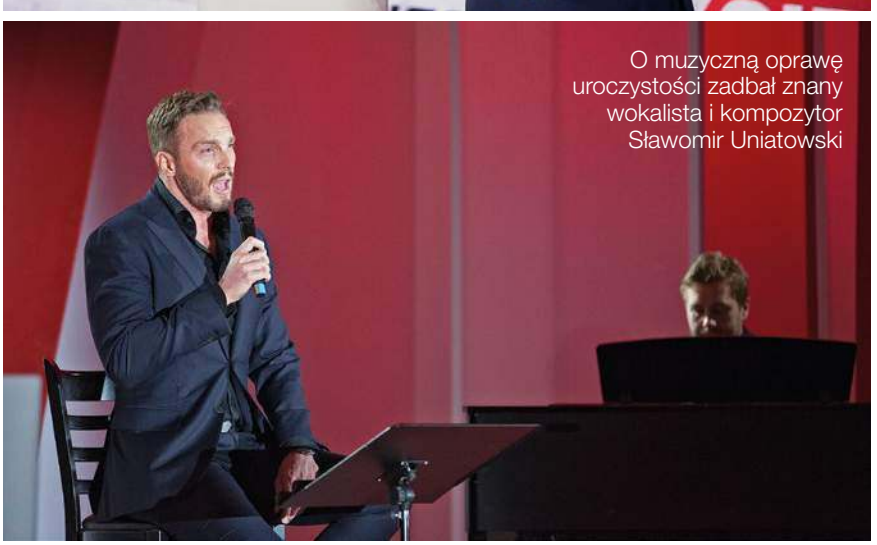
Ten stan rzeczy manifestował zresztą pozory, jakie w miejsce wolności oferuje nam liberalny system. Wmawiano nam, że każdy ma jednakowe szanse i wyłącznie sam jest kowalem własnego losu; zapomniano dodać, że jedni wkraczali w nowy system bez grosza przy duszy i szansy na kredyt, a inni z fortunami gromadzonymi dzięki układom z PRL, wpisani w sieć jej powiązań oraz wspomagani przez zasiedziałą w bankach nomenklaturę. W podobny sposób kazano konkurować nam na międzynarodowym rynku, na którym polscy przedsiębiorcy mieli ścierać się z bez porównania silniejszymi korporacjami, które wspierane były dodatkowo przez ich macierzyste kraje. Kiedy przystąpiliśmy do Unii Europejskiej, przekonywano, że nie istnieją w niej narodowe interesy,



Spotkanie transmitowane było na żywo przez telewizję wPolsce.pl



Galę prowadzili Zuzanna Falzmann oraz Michał Adamczyk



O muzyczną oprawę uroczystości zadbał znany wokalista i kompozytor Sławomir Uniatowski

eprasa.pl 4380405d25

gdy dla każdego, kto ma elementarne pojęcie o jej funkcjonowaniu, wiadomo doskonale, że jest ona przestrzenią rywalizacji państw oraz rozmaitych grup wpływów, które walczą w niej o swoje korzyści zarówno polityczne, jak i ekonomiczne.

Niemcy budują z Rosją (skądinąd spoza Unii, która za swoją agresywną i neoimperialną politykę obłożona jest jej sankcjami) Nord Stream, kosztujący wielokrotnie więcej, niż gdyby został poprowadzony przez Ukrainę i Polskę, ale dzięki temu jego udziałowcy będą mieli możliwości większej kontroli nad tymi państwami. Bez porównania bogatsze Niemcy wspomagają swoje stocznie, a Polacy mają tego zakaz. Francja narusza fundamenty traktatów europejskich po to, aby bronić swoich małych interesików związanych z sektorem przewozów międzynarodowych. Przykłady można mnożyć.

Odpowiedzią III RP było „płynięcie w głównym nurcie", jak oficjalnie określona została polska doktryna międzynarodowa w okresie rządów Donalda Tuska. W rzeczywistości stanowiła ona dogmat od początków istnienia III RP, a tylko nazwana została po imieniu za czasów rządów PO. Trzeba przyznać, że tak otwartej rezygnacji z autonomii w kwestiach międzynarodowych, jaką było ogłoszenie tej polityki, ze świecą by szukać. Chyba nikt nie powie, że to my wyznaczamy „główny nurt", a więc płynięcie w nim to podporządkowanie się interesom silniejszych.

Polacy porządki liberalnej demokracji III RP zakwestionowali w 2005 r. i jeszcze bardziej konsekwentnie w minionych pięciu latach. Fakt, że ich demokratyczne wybory atakowane są bezpardonowo zarówno w kraju, jak i za granicą, dowodzi raz jeszcze, do jakich konsekwencji prowadzi liberalna wolność. Okazuje się ona przewagą silniejszego i zniewoleniem słabszego, a liberalna demokracja jawi się jako oligarchia, która lekceważy wolę ogółu, walczy o dominację establishmentu i za wszelką cenę eliminować usiłuje konkurencję.

* * *

Działalność polityczna Mateusza Morawieckiego zaczyna się w Solidarności Walczącej, która wyjątkowo mocno eksponowała republikański etos tego ruchu. Jest on z wykształcenia historykiem, co pozwala mu widzieć nasze doświadczenia w długim trwaniu, a jednocześnie stał się ekonomistą, który zrobił wielką karierę na międzynarodowym rynku. Paradoksalnie właśnie ten fakt stał się pretekstem do atakowania go przez rodzimych liberałów, którzy jednocześnie karierę uznają za jedyny miernik sukcesu. No, ale przywykliśmy, że w propagandzie III RP to nie argumenty się liczą.

Jako ekonomista Morawiecki jest przekonany, że o sile narodu decydują sprawy wymierne: wielkość produktu czy zdolność konkurencji jego przedsiębiorstw na światowych rynkach, zdaje sobie więc sprawę, że nasza wolność musi oprzeć się na gospodarczych fundamentach. Dowodzi, że nieporozumieniem była identyfikacja racjonalnej ekonomii z liberalizmem. Premier wie, że dobrobyt swój musimy wypracować sami i nie zastąpią go sztuczki z budżetem państwowym oraz programy społeczne. Ma jednak świadomość, że zdrowa gospodarka wyrosnąć może wyłącznie w państwie sprawiedliwym, w którym prawo nie jest instrumentem w rękach silniejszych i nie stanowi własności prawników; we wspólnocie, która ma poczucie swojej współzależności i jest wobec siebie lojalna. Pomimo niechęci do rządu PiS, którą żywi zachodni establishment, również jego przedstawiciele docenić muszą gospodarczy sukces, jakim cieszy się Polska w ostatnich latach.

Premier Morawiecki rozumie, że nie jesteśmy samotną wyspą, funkcjonujemy w europejskim i globalnym kontekście, co nie oznacza, że mamy podporządkować się mocy silniejszych, ale układ ten otwiera dla nas przestrzeń gry na międzynarodowej szachownicy.

Mateusz Morawiecki często odwołuje się do republikańskiego fundamentu naszej wolności, wskazuje, że nawet osobnicza swoboda wyrasta ze wspólnotowego środowiska. Rozumie, co to znaczy prawdziwa wolność. Premier Morawiecki – człowiek wolności.

PARTNER ZŁOTY:

ORLEN

PARTNERZY STRATEGICZNI:

Bank Pekao · LOTOS · KGHM Polska Miedź · PGNiG · Bank Polski · PZU · synthos chemical innovations · TAURON

PARTNERZY GŁÓWNI:

BGK Bank Gospodarstwa Krajowego · Centralny Port Komunikacyjny – Solidarity Transport Hub Poland · PGE Polska Grupa Energetyczna · PGL Polska Grupa Lotnicza · PKP Polskie Koleje Państwowe Spółka Akcyjna · PPL Porty Lotnicze · Totalizator Sportowy

PARTNERZY:

arp · Grupa Cedrob · Enea · PHN · Saltus Ubezpieczenia

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

Energa · PKP Cargo · Poczta Polska

PATRON MEDIALNY: TVP

WSPÓŁORGANIZATOR: apella

Reklama | 21/1219/F, 41/0120/F, 48/0120/F, 66/0120/F

eprasa.pl 4380405d25



Sygnalista nadaje

„Stany Zjednoczone są silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej” – stwierdził prezydent USA Donald Trump w swoim ostatnim w tej kadencji przemówieniu o stanie państwa. Piękna mowa zakończyła się skandalem: szefowa demokratów w Kongresie Nancy Pelosi ostentacyjnie podarła egzemplarz otrzymanego dokumentu. Kolejny dowód, że totalność partii lewicowo-liberalnej, która traci władzę, jest zjawiskiem globalnym, a nie tylko polskim. Nawet monarchowie miewali więcej pokory niż ci rzekomi arcydemokraci.

Zdaniem brytyjskiego dziennika „The Daily Telegraph” Trump pewnie zmierza po kolejną wygraną. „Zniszczył wrogą mu frakcję wśród republikanów i może dziś twierdzić, że jest najpopularniejszym liderem prawicy od czasów Reagana” – czytamy w artykule Freddy’ego Graya. Wskaźnik akceptacji Trumpa wynosi obecnie 49 proc. Dla porównania – Obama kończył pierwszą kadencję, mając na koncie 46 proc. Wydaje się, że Polska tym razem zainwestowała bardzo trafnie.

W samej Wielkiej Brytanii też ciekawie. Torysi po cichu biorą się za BBC. Ministrowie bojkotują kilka najbardziej agresywnych programów i nie wydaje się, żeby to im szkodziło. Niepłacenie abonamentu przestanie być przestępstwem. W tle są plany radykalnego odchudzenia korporacji, a nawet myśl o jej prywatyzacji, co miałoby przynieść także pluralizację tej dziś bardzo mocno lewicowej instytucji. A to wszystko dzięki temu, że politycy nie potrzebują już pośredników, by komunikować się z wyborcami. I źle, i dobrze.

„Wiadomości” TVP przypomniały, że niemiecki przewoźnik Lufthansa zmienił swój symbol w taki sposób, że dziś bardzo przypomina on logo naszego LOT, co może wprowadzać pasażerów w błąd. Na materiał zareagował poseł PO Michał Szczerba. „Czy Lufthansa skomentuje te oskarżenia naruszające dobre imię firmy?” – zapytał z troską o niemieckiego przewoźnika. A wydawało się, że hasło: „Po co nam LOT, skoro jest Lufthansa”, już umarło.

Do wychodzących z UE Brytyjczyków zwróciła się Agnieszka Holland. „Unia Europejska miała nas zaszczepić przeciwko pokusie powrotu do mrocznych czasów, które widzieliśmy w XX w. I przez wiele lat to działało. Nie jest wam wstyd, że jesteście pierwszymi, którzy odsuwają się od nadziei?” – pytała dramatycznie w specjalnym liście. Nie zauważyła, że Wielka Brytania wyszła z Unii także po to, by nie tracić nadziei na demokratyczną przyszłość.

Tymczasem Węgrzy z Fideszu zazdroszczą Polakom z PiS silnej telewizji publicznej. Bo na Węgrzech państwowe kanały są słuszne, ale jednocześnie dość nudne i w zasadzie niszowe. A w Polsce – cokolwiek by mówić – TVP wciąż ma potężną siłę rażenia, mocną rozrywkę oraz umie też działać zaczepnie – a to rzecz w mediach najtrudniejsza. Nie jest bez wad, ale jest.

Aktor Marian Opania wyłożył kawę na ławę: „Uważam, tak jak za komuny, że jeżeli ktoś popiera ten typ władzy, to albo jest durniem, albo wyrachowanym łajdakiem, sprzedawczykiem. Innego wyjścia nie ma. Niektóre nasze autorytety robią dziś to samo, ale piętno pozostanie. I niektórzy niektórym będą to długo pamiętać”. Pamiętać można, ale jednak Polska rośnie w siłę, a ludziom żyje się dostatniej. Tym razem naprawdę.

Szymon Hołownia się obnażył. W nowym spocie wyborczym zapewnia: „Będziemy walczyć o każde drzewo, nie tylko o jedno”. W tle widać

eprasa.pl 4380405d25

zbliżenie na brzozę, a także lecący w dół samolot z papieru. Po fali oburzenia kandydat stwierdził, że to nie są kpiny ze Smoleńska: „Nie przyszłoby mi do głowy, by sprawdzać gatunki drzew w moim spocie. Niektórym przyszło". I to jest właśnie obnażenie, bo trudno o większą oślizłość niż to żenujące tłumaczenie.

Małgorzata Kidawa-Błońska powoli goni Petru i Komorowskiego w częstotliwości wpadek. „Czuję wsparcie i kolegów, i koleżanek z PiS, bo jesteśmy jedną drużyną i chcemy wygrać te wybory" – ogłosiła podczas czatu z internautami. Skąd biorą się te pomyłki? „Mam wrażenie, że część z tych rzeczy, które się nazywa przejęzyczeniami, tak naprawdę jest niezrozumieniem tego, jaka jest główna idea jej wypowiedzi" – ogłosiła Katarzyna Lubnauer. Aha. Naród znów nie dorósł?

Kandydatkę KO na prezydenta zapytano, czy Jacek Kurski powinien być prezesem TVP. „Nie powinien" – odpowiedziała. I wyjaśniła: „Nie może być tak, że w tych mediach nie ma informacji rzetelnej. Głównie są komentarze. I to komentarze tylko na rzecz jednej partii politycznej. Tam już nie ma informacji, a nawet czasami boję się o wyniki najprostsze – z meczów sportowych, że one także mogą być sfałszowane". Najlepsze, że to nie był żart.

Paweł Kukiz już nie kandyduje. I może dobrze. „W tej chwili ewidentnie idziemy w kierunku PZPR" – deklarował w radiu Agory. Narzekał także na system polityczny, w którym „absolutną władzę sprawuje partia, która dostała 8 mln głosów, a Polska liczy 37 mln obywateli". „Super. Jakie to dziwne. Po pięciu latach rządów Prawa i Sprawiedliwości zgodziłem się z Pawłem Kukizem" – komentował prowadzący rozmowę Jacek Żakowski. Pytanie, kto się zmienił: Paweł Kukiz, Jacek Żakowski czy może PiS? Pytanie retoryczne.

Prezes Trybunału Konstytucyjnego ***Julia Przyłębska*** odmówiła udziału w posiedzeniu senackiej komisji. Dlaczego? Ponieważ „to mogłoby podważyć konstytucyjną pozycję Trybunału". „Doświadczenia ostatnich lat pokazały, iż publiczną, rzeczową, merytoryczną dyskusję nad orzecznictwem Trybunału [...] zastępują często niemające precedensu ataki na TK oraz sędziów Trybunału" – czytamy w piśmie do marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego. Mówiąc wprost: z chamstwem nie rozmawiam. Słusznie.

Europoseł PO Janusz Lewandowski stanął na łamach „GW" w obronie establishmentu. „Elity to cywilizacyjne drożdże, przewodnicy na drodze postępu. Organizują zbiorową wyobraźnię wokół nowych wyzwań, otwierają nowe możliwości" – napisał w tekście, któremu redakcja nadała jeszcze bardziej pretensjonalny tytuł: „Elita wyklęta stawia opór gloryfikacji prostactwa". Lewandowski nie napisał, że prostaczkowie powinni padać na kolana i bić niskie pokłony, ale chyba to właśnie miał na myśli.



„Wierzę, że polskie elity wyklęte pozostaną nieugięte" – pisze Lewandowski, snując taką oto opowieść: „»Elita« to dziś epitet. Oznacza kastę zasklepioną w obronie swych korporacyjnych interesów, oderwaną od narodowego suwerena. To jest wielki paradoks rządów PiS, że w nagonce na elity patrioci »dobrej zmiany« idą tropem zaborców i okupantów". Analogia do zaborów nie trzyma się jednak kupy: tamte elity w większości chciały niepodległej Polski.



Samozachwyt Lewandowskiego jest niewspółmierny do tego, co on i jego formacja rzeczywiście zrobiły. Jak to celnie ujął Bronisław Wildstein: „Niestety, III RP zbudowana została na zwłokach Solidarności. Zamiast odwołać się do republikańskiej tradycji, postkomunistyczne elity i ich koalicjanci zaaplikowali nam liberalną transformację". Transformację, w której zamiast precyzyjnych narzędzi stosowano młotek i łom.

Redakcja „Polityki" promuje Mariana Turskiego – autora głośnego przemówienia w czasie uroczystości w Auschwitz – jako kandydata do Pokojowej Nagrody Nobla. „Marian Turski, w imieniu coraz mniej licznej grupy »tych, którzy przeżyli«, apelował o zachowanie czujności i wrażliwości na zło, aby nie dać się odrodzić wojnie i nienawiści" – czytamy w apelu. Turski nawoływał także, by być czujnym, gdy „jakakolwiek władza narusza przyjęte umowy społeczne, już istniejące". Czytaj: „okrągły stół" już na zawsze, na wieki wieków.



„Przyzwyczaiłam się do hejtu wobec mnie. Ale to, co od pewnego czasu wyczynia »Super Express«, to coś jeszcze gorszego. To jest stalking" – tak Beata Szydło skomentowała kolejny atak tej gazety, tym razem oparty na twierdzeniu, że europosłanka PiS zamieszkała „w pałacu", choć tak naprawdę zatrzymała się w nie najdroższym hotelu. Co ciekawe, popularną wśród zwykłych ludzi byłą premier najostrzej atakują tabloidy, choć one akurat powinny o nią zabiegać. Jest w tym jakaś tajemnica.

Fot. Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl 4380405d25

Aktor jądrowy



KRZYSZTOF FEUSETTE

Bezbrzeżne zdumienie ogarnia człowieka, gdy słyszy, że są w naszym kraju ludzie podnieceni możliwością zdobycia Nobla przez pannę Gretę Thunberg. Przecież ta dziewczyna nie zrobiła dla światowego pokoju nawet jednej setnej tego, co nasz najlepszy obecnie aktor politycznie zaangażowany Marian Opania uczynił dla pojednania Polaka z Polakiem, po „bolszewickim podziale dokonanym przez Kaczyńskich". Bo pan Marian, podobnie jak panna Greta, a nawet lepiej, potrafi zmienić bieg historii jednym zdaniem lub spojrzeniem. I tak jak dla panny Grety nie ma dla niego zabawy w „ty do mnie, ja do ciebie", nie owija w pampersa, tylko wali między oczy. „Uważam – stwierdził w wywiadzie zamieszczonym przez największy zagraniczny portal dla Polaków – że jeżeli ktoś popiera ten typ władzy, to albo jest durniem, albo wyrachowanym łajdakiem i sprzedawczykiem. Innego wyjścia nie ma".

Powie ktoś – a będzie to z pewnością ktoś durny, sprzedajny albo złajdaczony – że tak się nie godzi. Że to nieładne, niekulturalne, łamie teatralny etos, który od antyku kazał aktorom szanować każdego widza. Ale co taki ktoś może wiedzieć. Zwłaszcza o panu Marianie, który sam przyznaje, że swój zawód jednocześnie „kocha i nienawidzi". „Miałbym się czym zająć – mówi. – Mam zdolności manualne, rzeźbię, mógłbym być wspaniałym stolarzem, historykiem, także sztuki, polonistą lub fizykiem jądrowym. Złożyłem papiery na fizykę jądrową, ale – stety czy niestety – dostałem się do szkoły teatralnej". Twierdzi, że „wybicie się jest stosunkowo proste, natomiast utrzymanie się przez kilkadziesiąt lat na jakimś poziomie jest bardzo trudne. Nie można nawet na chwilę złożyć rynsztunku, tylko cały czas trzeba trzymać rękę na pulsie".

Więc pan Marian trzyma, ile wlezie. Nie tylko rękę. Potrafi nawet samego siebie nazwać „kurduplem", byle tylko nadążyć za potrzebą. Konkretnie – potrzebą opozycji, by jak najwięcej znanych i lubianych nawalało w „wolnych mediach" w jej przeciwników politycznych. „Bywałem w różnych zespołach, gdzie nietrudno byłoby mi być jednym z najlepszych. Ale ja chciałem trafić tu, do Ateneum, gdzie były same tuzy – mówi pan Marian. – Ten właśnie przerost ambicji, to pokonywanie kompleksów kurdupla bywa owocne, ale jest też bardzo groźne". Co, jak już wiemy, jest do okazania choćby w tym wywiadzie. Ileż pułapek i zasadzek, ileż goryczy i udawania przetrwał na użytek prywatny. Bo „wśród aktorów rzadko zdarzają się przyjaźnie", gdyż „każdy jest konkurentem". A przecież rady koledze po fachu daje zupełnie za darmo. „Z Alem Pacino nagle coś się zrobiło. Szmirus jakiś. (...) Zaczyna grać sposobami, a nie wolno. Trzeba nie grać, a być. Trzeba się przeistaczać jak kameleon".

Jeszcze parę takich lekcji i wszyscy będą chcieli grać Opanią. Robert de Opania, Dustin Opania, Meryl Opania... Zwłaszcza że na hollywoodzkiego kołcza ma papiery niewyjęte. „Kiedyś nawet dostałem od Disneya list gratulacyjny za »Dzwonnika z Notre Dame« i dubbing w bajce o takim szczurze, który pomaga gotować" – zdradza.

Ale przecież wymienione wyżej przez pana Mariana „pokonywanie kompleksów kurdupla" przybiera przeróżne barwy. Łatwo skonstatować, że już samo słowo „kurdupel" jest tu dla artysty tylko kolejnym intelektualnym wybiegiem. Bo przecież, oczywista oczywistość, wszystkie drogi prowadzą do jednego. „Wszyscy satrapowie i cesarze byli niedużego wzrostu (...) Czyngis-chan, Timur Kulawy, Aleksander Macedoński, Lenin, Stalin, Hitler... Nie mówię o naszym, jakby to powiedzieć, cesarzu". Skąd tyle uznania dla prezesa PiS w ustach pana Mariana? Wydaje się, że z lęku. Już kiedyś przewidywał, że Polska wyląduje na euroazjatyckich stepach (dziś pyta: „I co, nie miałem racji?"). Już wcześniej nazywał Kaczyńskiego „führerem PiS". Potem było gorzej. Gdy odmówił zagrania w filmie „Smoleńsk", natychmiast „spotkało go wiele nieprzyjemności". To znaczy mogło spotkać. Uwaga, cytat dla czytelników o mocnych nerwach: „Sąsiad mi powiedział: »Panie Marianie, zmawiają się, żeby robić demonstrację pod pańskim oknem«. Pomyślałem wtedy, że nie mam obstawy jak generał Jaruzelski, więc przez ładnych kilka dni trzymałem samochód na innej ulicy. Jak się zbiorą, to co to dla nich rzucić butelką benzyny przez okno. Nie zrobili tego, ale takie zagrożenie istniało. Nikt mnie jednak nie obrzucił wyzwiskami". Prawda, że okrutne? Ale wytrzymał. A pewnie tak bardzo chciał „dać w papę", jak czynił to wtedy, „gdy ktoś zaczepiał jego samego, koleżanki lub kolegów".

Dobra, dosyć drwin. Teraz serio: co się stało, panie Marianie? Skąd w panu aż taka chęć do obrażenia własnych widzów, rodaków, przyjaciół? Bliskich?! Mówił pan kiedyś, że pana „ukochana siostra cioteczna" głosuje na PiS i jedna piąta rodziny. Oni także są dla pana „albo durniami, albo wyrachowanymi łajdakami"? Jak to możliwe, że dla myślącego człowieka, ba, artysty nawet: „innego wyjścia nie ma"...?

Rzecz jasna – nie zadam tych pytań panu Marianowi. Bo nie muszę. Odpowiedź jest w samym wywiadzie. „Ten zawód, ten permanentny ekshibicjonizm psychofizyczny, musi zostawiać po sobie ślady, jeśli traktuje się go poważnie. A ja go traktuję bardzo poważnie".

Za poważnie, panie Marianie. Poważnie.

eprasa.pl 4380405d25

Krok w tył

Oceniamy się po poglądach, po koszulkach z napisem „Konstytucja”. Niechętnie widzimy w sobie wzajemnie człowieka

„Mówi się, że nie należy nikogo wykluczać, ale w przedszkolach dzieci nie mogą iść na kinderbal do drugiego dziecka, bo rodzice różnią się politycznie. Chłopak nie może spotykać się z dziewczyną, bo rodzice różnią się politycznie. Do czego myśmy doszli w Polsce? To przerażające, że takie rzeczy się dzieją” – ubolewała ostatnio na jednym ze spotkań z wyborcami Małgorzata Kidawa-Błońska. I w tym ubolewaniu zgadzam się z kandydatką PO na prezydenta. Podziały między Polakami są zbyt głębokie, a wzajemna niechęć zbyt duża. Niestety, gdy Małgorzata Kidawa-Błońska mówi to, co mówi, to raczej nie chodzi jej o to, że to Platforma się zapędziła, a ona teraz za nią przeprasza, tylko że to wszystko wina tego strasznego PiS.

Warto jednak przypomnieć, że kiedyś był taki projekt polityczny jak PO-PiS i nigdy nie stał się on ciałem, bo po wyborach 2005 r. Donald Tusk uznał, że nie warto zawierać koalicji. Lepiej wejść w ostry konflikt, który tak podzieli Polaków, by napędzić wyborców Platformie. I jak pomyślał, tak zrobił. Później przyszedł rok 2010 i katastrofa smoleńska, która podziały, przy intensywnym wysiłku m.in. prowokatorów spod krzyża, tylko zaostrzyła i zabetonowała. Wybory z lat 2015 i 2019 pokazały, że część Polaków ma poważny problem z zaakceptowaniem wyborczego werdyktu.

Często jest tak, że politycy opozycji, apelując o umiar, sami ograniczać się w atakach na drugą stronę nie zamierzają, chcieliby jednak założyć kaganiec swoim przeciwnikom. Liberalno-lewicowa strona publicznej debaty żywi po prostu głębokie przekonanie, że moralna racja leży po jej stronie i nigdzie indziej.

Tu warto przypomnieć raport Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW sprzed roku. Z opracowania wynika, że postawy zwolenników partii opozycyjnych wobec sympatyków PiS są bardziej negatywne niż postawy wyborców PiS wobec zwolenników opozycji – wyborcy partii opozycyjnych żywią bardziej negatywne uczucia, w większym stopniu dehumanizują i mają mniejsze zaufanie do swoich oponentów politycznych niż zwolennicy partii rządzącej. W raporcie czytamy, że „w grupie zwolenników PiS kontakt ze zwolennikami opozycji wiąże się z pozytywnymi postawami wobec nich – im częstsze są interakcje z wyborcami partii opozycyjnych, tym cieplejsze są uczucia żywione wobec tej grupy, większe zaufanie wobec jej członków oraz mniejsza dehumanizacja”. Poza tym zwolennicy partii opozycyjnych uważają, że są bardziej nielubiani przez swoich oponentów politycznych niż zwolennicy partii rządzącej. Z raportu Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW wynika, że niechęć do oponentów przybiera formę dehumanizowania ich, czyli odmawiania przedstawicielom grup obcych cech ludzkich. Jak pokazują badania psychologów społecznych, odczłowieczanie innych pociąga za sobą wiele konsekwencji, takich jak dążenie do izolacji dehumanizowanych grup czy agresja wobec nich. Jednym z rodzajów dehumanizacji jest dehumanizacja animalistyczna, polegająca na porównywaniu członków grup obcych do zwierząt. A przecież już w 2010 r. Janusz Palikot przyznał, że jego celem było zdehumanizowanie Lecha Kaczyńskiego i całkowite odarcie go z godności. Poza tym wystarczy sobie przypomnieć „watahy”, „szarańcze” czy „dinozaury”, żeby zrozumieć, o co chodzi z tą dehumanizacją.



I tak trwamy sobie w naszych podziałach. Oceniamy się po poglądach, po koszulkach z napisem „Konstytucja” lub bez, po nakładkach na zdjęcie na Facebooku, lubimy wiedzieć, kto na kogo głosował, bo ta wiedza określa nasz stosunek do interlokutora. Niechętnie widzimy w sobie wzajemnie człowieka, za to chętnie lewaka, prawaka, platfusa, pisowca (to tak w ogólnym zarysie). I co z tego, że może moglibyśmy się nawet polubić, skoro przeważnie zaciskamy pięści i zaczynamy sobie wygrażać. Może nawet moglibyśmy fajnie spędzić czas na kawie, ale po co, skoro tamten chce głosować na Dudę albo popiera Kidawę. Albo Hołownię. A to już uniemożliwia znajomość.

A gdyby tak wszyscy zrobili krok do tytułu. Gdyby tak spojrzeć na sąsiada, kolegę z pracy czy rodzica w przedszkolu bez wyborczych uprzedzeń. Mogłoby się okazać, że życie potrafi być piękniejsze.

Dorota Łosiewicz



Niepodległość na fali brexitu?

Brexit wzmocnił nastroje niepodległościowe w Szkocji – tak wynika z sondażu przeprowadzonego w minionym tygodniu na zlecenie blogu ScotGoesPop. 52 proc. ankietowanych opowiedziało się w nim za odłączeniem Szkocji od Zjednoczonego Królestwa. Inny sondaż, ośrodka YouGov, przeprowadzony dzień po brexicie, dał wynik 51 proc. za secesją. Po raz pierwszy, podkreśla dziennik „The Guardian", większość Szkotów, choć nieznaczna, popiera zerwanie z Londynem. Przypomnijmy: w przeprowadzonym jesienią 2014 r. referendum niepodległościowym w Szkocji stosunkiem 55 do 45 proc. głosów wygrali zwolennicy pozostania w składzie Zjednoczonego Królestwa. Jednocześnie większość Szkotów w referendum na temat dalszego członkostwa Wielkiej Brytanii w Unii w 2016 r. opowiedziała się za pozostaniem w europejskiej wspólnocie. Te fakty szkoccy nacjonaliści chcą teraz wykorzystać do wymuszenia na Londynie kolejnego referendum.

Premier Szkocji i lider Szkockiej Partii Narodowej (SNP) Nicola Sturgeon skomentowała brexit słowami: „Szkocja powróci do serca Europy niebawem, ale już jako niepodległe państwo". Jeszcze przed brexitem szkocki parlament debatował nad przeprowadzeniem nowego referendum niepodległościowego. O tym, że obywatele powinni ponownie zabrać głos w sprawie secesji Szkocji, było przekonanych 64 deputowanych. Sprzeciw zgłosiło 54.

W tym kontekście warto dodać, że aby wiążące referendum zostało przeprowadzone zgodnie z prawem, konieczna jest zgoda brytyjskiego rządu. Tymczasem Boris Johnson wniosek w tej sprawie odrzucił już kilka tygodni temu i przypomniał, że plebiscyt z 2014 r., w którym Szkoci wypowiedzieli się przeciw niepodległości, miał być głosowaniem jedynym w tym pokoleniu. Szkoccy deputowani przekonują jednak, że brexit znacząco zmienił sytuację. Tyle że Szkoci wcale nie chcą, aby referendum odbyło się teraz. Ci sami ankietowani, którzy opowiedzieli się za niepodległością Szkocji, nie chcą nowego referendum w tym roku (tylko 34 proc. jest za) ani w przyszłym (nieco więcej, bo 41 proc., jest za). Dopiero w perspektywie pięciu lat przewagę zyskują ci, którzy chcą nowego plebiscytu. Ponadto 42 proc. ankietowanych uważa, że w przypadku oderwania się od Wielkiej Brytanii sytuacja gospodarcza Szkocji się pogorszy, a tylko 32 proc., że polepszy. Gdyby więc szkoccy nacjonaliści zdecydowali się przeprowadzić referendum na fali brexitu, jego wynik mógłby być podobny do tego z 2014 r. Brytyjski rząd zresztą nie próżnuje. Jak informują media nad Tamizą, Downing Street no.10 zamierza wydać w najbliższym czasie setki milionów funtów na budowę infrastruktury oraz inwestycje w Szkocji, w tym na stypendia dla szkockich studentów, którzy chcą uczęszczać na angielskie uniwersytety. Podobny pakiet pomocy strukturalnej jest szykowany także dla Irlandii Północnej i Walii.

Aleksandra Rybińska

Fot. ai clark/Shutterstock.com

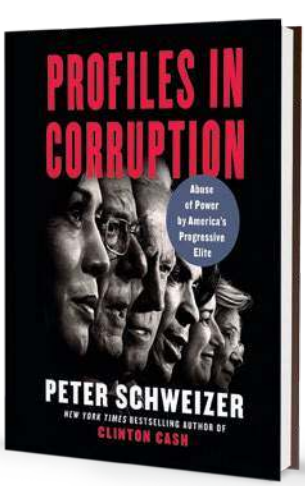
Niewygodna książka

USA

Czy ta książka pogrąży Joe Bidena? Trudno uwierzyć, aby umiarkowani demokraci nie zagłosowali na Bidena w starciu z Donaldem Trumpem, nawet jeżeli pojawią się mocne dowody na jego dziwne interesy z przeszłości. Strach przed Trumpem jest o wiele silniejszy. Jednak wiceprezydent USA z administracji Baracka Obamy musi najpierw wygrać prawybory. A najnowsza książka Petera Schweizera może Bidenowi te plany mocno pokrzyżować.

Schweizer jest znanym publicystą, którego książki już pięć razy trafiały na listę bestsellerów „New York Timesa". Kilka tygodni temu w popularnym programie porannym „Fox & Friends" ujawnił on, że aż pięcioro członków rodziny czerpało korzyści z wiceprezydentury Bidena. Poza synem byłego wiceprezydenta Hunterem Bidenem, którego imię pojawiło się już przy aferze ukraińskiej, wielkie interesy – tyle że w Ameryce Środkowej – mieli ubijać również jego bracia James i Frank. Poza tym Hunter – po powrocie ze wspólnej podróży z ojcem do Chin – miał też podobno zrobić wielomilionowy interes z Bankiem Chin.

Z kolei w wywiadzie dla prawicowego „Breitbart News" Schweizer opowiadał o tym, jak Amtrak (największy operator kolejowy w USA) celowo opóźniał kursy pociągów, aby Biden mógł na nie zdążyć. „On nawet w takich rzeczach nadużywał swojej władzy" – mówił Schweizer, podkreślając, że to doskonały symbol tego, w jaki sposób wyglądało urzędowanie Bidena.



Na takich oskarżeniach może zyskać depczący Bidenowi po piętach socjalista Bernie Sanders, którego kochają młodzi i ideowi Amerykanie. Senator z Vermont buduje swój przekaz na uderzaniu w elity i powiązania polityków z wielkimi korporacjami. W świetle tych zarzutów Joe Biden doskonale pasuje do profilu wroga rewolucjonistów od Sandersa.

Łukasz Adamski

eprasa.pl 4380405d25

Chiny

Epidemia w gospodarce



Fot. Frame China/Shutterstock.com

Choć światowe rynki odetchnęły po informacjach o możliwym wynalezieniu szczepionki na chiński koronawirus, to jednak gospodarcze skutki epidemii, która już pochłonęła – w świetle oficjalnych danych – życie kilkuset osób mogą się okazać poważne.

Branża lotnicza i turystyczna na całym świecie już raportuje o idących w setki milionów dolarów stratach związanych z ograniczeniami w przemieszczaniu się ludzi. Apple, światowy gigant komputerowy, który w Chinach zatrudnia ponad 10 tys. osób, nie tylko zamyka tamtejsze biura i sklepy, ale zaczyna też odczuwać braki w zaopatrzeniu. Do podobnych kroków jak Apple przymierzają się inne amerykańskie korporacje działające w Państwie Środka, m.in. Starbucks, Tesla i Levi Strauss.

Pierwszego dnia po otwarciu handlu w związku z zakończonym właśnie chińskim nowym rokiem tamtejsze giełdy odnotowały straty przekraczające 700 mld dol. Chiński Bank Centralny, ratując zadłużone przedsiębiorstwa, które wcześniej zaciągały kredyty pod zastaw własnych akcji i teraz, w związku ze spadkiem ich wartości, muszą uzupełnić bankowe zabezpieczenia, w trybie nagłym wyrzucił na rynek ponad 170 mld dol. Podobnie zareagowały giełdy surowcowe na całym świecie. Ceny ropy naftowej spadły w ciągu kilku dni o 16 proc., przebijając niebezpieczną z punktu widzenia głównych producentów barierę 60 dol. za baryłkę. Inaczej mówiąc, wyraźnie spada popyt chińskiej gospodarki na surowce.

Już obecnie ekonomiści są zdania, że spowolnienie chińskiego wzrostu wyniesie nie mniej niż 2 proc., a trzeba przy tym pamiętać, że tamtejsza gospodarka zwalnia już kolejny kwartał. Dla krajów uzależnionych od eksportu surowców, takich jak Federacja Rosyjska oraz naftowe państwa Zatoki Perskiej i objęty międzynarodowymi sankcjami Iran, z którym Chiny nadal handlowały, spowolnienie może okazać się wielkim szokiem. Ale będzie też niełatwe dla reszty świata, znajdującego się, w opinii wielu ekspertów, w przededniu nowego kryzysu.

Zdaniem analityków Moody's osłabienie światowej koniunktury w wyniku epidemii w Chinach może być tym impulsem, który doprowadzi do załamania się światowej gospodarki, a recesja będzie głębsza niż w latach 2008–2009. Wkrótce się okaże, czy zapowiadana szczepionka na wirus okaże się również skutecznym lekarstwem na dolegliwości ekonomiczne.

Marek Budzisz

Pakistan

Sąd Najwyższy kontra prawo

3 lutego Sąd Najwyższy prowincji Sindh w Pakistanie wydał wyrok w sprawie 14-letniej chrześcijanki Humy Younus z Karaczi. 10 października ub.r. dziewczynka została porwana przez muzułmanina Abdula Jabbara, zgwałcona, a następnie siłą zmuszona do ślubu i do przejścia na islam. Rodzice szybko się dowiedzieli, kto uprowadził ich córkę, i zgłosili to na policję. Ta jednak stwierdziła, że nie może nic zrobić, ponieważ nastolatka jest w świetle prawa żoną Jabbara.

Przypadek Humy nie jest odosobniony. Co roku w Pakistanie porywa się około tysiąca chrześcijańskich lub hinduskich dziewczynek, które gwałci się i zmusza do poślubienia muzułmanów oraz do konwersji na islam. Ich rodzice są zazwyczaj bezradni, gdyż są zbyt ubodzy, by toczyć batalie przed sądami. Tym razem jednak wsparcie rodzinie Younus okazała organizacja Pomoc Kościołowi w Potrzebie oraz katolicki prawnik Tabassum Yousaf, który podjął się prowadzenia sprawy Humy. Powołał się on na obowiązujące w prowincji Sindh prawo, które zabrania zawierania ślubów z osobami nieletnimi. W efekcie sprawa trafiła (po raz pierwszy w tego rodzaju przypadku) do Sądu Najwyższego.

3 lutego sędziowie wydali wyrok stwierdzający, że małżeństwo jest ważne i Huma Younus pozostaje żoną Abdula Jabbara. Uznali tym samym wyższość prawa islamskiego nad ustawodawstwem państwowym, zgodnie z szariatem bowiem każda dziewczynka, która przeszła pierwszą menstruację, jest już gotowa do zawarcia ślubu. Sędziowie podzielili tym samym argumentację porywacza, który powołał się na przykład Mahometa. Muzułmański prorok poślubił jedną ze swych żon Aiszę, kiedy ta miała sześć lat. Następnie czekał trzy lata na jej pierwszą miesiączkę, by móc skonsumować małżeństwo.

Nagheena Younus, matka Humy, słysząc wyrok, wybuchła płaczem. Jej rozpacz nie wzruszyła jednak sędziów Sądu Najwyższego, którzy wydali swój wyrok „w imię Allaha miłosiernego, litościwego".

Grzegorz Górny

eprasa.pl 4380405d25

I ŚMIESZNI, I STRASZNO

Personalia i anomalia



Jan Pietrzak

Marshall Grodzki zapowiadał: „Ma mnie odwiedzić Macron" i rzeczywiście podał mu rękę. Na nasze szczęście Grodzki pozwolił Macronowi porozmawiać z prezydentem i z premierem.

Sassolini, szef PE: „Auschwitz zostało zbudowane przez Europejczyków". Dodajmy: po to, by mordować innych Europejczyków. Między mordercami a ich ofiarami, panie S., jest pewna różnica, niezależnie od „europejskości".

Budka: „Jesteśmy gotowi, żeby wspólnie reformować wymiar sprawiedliwości"... Wspólnie z kim? Z Verhofstadtem?

Jachira, posłanka Platformy O., dokonała profanacji Mojżeszowych tablic z Dekalogiem. Należy się liczyć z reakcją Izraela.

Greta Thunberg zarejestrowała się jako znak towarowy „klimatyzmu". Ponieważ (jakiś) klimat jest wszędzie, należą się jej duże tantiemy.

Sędziowie w stanie spoczynku żądają nowej ustawy o KRS. Z powodu demencji zapomnieli, że ustawami zajmuje się Sejm, natomiast oni mają spoczywać w spokoju...

Grodzki o szpitalach: „Dyrektorzy rwą włosy z głów. Procedury są źle wycenione". Wiadomo, że on wyceniał lepiej. Jak to pisał poeta? „Który skrzywdziłeś człowieka prostego... Spisane będą sumy i dowody... Szuflada pamięta".

Pan Zdradek urządził na zapleczu PE zbiorowe żebranie o bratnią pomoc przy dźwiękach arii z „Króla włóczęgów". „Do nas, do nas na żebraczy sejm, dziady ruskie i Sadurskie, hej, rzućcie belki w kącie zdrajcy urwipołcie, a ty, Biedroń, wino lej!".

Kolekcja myśli Kidawy: „Gdyby natura chciała przekopu Mierzei Wiślanej, to by ten przekop był (tak jak w Suezie i Panamie)".

„Czuję wsparcie kolegów z PiS-u, bo jesteśmy jedną drużyną". „Kaczyńskiemu tylko na Polsce zależy!" Powiem od siebie, to jest jednak sensacja.



Bond to przy nim nikt

Z aktorem Sławomirem Orzechowskim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Rok 2020 ma przybliżyć Polakom głównego bohatera najnowszej premiery Teatru TV. Kim był o. Józef Maria Bocheński?

Sławomir Orzechowski: Wulkanem mądrości, człowieczeństwa, energii, temperamentu, wiary, miłości... Wszystkim, czym żyje kosmos. „Opakowanym" w habit dominikanina (ale też z doświadczeniem polskiego munduru roku 1920 i czasów II wojny światowej, co dawało mu prawo do wypowiadania się na ten temat). Używającym całego człowieczego spektrum do emanacji fantastycznych cech, które w sobie posiadał.

Nazywa pan też swojego bohatera „urwisem Bożym".

Tak, bo był niesfornym, wciąż poszukującym „dzieckiem", naznaczonym przez Boga, któremu co rusz wymykał się spod kontroli, a jednocześnie bardzo się – mam wrażenie – kochali.

O. Bocheński potrafił przełożyć tę „dziecięcą" niepokorę na język filozofii i logiki.

Oczywiście, jako człowiek wielkiej wiedzy i naukowego doświadczenia...

...jednak punktem wyjścia spektaklu „Negocjator" jest wydarzenie niczym z kina akcji.

Chodzi o rok 1982, kiedy ambasada w Bernie została zaatakowana przez członków powstańczej AK, domagających się zniesienia stanu wojennego w Polsce. Bocheński został poproszony przez Szwajcarów o pomoc. Żeby rozbroić tę sytuację, bez ofiar, a jednocześnie zdobyć informacje m.in. na temat siatki szpiegowskiej, musiał się wykazać wielką mądrością. Ale kto jak nie on: nietuzinkowa, wielowymiarowa postać, człowiek głębokiej wiedzy i wiary. A jednocześnie James Bond przy nim to nikt.

Fot. Baranowski/AKPA

Autopromocja

eprasa.pl 4380405d25

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange™ — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Nobel dla Opani

W przypadku Turskiego mieliśmy do czynienia z redukcją do Auschwitz. Widma przywołane przez niego odnoszą się szczególnie do propagandy, którą totalna opozycja kreuje dziś w Polsce



„Nie bądźcie obojętni, gdy przeszłość jest naciągana do aktualnych potrzeb polityki" – powiedział Marian Turski w rocznicowym przemówieniu w Auschwitz. Trudno nie podpisać się pod tym postulatem. Idealnym jego przykładem było cytowane wystąpienie.

Spreparowane zostało zręcznie. Turski oświadczył, że nie będzie zanudzał opowieściami o historii, ale powie o teraźniejszości. Po czym opisywał narastającą presję na Żydów w III Rzeszy, która skończyła się Holokaustem. Odbiorca musiał zrozumieć to w jeden sposób: skoro to nie historia, to analogiczne wydarzenia rozgrywają się właśnie teraz. Zwłaszcza że Turski wzywał: „Nie bądźcie obojętni, gdy jakakolwiek mniejszość jest dyskryminowana [...]. Nie bądźcie obojętni, kiedy jakakolwiek władza narusza przyjęte umowy społeczne [...] bo jeżeli nie, to się nawet nie obejrzycie, jak na was, jak na waszych potomków »jakiś Auschwitz« nagle spadnie z nieba".

Pomimo mnóstwa realnych zagrożeń, które stoją przed nami, akurat wspominane przez Turskiego nie są aktualne, przywołują jednak widma, którymi straszą nas dominujące ośrodki opiniotwórcze. Propaganda ta ma paraliżować większość, aby nie upominała się o swoje demokratyczne prawa. Jedną z technik lewicy jest „redukcja do Hitlera", która służyć miała zastraszeniu i pacyfikacji politycznych konkurentów. Hitler mówił o narodzie, wspólnocie, heroicznych cnotach, jeśli więc ktoś odwołuje się do tego samego, jest po prostu nazistą. Racjonalną debatę zastępuje stygmatyzowanie.

W przypadku Turskiego mieliśmy do czynienia z redukcją do Auschwitz. Widma przywołane przez niego odnoszą się szczególnie do propagandy, którą totalna opozycja kreuje dziś w Polsce. Potrafiła ona twierdzić bezpośrednio, że PiS buduje totalitarne państwo.

Jacek Karnowski na portalu Polityce.pl zadał kilka rzeczowych pytań dyrekcji Muzeum Auschwitz. Podstawowe brzmiało: czy wiedziała o tezach, które Turski przedstawi na rocznicy? Wystąpienia takie są jakoś konsultowane, szczególnie że uroczystości odbywały się w wyjątkowych okolicznościach, które stworzył atak Putina na Polskę. Najważniejsza jednak jest godność miejsca, która nie powinna pozwalać instrumentalizować go do doraźnych interesów politycznych. Wystąpienie Turskiego miało taki właśnie charakter. To element wspomnianej lewicowej strategii. Prowadzi do banalizacji największych tragedii. Tym bardziej nie należy akceptować takiego stanu rzeczy.

Zamknięcie w Auschwitz było tragedią, ale samo w sobie nie nobilitowało więźnia. Trafiali tam różni ludzie, różnie zachowywali się po uratowaniu, należało więc zwrócić uwagę, komu honor przemawiania w takim momencie przysługuje.

Tego, co powie Turski, można się było spodziewać. Od czasu wojny wierny funkcjonariusz totalitarnego komunizmu aż do jego końca. Ludzie tacy darzą niechęcią władzę, która odwołuje się do narodowej tożsamości i autentycznej, wspartej na etycznym porządku, demokracji. Turski od początku był w redakcji tygodnika „Polityka", który stanowi doskonałą ilustrację ciągłości PRL i III RP. Pismo powstało na gruzach zlikwidowanych, stosunkowo zbuntowanych, „odwilżowych" tygodników. Od początku miało nieco większy margines swobody, to znaczy pozwalano tam krytykować niektóre marginalne zjawiska społeczne tudzież zgłaszać bardzo ostrożne i nienaruszające systemu postulaty liberalizacji ekonomicznej. Pismo poparło stan wojenny. A w III RP okazało się idealnie współbrzmieć z jej głównym nurtem ideowym formowanym przez „Wyborczą".

Miałem kiedyś okazję uczestniczyć z Turskim w debacie na temat rocznicy marca '68. Wypowiadał się krytycznie na temat zachowania Kościoła w tamtym okresie i podnosił z dumą postawę swojego tygodnika. Zapytałem: czy nie czuje niekonsekwencji w tym, że atakuje Kościół za to, że jego krytyka kampanii komunistycznej była niedostatecznie radykalna, i wychwala „Politykę" wyłącznie za to, że kampanii nie wsparła? Nie odpowiedział.

Ewentualne dwuznaczności, jakie wiązały się z jego wypowiedzią, rozwiał entuzjazm, jaki wywołała. Trzoda Jacka Żakowskiego w Tok FM po prostu nie posiadała się z zachwytu. A „Polityka" postanowiła wysunąć go do Nagrody Nobla.

Rozumiem zasługi, ale bądźmy uczciwi. Są godniejsi. Oto aktor Marian Opania oświadcza: „Uważam, tak jak za komuny, że jeżeli ktoś popiera ten typ władzy [PiS], to albo jest durniem, albo wyrachowanym łajdakiem, sprzedawczykiem. Innego wyjścia nie ma". Można by wysunąć go do podwójnego Nobla: pokojowego i literackiego.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4380405d25

Sanktuarium Wolności ponad podziałami



Marta Kaczyńska-Zielińska

Gdańskie tereny stoczniowe, w których rozgrywały się najważniejsze wydarzenia w najnowszej historii Polski i Europy, od lat jawiły się jako smutny obraz polskiej transformacji ustrojowej, która zamiast tchnąć w nie nowe życie, pozwoliła, by stały się przygnębiającym obrazem niewykorzystanej szansy. Gdzieniegdzie tylko zmienionym przez ukryte w zaniedbanych elewacjach hal kilka prężnie rozwijających się przedsiębiorstw jachtowych. Europejskie Centrum Solidarności, wybudowane nieopodal słynnej na cały świat bramy i pomnika Trzech Krzyży, już tylko swoją przytłaczającą i mroczną formą architektoniczną nie nasuwa skojarzeń z dawnym sanktuarium Solidarności i Wolności, z którego sercem sąsiaduje.

Zabudowania istniejące na terenie Stoczni Gdańskiej mają historię sięgającą końca XIX w., kiedy to w miejsce Królewskiej Bazy Korwet i Stoczni Królewskiej powstała Stocznia Cesarska. Miejsce to z biegiem wydarzeń historycznych zmieniało właścicieli i nazwy. Pierwotny układ zabudowy, a w szczególności wiele obiektów takich jak hale, magazyny (sala BHP), zachował się do obecnych czasów i wraz z basenem portowym był miejscem, w którym odbywały się wydarzenia prowadzące do upadku komunizmu. W 2014 r. kilkaset obiektów należących do dawnej stoczni zostało wpisanych do ewidencji zabytków, ale wskutek protestów ich właścicieli wiele z nich zostało z niej wykreślonych i rozebranych. Dwa lata później zespół dawnej Stoczni Cesarskiej w Gdańsku został objęty przez wojewódzkiego konserwatora zabytków procedurą wpisu do rejestru zabytków województwa pomorskiego, która zakończyła się dokonaniem wpisu przez generalnego konserwatora zabytków. Rok później w ramach planów rewitalizacji terenów poprzemysłowych wskazany teren został sprzedany, a nowi właściciele odwoływali się od decyzji stwierdzającej, że to zabytek wymagający szczególnej ochrony. Finalnie Wojewódzki Sąd Administracyjny nie przychylił się do argumentacji skarżących. Według informacji dostępnych na stronach internetowych plac wokół dawnego budynku dyrekcji stoczni (w którym mają powstać biura), sąsiadujący bezpośrednio z salą BHP, ma zostać zabudowany budynkami mieszkalnymi. Na stoczniowych nabrzeżach ma powstać deptak, kawiarnie, kluby, hotele, a stoczniowy dok zostanie przekształcony w basen. Obecnie spacerujący po kolebce Solidarności mają okazję zobaczyć wizualizacje deweloperskie, informacje o dziejach tego miejsca zawarte na tabliczkach z historycznie uzasadnioną, ale jednak w pierwszej chwili zapewne mylącą, zwłaszcza najmłodsze pokolenie, nazwą „Stocznia Cesarska".

W tym stanie rzeczy cieszy podjęta przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego w porozumieniu z władzami Gdańska inicjatywa zgłoszenia wniosku o wpisanie Stoczni Gdańskiej na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO jako pomnik historii. Według ankiety przeprowadzonej wśród gdańszczan 67 proc. badanych popiera ten pomysł. 31 stycznia polska delegacja złożyła w Paryżu stosowne dokumenty. W uzasadnieniu napisano: „Stocznia Gdańska stanowi znakomity przykład wielkoskalowego zakładu przemysłowego. Po II wojnie światowej był to największy producent statków w Polsce i całym Bloku Wschodnim, który zatrudniał tysiące pracowników. Jednocześnie dla ludzi w komunistycznej Europie było to okno na świat. [...] Sieć budynków, ulic i otwartych przestrzeni Stoczni Gdańskiej stały się świadkami wydarzeń będących kamieniem milowym w historii świata prowadzących do zjednoczenia demokratycznej Europy. Stocznia Gdańska – miejsce narodzin Solidarności i symbol upadku żelaznej kurtyny w Europie, z wielu powodów jest miejscem o ogromnym znaczeniu dla historii świata i wspólnego dziedzictwa ludzkości". W najbliższym czasie ma również zostać powołana Rada Dziedzictwa Stoczni Gdańskiej skupiająca zarówno przedstawicieli instytucji posiadających swoje siedziby na terenie dawnej stoczni, urzędników miasta Gdańska, jak i inwestorów. Wolą ministerstwa jest zapewnienie, by na terenie stoczni powstała nowoczesna i tętniąca życiem tkanka miejska – smart city – ale z poszanowaniem jej szczególnego znaczenia dla najnowszych dziejów. Decyzja w sprawie wpisu Stoczni Gdańskiej na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO powinna zapaść w 2021 r.

16 lutego 2020 roku o godz. 18-tej,

w 25. rocznicę śmierci

ŚP

ojca, płk. prof.

Józefa Marii Bocheńskiego

w kościele św. Jacka w Warszawie przy ul. Freta,

zostanie odprawiona msza św. za spokój Jego duszy.

Całe życie jako żołnierz, kapłan i filozof

służył Bogu i Polsce.

Uczniowie i Przyjaciele

eprasa.pl 4380405d25



Walizka Jarosława Kreta

dziennikarza, prezentera pogody, podróżnika

Ja podróżuję zawodowo. Zjechałem pół świata albo trochę więcej. O podróżach piszę książki i realizuję programy telewizyjne. Od moich mistrzów nauczyłem się jak się pakować i zachowywać podczas podróży. W Azji czy Afryce my Europejczycy wyglądamy jak chodzące bankomaty. Specjalnie się obklejamy markowymi rzeczami i biżuterią, żeby jeszcze bardziej niepotrzebnie przyciągać uwagę. A moim mottem jest zasada: „bądź niepozorny". Wyglądaj wręcz jak jakiś obwieś, to nikt się do ciebie nie przyczepi.

BIAŁA KOSZULA



Staram się zazwyczaj zakładać do samolotu białą koszulę. Tak ubrany czuję się lepiej, a z drugiej strony okazuję szacunek tym, którzy mnie obsługują. Człowiek zazwyczaj po długim locie jest „wyprany". Biała koszula dodatkowo daje wrażenie, że nie do końca jestem tak wymiętolony.



SKŁADANE OKULARY

Nauczyłem się minimalizmu w podróży, żeby mieć przyzwoitą mobilność. Ponieważ jeżdżę głównie w miejsca, gdzie jest nadaktywność słoneczna, takie okulary są jak najbardziej pożądane.

KAMERA DO KOMÓRKI



Jest to malutka kamera 360 stopni, pozwalająca rejestrować obraz wokół siebie. To malutkie urządzenie mieszczące się w kieszeni pozwala na pokazanie okolicy, z której nadaję relację.



ŻÓŁTE PAPIERY

W niektórych krajach świata żółta książeczka szczepień jest wymagana, szczególnie z wpisem, że byliśmy szczepieni na żółtą febrę albo na cholerę.

PŁYN DO MYCIA DŁONI



Płyn do mycia dłoni czy wilgotne chusteczki podczas egzotycznych podróży są podstawą, bo nie wszędzie jest dostęp do czystej wody.



CHUSTY

Zawsze zabieram, gdy jeżdżę w miejsca, gdzie jest ogromne nasłonecznienie. Ponieważ nie lubię czapek, zawijam chustę wokół głowy, okrywam ramiona. Chusta może też służyć do okrycia twarzy podczas snu jako moskitiera.

eprasa.pl 4380405d25





KURTA

To jest indyjska koszula. W krajach arabskich podobne nazywają się galabija lub dżalabeja. Są wykonane z cieniutkiej lekkiej tkaniny. Do pary mam jeszcze luźne spodnie „ciurydar". Na upały jak znalazł.

TAŚMA

Trwała taśma wzmacniana włóknami w środku. Można się nią nawet przywiązać do drzewa, gdy robimy z wysokości zdjęcia zwierzętom. Taką taśmą można skleić buty, rozdarte spodnie czy rozwalony plecak. Wbrew pozorom bardzo się przydaje.





APARAT FOTOGRAFICZNY

Nie zawsze telefonem można zrobić dobre zdjęcie, a ten mimo niewielkich gabarytów jest bardzo wydajny. Aparatu używam do dwóch celów - uwieczniania pięknych krajobrazów i dokumentacji.

WALIZKA

Kultowa i metalowa. Odporna na uderzenia. Jest ulubioną walizką niemieckich pilotów. Im bardziej poobijana, tym lepiej, bo mniej zwraca uwagę złodziei.





BUTY

Rodzaj obuwia zależy od miejsca, w które się wybieram. Jeżeli jest to teren górski lub nieprzystępny z powodu bagien, gdzie są m.in. pijawki, to zabieram trekingowe buty za kostkę w komplecie z dobrymi wełnianymi skarpetami.

Wysłuchał i spisał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Ekolodzy na piekielnym bruku



Dominik Zdort

Kłopoty zaczęły się, kiedy usiłowałem zrobić w sklepie niedaleko domu większe zakupy, których częścią były trzy duże butelki coli. Kupić jeszcze się dało, ale już wynieść ze sklepu – nie bardzo. Sklep bowiem wycofał ze sprzedaży torby plastikowe, które zdołałyby unieść ciężar zakupów, i wprowadził papierowe, które natychmiast by się rozerwały. Zostawiłem więc swoje trzy butelki napojów przy kasie i jak niepyszny wróciłem do siebie, spędzając wieczór o suchym pysku.

Od tego czasu na wszelki wypadek staram się odwiedzać tylko te sklepy, które pozwalają mi kupić mocną plastikową torbę. Ale – żeby nie było, że jestem obskurantem – staram się coś robić dla życia i zdrowia naszej planety. Zacząłem bardzo szczegółowo segregować śmieci. Tym bardziej że zarząd spółdzielni mieszkaniowej postraszył, iż jeśli mieszkańcy nie będą tego robić, to opłaty za wywóz nieczystości wzrosną trzykrotnie.

Problem oczywiście polega na tym, że niewiele ode mnie zależy. Wystarczy, że w domu, w którym jest 120 mieszkań, ktoś nie doczyta zaleceń, a cały mój wysiłek pójdzie na marne. Mam więc pomysł racjonalizatorski: niech obok śmietnika dla plebsu stanie śmietnik komercyjny, taki „za żółtymi firankami". Z pierwszego będą korzystać ci bardziej oszczędni i zwolennicy segregacji, z drugiego ci bogatsi, którzy gotowi są płacić trzy razy więcej.

Na razie jednak dostosowałem się do nakazów i dzielnie segreguję. Jak każdy normalny człowiek nie mam tyle miejsca w kuchennych szafkach, żeby postawić pięć oddzielnych koszy, każdy na inny rodzaj nieczystości. Więc moje mieszkanie udekorowane jest wiszącymi na wieszakach i gałkach, specjalnie w tym celu zakupionymi workami foliowymi. To są cieniutkie woreczki, przerwałyby się pod ciężarem większej ilości śmieci szklanych czy metalowych, więc nie mogą być za duże. Dlatego raz po raz muszę je wymieniać, szybko się zużywają.

To kosztuje, ale akurat w tym momencie nie o to mi chodzi. Ale o to, że fanatyczna walka ekologów o segregację doprowadziła – przynajmniej w moim przypadku – do odwrotnego skutku. Kiedyś na tydzień wystarczał mi jeden plastikowy worek, dziś wyrzucam ich w tym samym czasie pięć. W dodatku są to te cieniutkie woreczki, podobno bardziej niebezpieczne dla ptaków i ryb niż te grubsze sklepowe.

Wiadomo, piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami. A po tym bruku od lat kroczą ekolodzy.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 4380405d25

RZECZY POSPOLITE

Przypadek Connora



Tomasz Łysiak

W znakomitym serialu „Sukcesja" w rodzinie magnata telewizyjnego Logana Roya trudno doszukać się pozytywnych postaci. „Kłębowisko żmij" – najlepiej kwituje całe towarzystwo brat nestora rodu. Pośród czwórki dzieci Logana tylko jeden z synów – Connor – unika sporów, stara się być symetrystą, więc gdy dochodzi do kłótni, staje z boku. W rodzinie uznawany jest za głupka i dziwaka. Jednak w pewnej chwili wpada na „genialny" pomysł – postanawia zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Początkowo Royowie nie zwracają na to uwagi, ale gdy Connor zatrudnia sztab fachowców, zaczyna opracowywać strategię i wrzucać do sieci idiotyczne apele oraz przemowy – dociera do nich, że to na serio. Patrzą na niego jak na wariata, wręcz są przerażeni, ale on już tak silnie wierzy w swoją misję, że nie chce się wycofać.

Jakoś tak się stało, że właśnie postać Connora przypomniała mi się, gdy zobaczyłem kolejny popis kandydata na prezydenta Szymona Hołowni. Popis podwójny. Bo najpierw wrzucił do internetu filmik reklamujący swoją kandydaturę, z nawiązaniami do katastrofy smoleńskiej, potem przez chwilę go bronił, następnie wycofał, tłumacząc się, że właściwie nie zauważył, iż jedyne drzewo w spocie to brzoza i że zaraz po niej jest pokazany papierowy samolocik.

Rozwój sytuacji wskazuje na jedno: mamy do czynienia z polskim Connorem. I wcale nie sądzę, by stały za nim jakieś siły (jeśli już – to tylko wykorzystują sytuację, uznając, że jest „pożytecznym kandydatem"). Raczej uważam, że panu Hołowni od dawna rosło ego. Coraz mocniejsze, wybujałe, pełne odrostów, pędów, konarów i dzikich lian, ale maskujące się listowiem chrześcijańskich cnót, które kandydat sztabu Hołowni w ten czy inny sposób ukazywał społecznie od wielu lat. Aż dorosło do „prezydentury". I to właśnie wielkie, wybujałe ego – wyobraźnia podpowiadająca „wydobywanie kraju z chaosu", ściskanie ręki Macronowi i przyjmowanie kanclerz Angeli na Krakowskim Przedmieściu – stoi u podstaw wszystkiego. Jest nim wybrukowana kandydatura Hołowni. Cała reszta to pochodne.

Zenek a sprawa polska



Piotr Cywiński

„Jeśli zrezygnujesz ze śpiewania, będę miał jeszcze piękny dzień", rzucił do jednego z uczestników teleprogramu „Niemcy szukają supergwiazdy" juror Dieter Bohlen. On sam talent ma i wpływy też, nie dość, że z Modern Talking podbił świat, to od lat pomaga lub utrudnia młodym stawiać pierwsze kroki na estradzie. Elżbieta Zapendowska kariery piosenkarskiej nie zrobiła, jest specjalistką od emisji głosu i krytykiem muzycznym, ale w końcu ornitolog też nie potrafi fruwać, a się zna. Szlifowała pani Elżbieta takie diamenty jak Edyta Górniak, która na festiwalu Interwizji osiągnęła to, czego przed nią i po niej nie udało się żadnej i żadnemu z naszych. Parę dni temu panią Zapendowską coś podkusiło, żeby wyjawić, co myśli o Zenku Martyniuku: że w jego piosenkach „nie ma ani myśli, ani muzyki, ani aranżacji", że niekoronowany król disco polo „śpiewa fatalnie" i w ogóle „robi źle wszystko", a „poza tym on już się nie naprawi".

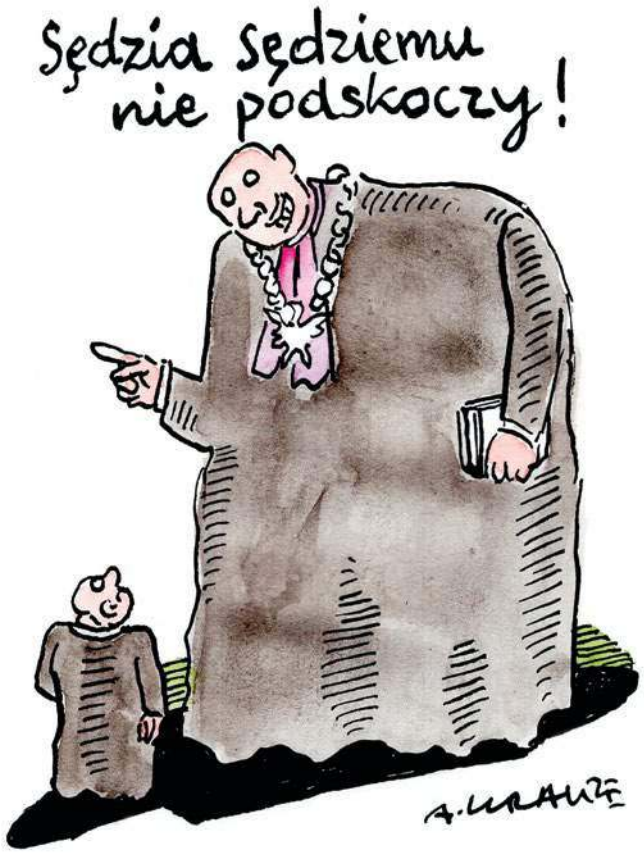
Wprawdzie nie tak poetycko jak Bohlen, ale poszło w eter i Martyniukowi w pięty. Ten w odpowiedzi rzucił, że „nie wie, kim jest pani" i że robi mu „brzydko". Czyli dla Eli Zenek już nie zaśpiewa: „Nasza jest ta noc, traci ten, kto śpi, straci wrażeń moc, a my bawmy się, niech orkiestra gra i szampana aż do rana, pijmy aż do dna", tralalalala...! A ja jestem w kropce. Bo cenię Zapendowską i nie mam nic do Martyniuka; co racja, to racja, może głos ma nieco przyziemny, jego teksty mówią same za siebie, ale że nie ma takiej rury, której nie można odetkać i ludzie chcą go słuchać: „życie to są chwile, chwile, tak ulotne, jak motyle, tyle, zegar daje znak, nie zatrzymasz go i tak"...

Aliści głos w kwestii Zenek a sprawa polska zabrał w „Gazecie Wyborczej" europoseł Janusz Lewandowski, który za PRL też miał pseudonim, tyle że nie estradowy... Jak to ujął w tekście „Elita wyklęta stawia opór gloryfikacji prostactwa" – „Kult i »Roztańczony Narodowy« to istotne wyróżniki »dobrej zmiany«". Znaczy, prymitywne wzorce lansowane przez PiS, a on, Lewandowski, jest tą elitą, która się opiera. Do tego niejaki Skiba Krzysztof dorzucił poprzez „Dziennik Bałtycki", że Zenek to głupol, który daje się „nieświadomie wykorzystywać", że go „upolitycznią" i „przyklejają mu na czole legitymację PiS", że Jacek Kurski z TVP „zrobił sobie z niego taką propagandową pacynkę". Jak skwitował Skiba, „dyktatorzy, chcąc ocieplić sobie wizerunek, pokazują się z pieskami, kotkami, próbując przekonać o tym, że mają serce".

Panie nieświadomy, piesku, kotku Zenku, może jakiś głos z estrady i nowy przebój o tym?

eprasa.pl 4380405d25

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

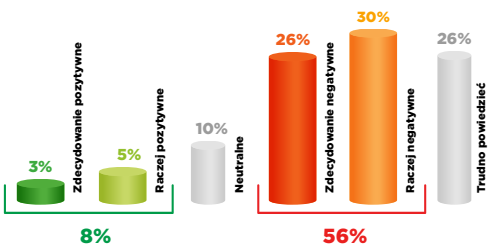
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDREJ WIKTOR, EVAN EL-AMIN/SHUTTERSTOCK.COM, FREDERIC LEGRAND-COMEO/SHUTTERSTOCK.COM, ID1974/SHUTTERSTOCK.COM, DROP OF LIGHT/SHUTTERSTOCK.COM, ALEXANDROS MICHAILIDIS/SHUTTERSTOCK.COM, HADRIAN/SHUTTERSTOCK.COM, RUMIR/SHUTTERSTOCK.COM, SHUTTERSTOCK

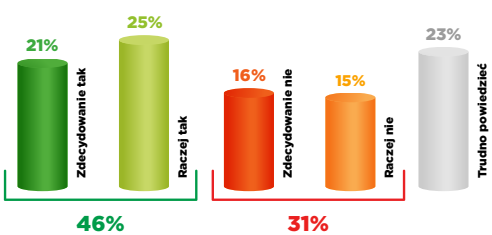
nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

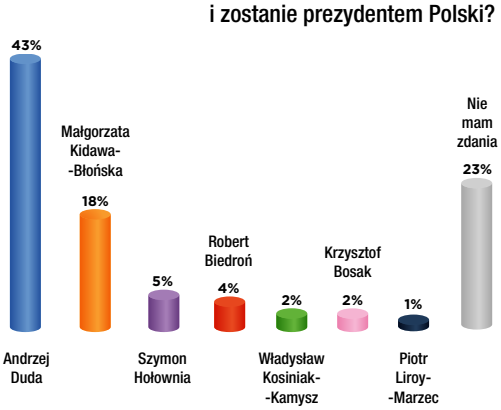
Jakie według Pani/Pana jest obecne nastawienie władz Rosji do rządu Zjednoczonej Prawicy w Polsce?



Czy popiera Pani/Pan odstrzał dzików w Polsce prowadzony przez myśliwych w związku z zagrożeniem epidemią ASF, czyli afrykańskim pomorem świń?



Kto według Pani/Pana wygra najbliższe wybory i zostanie prezydentem Polski?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1054.

Zakres czasowy badania 17 września–21 stycznia 2020 r.

eprasa.pl 4380405d25



Brudzenie kampanii

Fot. Andrzej Wiktor

Brutalizacja kampanii wyborczej Małgorzaty Kidawy-Błońskiej wynika z posługiwania się najłatwiejszą koncepcją, czyli antypisowską sztampą



STANISŁAW JANECKI

Ma być ciepłą, w miarę dystyngowaną, ale nie wyalienowaną panią z dobrego domu z tradycjami. Taką, przez którą przemawia życiowe doświadczenie i kod kulturowy znanych przodków. Taką, która zrozumie i otoczy opieką, lecz nie przekroczy granicy wścibstwa czy siermiężnej swojskości. Kiedy Małgorzata Kidawa-Błońska odwołuje się do swoich pradziadków, to raczej do prezydenta II RP Stanisława Wojciechowskiego, bo to socjalista z tego dobrego PPS, a potem ludowiec z PSL „Piast", teoretyk oraz praktyk spółdzielczości i starszy pan, który palił w domowych piecach. Pradziadek Władysław Grabski, po którym odziedziczyła rodowe nazwisko, dwukrotny premier w II RP i autor słynnej reformy walutowej, to już jednak endek i konserwatysta. Choć przecież ten „lepszy" pradziadek (Stanisław Wojciechowski) też zaczynał w związanym z narodowcami (najpierw z Ligą Polską, a potem z Ligą Narodową) Związku Młodzieży Polskiej „Zet", ale tych korzeni prawnuczka woli nie pamiętać. A już dziadek Władysław Jan Grabski, pisarz, ma zupełnie złą biografię z punktu widzenia poglądów

eprasa.pl 4380405d25

i politycznych afiliacji Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Był przecież nie tylko endekiem, lecz i współautorem oraz sygnatariuszem „Zasad programu narodowo-radykalnego" ONR-Falangi Bolesława Piaseckiego. Dziadek był więc sympatykiem „nacjonalistów", „faszystów", „antysemitów", „terrorystów" i „bojówkarzy", zwolenników „państwa totalitarnego".

Sama kandydatka Platformy Obywatelskiej na prezydenta to najpierw zwolenniczka oświeceniowej, postępowej i w zamyśle inteligenckiej Unii Wolności, a potem PO w wersji Donalda Tuska, czyli partii z tysiącem pretensji do bycia liberalnym rajem skupiającym najfajniejszych z fajnych. I ta „fajność" zdawała się głównym atutem Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, gdy została przez Grzegorza Schetynę namaszczona na kandydatkę na premiera. „Fajność" okazuje się jednak tylko maską, gdy przyszło do politycznej walki o prezydenturę i reprezentowania partii, która była antypisem nawet wtedy, gdy jej działacze spali. I nagle się okazało, że nie ma żadnej „fajności", ale są „złe" cechy Grzegorza Schetyny, Borysa Budki, Ewy Kopacz, Sławomira Nitrasa, Moniki Wielichowskiej, Bartosza Arłukowicza czy Michała Szczerby. A to wszystko w sosie własnym, czyli mało strawnym dogmatyzmie ideologicznym, braku elementarnego dyplomatycznego wyczucia, finezji słonia w składzie porcelany, fundamentalnego niepanowania nad językiem w znaczeniu składni, semantyki, logiki i ogólnego sensu oraz zaskakująco ubogiego bagażu kulturowego. „Fajność" zniknęła, a jej miejsce zajęły zacietrzewienie, zaskakująca brutalność oraz typowa dla radykałów z PO skłonność do fauli.

KONIEC „FAJNOŚCI"

4 lutego 2020 r., występując przed Pałacem Prezydenckim w związku z podpisaniem przez prezydenta Andrzeja Dudę tzw. sądowej ustawy naprawczej, Kidawa-Błońska miała już w sobie tyle „fajności", ile roztwór homeopatyczny ma w sobie substancji czynnej. Była wyłącznie brutalność i faule: „Tak naprawdę swoim podpisem [prezydent] zatwierdził zamach stanu na polską praworządność. To jest dzień hańby i prezydent nie jest godny tego, żebyśmy traktowali go jako prezydenta naszego kraju, bo nas po prostu zdradził". A wszystko z powodu podpisu pod ustawą, która nie podoba się opozycji. Nie ma w tych słowach nawet cienia przywiązania do legalizmu, poszanowania dla najwyższego urzędu w państwie, nie wspominając o zwykłej przyzwoitości oraz szacunku dla godności człowieka. Uzasadnienie tego politycznego i moralnego faulu było autoteliczne, więc takiej samej wartości jak owa radykalna teza, wyprowadzona z licznych insynuacji przedstawionych tak, jakby były faktami. Oto „prezydent Duda abdykował, nie słucha obywateli, nie słucha tego, że dla Polaków Unia ma wielkie znaczenie, że dla Polaków ich bezpieczeństwo i wolność ma wielkie znaczenie, tylko podpisał ustawę, którą podsunął mu prezes Kaczyński. [...] Prezydent pokazał, że Polacy go w ogóle nie interesują, on nas tak naprawdę po prostu zdradził i wprowadził na prostą drogę do tego, żeby Polska została wyprowadzona z Unii Europejskiej. [...] Prezydent nie dotrzymał swojej przysięgi, bo ani nie strzeże konstytucji, ani nie strzeże bezpieczeństwa Polaków, ani nie strzeże także naszej wolności, tylko ze strachu przed prezesem podpisał tak dramatyczną ustawę".

> Ktoś, kto nie panuje nad sensem i wyrazem przekazu, jak Kidawa-Błońska, nie zna miary ani nie jest w stanie przewidywać wagi słów. Taki polityk jest nie tylko brutalniejszy, lecz i bardziej podatny na zbiorowe emocje, najczęściej negatywne

Kidawa-Błońska okazała się dużo bardziej brutalna i demagogiczna niż stojący obok niej nowy przewodniczący PO Borys Budka. Zapewne dlatego, że osoba świadoma używanych narzędzi, a taki był Schetyna i jest Budka, panuje nad sensem i wyrazem przekazu. Natomiast ktoś, kto nad tym nie panuje, jak Kidawa-Błońska, nie zna miary ani nie jest w stanie przewidywać wagi słów. Taki polityk jest nie tylko brutalniejszy (najczęściej bez żadnej realnej potrzeby), lecz i bardziej podatny na nastrój chwili, na zbiorowe emocje, najczęściej skrajnie negatywne. I nie panuje nad tłumem, tłum panuje bowiem nad nim. A to jeszcze wzmaga brutalność i ułatwia faulowanie, czyni podatnym na manipulacje i sprzyja autorskim manipulacjom.

Kandydatka PO ani jej otoczenie nie mają pozytywnego pomysłu na kampanię czy generalnie polityczne wystąpienia, a i sama Kidawa-Błońska nie bardzo nadaje się do pokazywania czegoś pozytywnego, gdyż to wymaga innej osobowości, innego intelektu, innych życiowych doświadczeń. Bez tego pozytywny program zamienia się w stek banałów i oczywistości. Kidawa-Błońska raczy wyborców takimi banałami na każdym kroku, gdy tylko nie „jedzie po bandzie". Oto garść przykładów: „Sejm powinien być miejscem otwartym na współpracę i konsultacje z ekspertami", „Człowiek bez dostępu do niezależnego sądu przestaje być wolny", „Niezależne sądy to nasza wspólna sprawa", „Nasi obywatele zasługują na medycynę opartą na nauce, a nie ideologii", „Kultura to nasze bogactwo!", „Każdy, kto stawia nas w kontrze do Unii Europejskiej, działa przeciwko interesowi Polski", „Bez wolności nie da się oddychać", „Polska musi być silna społeczeństwem obywatelskim", „Polscy przedsiębiorcy są odważni, rozsądni i kreatywni", „Naszym obowiązkiem jest przypominanie, do czego zdolny

eprasa.pl 4380405d25

jest człowiek motywowany nienawiścią do innych ludzi". Jeśli pozytywny program zawodzi, jedyne, co jest w zasięgu kandydatki PO i jej sztabu, to najgorszy, najbardziej sztampowy rodzaj antypisu. Ale ponieważ kompletnie brakuje w tym finezji, antypis bardzo często staje się nieznośnym i prymitywnym młotkowaniem.

BŁĄD BRUTALIZACJI

Dama z dobrego towarzystwa, za jaką chce uchodzić Kidawa-Błońska, sama rujnuje ten wizerunek, atakując prezydenta Dudę w stylu Janusza Palikota i Jerzego Urbana. Jej najczęstszy zarzut wobec urzędującego prezydenta to niesamodzielność. Ma się za tym kryć ścisła zależność od Jarosława Kaczyńskiego oraz PiS. Tyle że Kidawa-Błońska zdaje się nie rozumieć ustrojowego funkcjonowania prezydenta, szczególnie wywodzącego się z tego samego obozu. Nie wyciągnęła więc żadnych wniosków z prezydentury dotychczasowych głów państwa polskiego. Ale przecież nie o jakąkolwiek analizę czy generalizację tu chodzi, lecz wyłącznie o stygmatyzujący epitet. Sama Kidawa-Błońska ma być samodzielna, co momentami może brzmieć groteskowo, zważywszy na to, że Schetyna wykreował ją prawie ex nihilo, od początku podpowiadając scenariusz jej roli. I dotychczas żadnej samodzielnej koncepcji nie przedstawiła. Nie tylko ogólnopolitycznej, lecz nawet w konkretnych sprawach. Chyba że za samodzielność uznać jej odcięcie się po pewnym czasie od własnego promotora, ale to wynikało z kalkulacji i podpowiedzi, że Schetyna nie utrzyma się na stanowisku przewodniczącego partii. Można by wręcz powiedzieć, że spośród zdeklarowanych kandydatów na prezydenta wszyscy są bardziej samodzielni od Kidawy-Błońskiej, czego dowodem jest właściwie każde jej publiczne wystąpienie oraz wpis w mediach społecznościowych. Wytykanie niesamodzielności prezydentowi Dudzie jest próbą przykrycia własnej niesamodzielności, przede wszystkim koncepcyjnej, ale to już zupełnie inna opowieść. Generalnie, jak to 6 lutego 2020 r. w Polskim Radiu 24 powiedział przewodniczący SLD Włodzimierz Czarzasty: „Im ostrzejszy język, tym bardziej przykrywa się głupotę swoich słów. Im bardziej woda mineralna jest gazowana, tym bardziej nie ma smaku".

Brutalizacja kampanii Kidawy-Błońskiej wynika nie tylko z posługiwania się najłatwiejszą do zrealizowania koncepcją kampanii, czyli antypisowską sztampą, w której można się tylko licytować coraz ostrzejszymi określeniami, bo nic innego nie robi wrażenia i nie jest zapamiętywane. Wynika też z – często nie do końca świadomych – prób rekompensowania sobie porażek, czyli dowartościowywania się kosztem innych. A tych porażek ma na swoim koncie Kidawa-Błońska zaskakująco wiele. Jej wizyta w Wielkiej Brytanii w dniu brexitu (31 stycznia 2020 r.) była dyplomatyczną katastrofą, gdyż pokazała kompletny brak wyczucia wobec emocji Brytyjczyków. Oto polska polityk w Londynie uczyniła sobie ze Zjednoczonego Królestwa wyrzutka europejskiej społeczności, a z brexitu właściwie przestępstwo, a przynajmniej czyn wyjątkowo niegodny. To było pogwałcenie dobrych obyczajów, bo przecież Kidawa-Błońska była w Londynie gościem suwerennego państwa. Kandydatka na prezydenta i wicemarszałek Sejmu, korzystająca z paszportu dyplomatycznego i związanych z tym udogodnień, nie powinna się zachowywać w innym kraju, w dodatku zaprzyjaźnionym, jakby nie obowiązywały jej żadne reguły dyplomatyczne czy wynikające ze zwykłej kindersztuby.

Kidawie-Błońskiej potrzebne było brytyjskie tło i brexit, żeby oskarżać Andrzeja Dudę, iż też zmierza wprost do popełnienia czegoś w rodzaju przestępstwa, bo przecież tym jest brexit, a zatem i wmawiany polskiemu prezydentowi polexit. Na potrzeby tego planu potraktowała obywateli i władze Zjednoczonego Królestwa jak jakiś bantustan, zachowując się pod względem kryteriów dyplomatycznych nie tylko jak słoń w składzie porcelany, lecz poza wszelkimi cywilizowanymi standardami. Przede wszystkim dlatego, że brexit był wynikiem woli większości obywateli Zjednoczonego Królestwa, którzy 23 czerwca 2016 r. uczestniczyli w referendum. A ono nie było ani nielegalne, ani sfałszowane. Fatalnie kandydatka PO wypadła w zorganizowanym dla niej wideoczacie, gdzie seryjnie popełniała gafy merytoryczne, nie mówiąc już o kaleczeniu języka polskiego. Gdy się ma świadomość tych i innych błędów, próbuje się to przykryć kosztem innych i używając agresywnego języka. Ale wtedy płaci się cenę, a jest nią „brudzenie" kampanii.

OD SZTUCZNOŚCI DO FATALIZMU

Gdyby doszło do debat kandydatów na prezydenta, jest bardzo prawdopodobne, że Małgorzata Kidawa-Błońska będzie wyłącznie atakować Andrzeja Dudę, na wszelkie pytania odpowiadając zestawem tendencyjnie skompilowanych zarzutów na temat afer PiS i grzechów prezydenta. Grzechem głównym jest oczywiście domniemany polexit. A ponieważ ma to być sprawa najbardziej dramatyczna z możliwych, żeby emocje wyglądały na prawdziwe, wypowiedzi muszą być opakowane w stosowną liczbą epitetów, obelg i słów mocno nacechowanych wartościująco, czego próbkę mieliśmy 4 lutego 2020 r. na Krakowskim Przedmieściu. Wtedy nie trzeba mieć żadnego pozytywnego programu, a więc i nie trzeba się na niczym znać, tym bardziej że uczenie się naraz i na szybko wielu konkretów z różnych dziedzin mogłoby wywołać taki galimatias, iż wpadek byłoby co niemiara. Jeśli się odpowiednio uprości przekaz, wystarczą slogany i nie trzeba podejmować merytorycznej debaty. Tyle że wtedy w kampanijnej puli pozostaje bardzo mało narzędzi, co właściwie musi prowadzić do brutalizacji przekazu i „brudzenia" całej kampanii. Ale wtedy na jaw brutalnie wychodzi sztuczność podstawowego założenia promocyjnego i marketingowego, czyli sprzedawania wizerunku ciepłej, w miarę dystyngowanej, ale nie wyalienowanej pani z dobrego domu z tradycjami. A im bardziej ta sztuczność się rzuca w oczy, tym większe są powody do brutalizacji i „brudzenia" kampanii. I tak koło się zamyka, przyjmując postać nie tylko determinizmu, lecz wręcz fatalizmu.

eprasa.pl 4380405d25



Fot. Archiwum prywatne

To uchwała Sądu Najwyższego jest kagańcowa

Część sędziów sprzeciwia się zmianom, tak jak prezesi spółdzielni sprzeciwiają się zmianom w spółdzielczości czy komornicy zmianom w przepisach ich dotyczących. W mojej ocenie to jest walka o władzę, a nie o wolne sądy, o niezawisłość sędziowską

Z Lidią Staroń, senator niezależną, rozmawia Edyta Hołdyńska

Legendą obrosła już wypowiedź, że sędziowie to nadzwyczajna kasta ludzi.

Lidia Staroń: Nikt nie jest idealny. Wszyscy popełniamy błędy. Ale sędziowie to osoby powołane do służby wyjątkowej i niejednokrotnie decydujące o życiu drugiego człowieka. To ludzie oceniający innych ludzi i ich czyny, dlatego sami muszą być nieskazitelni. Tak mówi ustawa. My, jako zwykli obywatele, doskonale wiemy, że często tak nie jest. Zbyt często. Przez te wszystkie lata nie udało się zmienić wymiaru sprawiedliwości. Po jednej stronie są sędziowie. Większość to wspaniali ludzie. Wykształceni, rzetelni, postępujący zgodnie z zasadami etyki, kierujący się poczuciem misji. Ale wśród nich jest wielu, zbyt wielu takich, których trudno nazwać sędziami. Słyszałam nagrania rozmów sędziów, na których jeden z nich umawia się ze stroną sporu, jaki będzie wyrok. Były i takie rozmowy, które

eprasa.pl 4380405d25

wprost wskazywały na korupcję. Nie mówiąc już, z iloma rażąco niesprawiedliwymi wyrokami się spotkałam. Często wbrew prawu. Ich skutkiem była krzywda ludzi. I nikt nie poniósł za to żadnej odpowiedzialności.

Jakie nieprawidłowości w działaniach sędziów pani zaobserwowała?

Brak nadzoru przy postępowaniach egzekucyjnych, w wyniku czego ludzie tracą majątek, często dach nad głową. Orzekanie wbrew prawu, arogancja, lekceważące traktowanie ludzi, niedopuszczanie dowodów. To niestety nie są incydenty. Tu nie chodzi już o kradzież 50 zł. Chodzi o przyzwolenie na bezkarność. Dlatego chcemy odpowiedzialności. A tym samym sprawiedliwości. Nie chodzi tylko o wyroki, ale o sprawiedliwość.

Nietykalni przez wiele lat byli choćby komornicy. Dlaczego tak długo trwała walka o zmianę dotyczącej ich ustawy?

Ponad dekadę walczyłam o zmiany w ustawie o komornikach. Udało się. Dzisiaj te zmiany są prawem. Ale tamta sytuacja była podobna do tego, co obserwujemy dzisiaj w sądownictwie. Ten sam opór części środowiska wobec zmian. Krajowa Rada Komornicza zrobiła wszystko, żeby do zmian nie dopuścić: złożyła wątpliwe prawne opinie, podjęła wątpliwe prawnie działania, podniosła zarzut łamania konstytucji. Walczyłam wtedy tylko o realny nadzór, o odpowiedzialność, nagrywanie czynności komorniczych. Bo po drugiej stronie byli ludzie, ich krzywda i bezsilność. Trzeba było wieloletniej, ciężkiej batalii, żeby to zmienić.

Także w spółdzielniach mieszkaniowych rozgrywały się dantejskie sceny. Lokatorzy musieli walczyć o swoje prawa.

Podstawowe prawa wpisane do konstytucji. Najpierw była walka o to, żeby ludzie w końcu byli właścicielami swoich mieszkań. Czyli ciężko wywalczona korzystna dla spółdzielców ustawa, a potem zadziwiający, incydentalny wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 2008 r. Prof. Ewa Łętowska była wtedy sędzią sprawozdawcą. To krzywdzące orzeczenie zdecydowanie uderzało w spółdzielców, którzy zapłacili za swoje mieszkania, a mimo to nie mogli być ich faktycznymi właścicielami. I znowu trzeba było stoczyć ciężką batalię, żeby na skutek orzeczenia TK nie ucierpieli zwykli ludzie. To wymagało kolejnej ustawy w Sejmie, która w tamtym momencie była w kontrze do stanowiska rządu. Udało się, ale było bardzo ciężko, bo po drugiej stronie stali prezesi spółdzielni, Krajowa Rada Spółdzielcza. Ich olbrzymie pieniądze, możliwości oddziaływania także na parlamentarzystów. Potem była walka o kolejne korzystne dla spółdzielców zmiany i wniosek do TK. Pamiętam, co się wtedy działo. Jak niektórzy partyjni koledzy wycofywali swoje podpisy pod wnioskiem. Jak blokowali zmiany.

> Jeżeli widzę dobre inicjatywy ze strony PiS, to je popieram. Jeśli chodzi o tzw. ustawę dyscyplinującą, to uznałam, że jest ona konieczna, choć nie do końca się zgadzam z częścią jej zapisów

Ma pani żal do byłych partyjnych kolegów?

W tamtym czasie to nie był żal, tylko ogromna złość. W ogóle dziwię się, że dla tak wielu polityków bardziej niż dobro obywateli liczy się interes polityczny.

A czy byli partyjni koledzy mają do pani żal?

Powiem inaczej: przez całe życie starałam się działać dla ludzi. Po to poszłam do parlamentu, aby zmieniać prawo na lepsze. 10 lat byłam w PO. Musiałam wyjść z partii, bo nie mogłam skończyć ani ustawy o komornikach, ani ustawy o spółdzielniach mieszkaniowych. Chociaż ówczesna premier w tamtym okresie publicznie zapewniała, że ustawa o spółdzielniach będzie zmieniona według wskazań wyroku TK z 2015 r. – korzystnego dla spółdzielców. Obiecywała także, że niezwłocznie zajmie się przepisami dotyczącymi komorników. Te zmiany ustaw są dzisiaj już prawem, ale wywalczyłam je bez poparcia Platformy. Dzisiaj, jako senator niezależny, skutecznie rozmawiam i będę rozmawiać ze wszystkimi, którzy będą chcieli zmienić coś na lepsze dla Polski, dla Polaków.

Trzeba jeszcze zmienić prawo spółdzielcze?

Na szczęście po tych zmianach, które już wywalczyłam, ludzie mają dużo większą świadomość swoich praw. Mogą być realnie właścicielami mieszkań. Uzyskali w końcu prawo do środków na funduszu remontowym i także prawo do majątku spółdzielni. Nie płacą za członkostwo, a właściciele mogą już współdecydować m.in. o remontach i innych czynnościach przekraczających zwykły zarząd. Jest jeszcze dużo do zrobienia, m.in. bezpośrednie wybory członków zarządu i rady nadzorczej, prawa dla właścicieli, pełny dostęp do dokumentów, a przede wszystkim przepisy karne. Nie może być tak, że spółdzielcy, czyli faktyczni właściciele spółdzielni, nie mają pełnej informacji i odmawia im się wglądu do dokumentów dotyczących wydatkowania ich pieniędzy, w tym pensji prezesa. To przecież z ich pieniędzy wypłacane są wynagrodzenia, a prezes jest de facto ich pracownikiem, chociaż często uważa się za właściciela spółdzielni.

Prezesi spółdzielni buntowali się i sprzeciwiali pani działaniom na rzecz lepszego prawa dla ludzi. Dlaczego politycy tego nie widzieli?

Trzeba podkreślić, że spółdzielnie mają często budżet powiatowego miasta, bez kontroli. Mogą szafować etatami, zleceniami, pracą, mieszkaniami i, jak wskazali sami prezesi,

eprasa.pl 4380405d25

„przed wyborami przychodzą posłowie i politycy z prośbą o pomoc w kampanii wyborczej...". To jest potężne lobby i walka o różnego rodzaju interesy. Wystarczy odtworzyć stenogramy z posiedzeń komisji, by zobaczyć, co się wtedy działo. Przedtem nie zdawałam sobie sprawy z aż tak silnego powiązania różnego rodzaju lobby z politykami. Dzisiaj nie mam już co do tego złudzeń i dlatego tym bardziej uważam, że trzeba robić wszystko, żeby to obywatelom, a nie tylko wybrańcom, żyło się lepiej. Nawet jeżeli na początku jakieś grupy interesu krzyczą bardzo głośno.

Pani senator, skoro jest tak, jak pani mówi, to prezesi spółdzielni powinni próbować wpływać również na panią. Zachęcali do odstąpienia od zmian? Oferowali jakieś korzyści?

Oczywiście, że tak. Kiedy robiliśmy ustawę w Warszawie, przychodzili przedstawiciele branży. Z komornikami było tak samo. Proponowali różne rzeczy. Nie chcę o tym teraz mówić. Opowiem, nie tylko o tym, w swojej książce.

O sprawach ludzi, którzy, jak pamiętam, pod pani biurem poselskim gromadzili się tłumnie, oczekując w kolejkach na rozmowę, można by napisać książkę. A czy jest sprawa, która wstrząsnęła panią najmocniej?

To prawda, na bazie tych ludzkich dramatów można byłoby napisać niejedną książkę. Dlatego postanowiłam to zrobić. Bo patologia była niestety normą, z którą przez te wszystkie lata musiałam się codziennie mierzyć. Tych spraw, które zapadają mocno w pamięć, jest wiele. Kolejki są pod moim biurem do dzisiaj. Pamiętam, jak przyjechała do mnie kobieta. Miała może 50 lat. Była bardzo zmęczona. Widać, że ciężko pracowała. I płakała, kiedy opowiadała, jak traktował ją i jej rodzinę prezes spółdzielni, który wydał zarządzenie, że ludzie mają płacić czynsz 10. dnia każdego miesiąca. Nie do 10., ale konkretnie tego dnia każdego miesiąca w kasie. Tak prezes zadecydował i już. Od tego czasu ta kobieta i jej mąż żyli w ciągłym napięciu i odliczali do 10., żeby tylko nie zapomnieć przyjść. Chociaż zapłacili za swoje mieszkanie, chociaż mieli prawo spółdzielcze własnościowe. Pół roku po decyzji prezesa mąż tej pani, idąc jak co miesiąc do kasy, dostał zawału. Zmarł. Pamiętam do dziś tę kobietę i jej rozpacz. To, jak ją potraktowano. Gdzie tu godność człowieka? Gdzie konstytucja? Skutecznie interweniowałam w tej sprawie, ale nikt mężowi tej pani już życia nie wróci.

A spółdzielnie wydawały miliony na monitoring z umówioną wcześniej firmą. Takie sprawy pamiętam z Olsztyna.

Przychodzili do mnie przedsiębiorcy i wprost opowiadali o łapówkach. Składaliśmy zawiadomienia, a prokuratura odpowiadała, że przecież wszystko jest w porządku. Że prezes spółdzielni nie jest funkcjonariuszem publicznym. Mógł więc zlecić kupowanie farby w tym sklepie, cegły w tym, papieru w innym, a wykonanie robót – wybranym wykonawcom. Albo jakie niebotyczne pieniądze szły na prawników w sprawach przeciwko spółdzielcom. Czyli prezes spółdzielni walczył ze spółdzielcami za ich własne pieniądze. A ci ludzie niejednokrotnie nie mieli nawet przysłowiowego grosza na obronę własnych praw.

Dotychczas słyszeliśmy o wielu przypadkach bezkarności sędziów, a z drugiej strony o niewydolności orzecznictwa w sprawach dyscyplinarnych. Przeciwnicy reformy mówią jednak: to pojedyncze incydenty.

Nie można przechodzić do porządku nad przypadkami rażącego łamania obowiązującego prawa, także przez niektórych sędziów. I dopuszczania w ten sposób do krzywdy uczestników postępowania. Wiadomo, sędzia jest też człowiekiem ze wszystkimi związanymi z tym ułomnościami. Jednocześnie często decyduje o życiu człowieka czy też jego jakości, dorobku życia, dachu nad głową. Należy więc od niego oczekiwać więcej niż od zwykłego obywatela, wyższych standardów etycznych, wręcz nieskazitelności. Sędziowie powinni ponosić pełną odpowiedzialność za swoje działanie. A nie pod przykrywką walki o niezawisłość domagać się, żeby wszystko pozostało po staremu. Brak sprawnego sądownictwa dyscyplinarnego przekłada się na poczucie bezkarności niektórych sędziów. A sądownictwo dyscyplinarne było niewydolne m.in. dlatego, że nie uczestniczyli w nim obywatele, nieprawnicy. Część sędziów sprzeciwia się zmianom, tak jak prezesi spółdzielni sprzeciwiają się zmianom w spółdzielczości czy komornicy zmianom w przepisach ich dotyczących. W mojej ocenie to jest walka o władzę, a nie o wolne sądy, niezawisłość sędziów.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 21 stycznia 2020 r. zmarł w Legionowie

ŚP

MJR MIECZYSŁAW WOJCIECH CHOJNACKI

PS. „MŁODZIK"

urodzony 26 marca 1924 r. w Sierpcu.
Od lipca 1941 r. żołnierz Związku Walki Zbrojnej,
a następnie Armii Krajowej w Obwodzie Radzymin.
W maju 1943 r. ukończył kurs podchorążych.
Podczas Akcji „Burza" walczył w składzie
Oddziału Partyzanckiego „Sępa".

Od sierpnia 1944 do kwietnia 1945 r. pozostawał w niemieckiej niewoli.
Od grudnia 1945 do października 1946 r. dowódca
sekcji dywersyjnej w Obwodzie „Mewa" Ruchu Oporu Armii Krajowej.

W marcu 1950 r. aresztowany przez Informację Wojskową,
następnie skazany na karę śmierci złagodzoną do 15 lat pozbawienia wolności.
Wyrok odbywał w Rawiczu, Sieradzu, Wronkach i Strzelcach Opolskich.
W lutym 1960 r. zwolniony na mocy amnestii.

Wybitnie zasłużony w dziele upamiętnienia etosu Armii Krajowej.

Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski
oraz innymi odznaczeniami.
Honorowy Obywatel Radzymina.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

eprasa.pl 4380405d25

Trybunał Konstytucyjny zawiesił uchwałę Sądu Najwyższego, a prezydent wstrzymał mianowanie nowych sędziów. To dobry ruch?

Tutaj nie chodzi już tak naprawdę o prawo. Rozmawiałam z tymi wykluczonymi sędziami, „wyrzuconymi" przez Sąd Najwyższy. Bez sądu, bez prawa do obrony, odwołania. A konstytucja? Uchwała Sądu Najwyższego doprowadziła do tego, że w sądach są równi i równiejsi. A to przecież są normalni sędziowie, którzy przez lata intensywnie się uczyli, skończyli studia i zdobyli wszystkie niezbędne uprawnienia. To są ludzie, którzy niejednokrotnie też mają bogaty dorobek. I co? Okazało się, że zdaniem SN nie mogą pracować, bo powiedziano im, że mają prawo być sędziami, ale nie mogą orzekać. Nałożono im przysłowiowy kaganiec, by nawiązać do aktualnej retoryki niektórych mediów obśmiewających podpisaną przez prezydenta ustawę. To brzmi trochę tak, jak to w czasach słusznie minionych odmawiano niektórym młodym ludziom dostępu do zawodów prawniczych, gdyż „nie dawali rękojmi wykonywania zawodu w zgodzie z zasadami ustroju socjalistycznego". Rozmawiałam z młodą sędzią, która nie ma nic wspólnego z PiS, nie ma nawet podobnych poglądów. Nie miała ani bogatych i wpływowych rodziców, ani pieniędzy, pochodzi z bardzo prostej rodziny, ale przez lata ciężko pracowała. Marzyła, żeby być sprawiedliwym sędzią, pomagać ludziom. SN skrzywdził tę dziewczynę. Ona czuje się oszukana i się boi. Nie może być tak, że jeden sędzia podważa status drugiego sędziego.

> Brak sprawnego sądownictwa dyscyplinarnego przekłada się na poczucie bezkarności niektórych sędziów

Jak to wpłynie na wymiar sprawiedliwości, na państwo?

To grozi paraliżem. I myślę, że już nie wymiaru sprawiedliwości, tylko właściwie całego kraju. Jak wielki może być koszt! Jest pewna granica, gdzie powinno się powiedzieć: stop. I dlatego właśnie uważałam, że trzeba było przyjąć ustawę „dyscyplinującą" sędziów.

To dlatego głosowała pani za tą ustawą w Senacie?

Czytałam wszystkie opinie na temat tej ustawy, byłam na wszystkich posiedzeniach komisji w tej sprawie i przede wszystkim rozmawiałam z ludźmi. To ludzie są najważniejsi w sądzie. Tam nie chodzi o sędziów. Sąd to spór pomiędzy stronami, a strony to właśnie ludzie. Najważniejsze jest nie tylko to, żeby jak najszybciej znaleźć rozwiązanie tego sporu, wyrok, ale żeby wyrok był sprawiedliwy. Nie tylko szybki, lecz i sprawiedliwy. Dlatego od lat walczymy o sprawiedliwość. A sprawiedliwość to odpowiedzialność, a nie bezkarność. Dlatego musi działać Izba Dyscyplinarna. Ostatnia uchwała Sądu Najwyższego jest w istocie uchwałą kagańcową. To jest próba – miejmy nadzieję, że nieudana – zamknięcia ust części sędziów, tych powołanych przez obecnego prezydenta. Stwierdzono, że Izba Dyscyplinarna nie jest sądem. Za chwilę dowiemy się, że Sejm nie jest Sejmem, a prezydent nie jest prezydentem. Jak daleko można jeszcze się posunąć? Gdzie jest granica? Dlatego tym bardziej konieczne jest, aby czynni zawodowo sędziowie nie uczestniczyli w bieżącej polityce. Chodzi o to, aby obywatel taki lub inny, idąc do sądu, miał poczucie, że sędzia jest obiektywny, że nie będzie chciał temu obywatelowi zrobić na złość dlatego, że ten powód lub pozwany ma takie, a nie inne poglądy polityczne.

Ale Platforma Obywatelska, partia, do której pani należała, głosowała przeciw. Po której stronie tego sporu pani by się dzisiaj postawiła?

Nieważne, czy to jest partia taka czy inna. Jestem niezależna. Dla mnie ważni są ludzie, sprawiedliwość. Także konstytucja. Nie może być tak, że będzie bezkarność. Tak było zawsze – jeżeli widzę dobre inicjatywy ze strony PiS, to je popieram. I odwrotnie. Jeśli chodzi o tzw. ustawę dyscyplinującą, to uznałam, że jest ona konieczna, choć nie do końca się zgadzam z częścią jej zapisów. Zresztą chyba wszyscy widzieli, w jakiej atmosferze toczyły się prace w Senacie. Byłam przeciw odrzuceniu ustawy. Chciałam, żeby były jeszcze wprowadzone poprawki. Część z nich już była gotowa. Senat odrzucił ustawę. Nie mieliśmy możliwości jej poprawienia w Senacie.

Chodzi o ustawę, z którą jednak część sędziów cały czas się nie zgadza. I walczy. A zaufanie ludzi do sądów przez te spory spada?

Dziś widzimy, jak duży jest koszt tej wojny. Można powiedzieć, że obie strony polityczne toczą już walkę bez żadnych granic i zasad. Zapominając jednocześnie o zwykłych ludziach. Zaufanie Polaków do sądów jest znikome. Jak ludzie mają rozumieć to, że jeden sędzia może orzekać, a drugi nie? Podkreślam, już nie ma granic. Dla mnie ważna jest służba ludziom. Trzeba to przypominać i sędziom, i politykom.

Myśli pani, że reforma wymiaru sprawiedliwości będzie dokończona w tej kadencji?

Mam tylko nadzieję, że to jest jej początek. Między innymi powinni być jeszcze sędziowie pokoju wybierani przez ludzi. Procedury muszą być uproszczone, zmniejszone opłaty. Procesy szybsze i sprawniejsze. Pomoc prawna powinna być normą. To, z czym mamy dzisiaj do czynienia, to nie pomoc, tylko co najwyżej porada. Trzeba walczyć o wyższe standardy, o rzetelność, odpowiedzialność. Jest jeszcze bardzo dużo do zrobienia. Ale na pierwszym miejscu musi być człowiek i sprawiedliwość. Odpowiedzialność, a nie bezkarność.

eprasa.pl 4380405d25



Szef polskiej dyplomacji Jacek Czaputowicz i minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Ławrow. Ich spotkania odbywają się głównie przy okazji międzynarodowych wydarzeń

Fot. EPA/JASON SZENES/PAP

Impas, który się pogłębia

Rosja oczekuje od Polski politycznego samobójstwa, które dopiero warunkowałoby odprężenie we wzajemnych relacjach

„Inicjatywa mająca na celu wyprostowanie sytuacji powinna wyjść od Warszawy, pod warunkiem iż zrozumie ona konieczność odpolitycznionego, opartego na prawdzie i wiarygodnych faktach, podejścia do historii i budowy dialogu ukierunkowanego w przyszłość" – głosi wydane 22 stycznia oświadczenie rosyjskiego MSZ na temat stosunków z Polską.



JAN ROKITA

PROPOZYCJA DO ODRZUCENIA

Na pierwszy rzut oka można by odnieść wrażenie, że po serii grudniowych oskarżeń wobec naszego kraju, sformułowanych przez Władimira Putina, Moskwa sugeruje jakąś możliwość lekkiego choćby odprężenia. Można by tak sądzić, tym bardziej że podczas styczniowych obchodów oświęcimskich w Jerozolimie, w znacznej mierze zorganizowanych przecież „pod Putina", rosyjski przywódca nie wykorzystał okazji, aby zapewne otrzymać w Yad Vashem szczere oklaski, jeśliby się zdecydował na wzmocnienie wcześniejszych sugestii o antysemickich korzeniach polskiej postawy przed II wojną światową i podczas niej. Jednak takie odczytanie obecnej postawy Kremla wobec Polski byłoby raczej wadliwe. Jeśli bowiem uważniej przyjrzeć się zarówno oświadczeniu moskiewskiego MSZ, jak i kontekstowi licznych ostatnio dotyczących Polski deklaracji rosyjskich polityków i tamtejszych prorządowych mediów, widać jasno, o czym chciałyby rozmawiać z polskim rządem władze rosyjskie.

Moskwa chciałaby, po pierwsze, wyjaśnienia prób „przepisywania historii przez niektóre kraje" (jak precyzuje to Władimir Simindej, szef programów historycznych związanej z Kremlem fundacji Pamięć Historyczna). Po drugie zaś – dyskusji na temat posiadanych przez Rosję dokumentów co do „zmowy niektórych krajów, w szczególności Polski, z faszystowskimi Niemcami" przed wybuchem II wojny światowej, jak prorządowy portal Sputnik streszcza sens

eprasa.pl 4380405d25

sformułowanych wcześniej przez Putina zarzutów. Widać więc, że pomysł rosyjskiej dyplomacji polega na tym, iż z polskiej inicjatywy nastąpić by miało wznowienie zawieszonych od paru lat debat na temat tzw. spraw trudnych, tyle tylko że dotychczasowa logika owych debat miałaby ulec odwróceniu o 180 stopni. Owymi „sprawami trudnymi" miałyby być już bowiem nie Katyń, 17 września ani tzw. operacja polska NKWD, lecz kontakty dyplomatyczne II RP z Berlinem oraz Piłsudskiego i Hitlera pakt o nieagresji.

Trudno przypuszczać, aby w rosyjskim MSZ na serio ktoś mógł sądzić, że Polska może przystać na tego rodzaju sugestię. Dlatego jasne jest, że sugestie wznowienia kontaktów mają dziś ze strony Rosji charakter propagandowy, a realnych propozycji odprężenia w rosyjsko-polskiej zimnej wojnie jeszcze długo nie będzie. Moskwa jest bardzo dotknięta nie tyle nawet wielką kampanią propagandową promującą i wyjaśniającą polskie racje historyczne, jaką władze polskie podjęły w efekcie oskarżeń prezydenta Putina, ile przede wszystkim tym, że w treści głośnego i bardzo antyrosyjskiego artykułu, ogłoszonego na portalu Politico przez premiera Morawieckiego, dokonane zostało swoiste złamanie historycznego tabu. Jest nim sugestia, że obóz Auschwitz-Birkenau mógł działać pół roku krócej, gdyby w 1944 r. Armia Czerwona nie wstrzymała swojej ofensywy, czekając na stłumienie przez Niemców powstania warszawskiego. Rzeczniczka rosyjskiego MSZ nie znalazła nawet w politycznym języku słów, aby określić czyn polskiego premiera, więc powiedziała po prostu, iż: „Morawiecki ostatecznie zabił w sobie w ten sposób człowieka".

> PiS, dwukrotnie dochodząc w Polsce do władzy, dwukrotnie zaczynało od prób przełamania polsko-rosyjskiego impasu. Bezskutecznie

Parę lat temu ówczesny szef polskiej dyplomacji Grzegorz Schetyna sugerował, że Auschwitz-Birkenau wyzwolili nie Rosjanie, lecz Ukraińcy, skoro było ono dziełem wojsk tzw. pierwszego frontu ukraińskiego Armii Czerwonej. Teraz Morawiecki głosi światu, że celowo dokonano tego z niemal półrocznym spóźnieniem. Wydaje się, że w Moskwie panuje dziś przekonanie, iż złośliwi Polacy próbują już nie tylko podważyć walor „radzieckiego zwycięstwa nad faszyzmem", lecz czynią nawet propagandowe przygotowania do uznania Sowietów za współwinnych niemieckiego ludobójstwa. To jest taki poziom urazy, po którym długo nie będzie żadnego odprężenia.

RÓŻNICE INTERESÓW

Ale jak nie bez racji zauważa wspomniany już „frontowy" rosyjski ekspert Simindej, znany dotąd przede wszystkim z historycznych batalii przeciw krajom bałtyckim (i dlatego obłożony m.in. zakazem wjazdu na Łotwę), „tego typu podejście Warszawy do kwestii historycznych wiąże się z orientacją geopolityczną polskich władz". Simindej objaśnia teraz Rosjanom politykę polską na falach popularnej telewizji RT, będącej bodaj najważniejszym orężem propagandowym Kremla, skierowanym w pierwszym rzędzie do wewnątrz kraju. Racja rosyjskiego historyka propagandzisty polega na tym, że obecny zaogniony polsko-rosyjski konflikt o historię jest istotnie w znacznej mierze funkcją coraz bardziej drastycznych różnic interesów obu krajów w dziedzinie polityki realnej albo raczej (jak mówi Simindej) – geopolityki.

Na owe wyostrzone różnice interesów składają się w głównej mierze trzy trwające właśnie „wielkie procesy", z których każdy jest w zasadzie historyczną porażką celów rosyjskiej polityki w Europie, a zarazem w których Polska zawsze odgrywa rolę swoistego „inspiratora", „lobbysty", a patrząc z rosyjskiej perspektywy, „podżegacza". Owe trzy „wielkie procesy" to po pierwsze – stopniowy wojskowy powrót USA do Europy za czasów Trumpa, na dodatek głównie na tzw. wschodnią flankę. Po drugie – ostateczna likwidacja resztek „buforowego" statusu Europy Środkowo-Wschodniej, z czym tak naprawdę Moskwa niby pogodziła się już jakiś czas temu, ale przecież nigdy do końca. I po trzecie (co z rosyjskiej perspektywy jest absolutnie pierwszoplanowe) – umacniająca się suwerenna, a zarazem zaciekle antyrosyjska strategia polityczna Ukrainy, która po zwycięstwie wyborczym prezydenta Zełenskiego okazała się nie (na co liczył Kreml) polityczną efemerydą, związaną z pomajdanowymi rządami Poroszenki, lecz trwałym i niemożliwym już do zwalczenia mentalnym przełomem, jaki zdarzył się tam wskutek rosyjskiej agresji na Donbas i Krym.

Przez wiele lat wydawać się mogło, że słabnięcie wojskowej roli USA w Europie jest trendem powolnym, acz nieuchronnym. Wojny w Iraku i Afganistanie wytworzyły konieczność przemieszczeń z Europy wojsk amerykańskich, a Obama uroczyście wycofał z Europy ostatni amerykański czołg. Zbiegało się to z postępującą przez lata redukcją wydatków wojskowych w Europie, w wyniku czego np. armia niemiecka znalazła się w tak poważnym kryzysie, że w samych Niemczech podano w wątpliwość jej zdolność do działania na wypadek wojny.

W Unii Europejskiej były dwa kraje, które najbardziej spektakularnie zabiegały o zmianę owego trendu, czyniąc ze sprowadzenia Amerykanów na swoje terytorium niemal coś kształt własnej „racji stanu". Były to (i są nadal) Rumunia i Polska. Po Donbasie i Krymie, a w końcu po odejściu Obamy, te nieustanne zabiegi zaczęły trafiać na bardziej podatny grunt. Efektem stał się nie tylko spektakularny powrót US Army do Europy (co prawda na skalę nieporównywalnie mniejszą niż na przełomie lat 80. i 90. XX w.), ale także faktyczne obalenie geopolitycznego dogmatu, iż po upadku Układu Warszawskiego Zachód nie dokona remilitaryzacji naszego regionu Europy. Usilne starania polskie w NATO i w samym Waszyngtonie przyczyniły się do tego, iż także ten dogmat został obalony, gwarancje dane Rosji w tzw. akcie paryskim

eprasa.pl 4380405d25

z 1997 r. stały się zaś w istocie papierowe. Rzecz jasna to nie Polska zdecydowała o takim biegu spraw, ale polska presja na rzecz takiej zmiany trendów była jawna, widoczna i w końcu – efektywna.

Tak samo rzecz się miała ze zmianą trendów na Ukrainie. Kiedy w 2008 r. Lech Kaczyński na szczycie NATO w Bukareszcie, z poparciem USA i Kanady, postulował uruchomienie procesu przyjmowania Ukrainy i Gruzji do zachodniego paktu wojskowego, zaproszony tam wówczas prezydent Putin przestrzegał, że taka próba oznacza, iż: „w ogóle przetrwanie państwowości Ukrainy stoi na krawędzi". Tamtą batalię Kaczyński przegrał w obliczu porozumienia francusko-niemieckiego. Ale już pięć lat później zdarzenia na Ukrainie i rosyjska na nie reakcja sprawiły, iż kraj ten stał się swego rodzaju „filarem" antyrosyjskich trendów w dzisiejszej Europie. I znów nie Polska oczywiście była tego realną przyczyną. Ale to Warszawa stała się najwyraźniejszym głosem postulującym wprowadzenie i wydłużanie unijnych sankcji wobec Rosji, a także lobbystą skutecznie hamującym (zwłaszcza w Berlinie – stolicy kluczowej dla polityki rosyjskiej) wszelką skłonność do bardziej wyrozumiałego traktowania okupacji Krymu i wojny w Donbasie. Na domiar złego na geopolityczny wymiar owej wielkiej przemiany Ukrainy w Moskwie zawsze patrzą przez pryzmat historii. Więc dla Kremla obecny stan spraw, w którym z takim wysiłkiem Rosja próbuje utrzymać kontrolę nad Donieckiem i Ługańskiem, to w istocie powrót do sytuacji po „wielkiej smucie" z początku XVII w., gdy polsko-rosyjskie traktaty w tym samym niemal miejscu rysowały rozgraniczenie stref wpływów Moskwy i Rzeczypospolitej. Na analogie historyczne w Moskwie są wrażliwi bardziej niż gdziekolwiek indziej na świecie.

KRÓTKA ODWILŻ, WIECZNY MRÓZ

PiS, dwukrotnie dochodząc w Polsce do władzy, dwukrotnie zaczynało od prób przełamania polsko-rosyjskiego impasu. Lech Kaczyński zaraz po objęciu prezydentury w 2005 r. czynił starania (ośmieszane nawet wtedy w polskich mediach) o spotkanie w cztery oczy z Putinem. Bezskutecznie. Z kolei na przełomie 2015/2016 r. rząd Beaty Szydło złożył Moskwie zakulisową ofertę „głębokiego resetu", o czym po fiasku tej inicjatywy publicznie opowiedział (podczas forum krynickiego) ówczesny szef gabinetu ministra spraw zagranicznych Jan Parys. Nawet premier Morawiecki w ub.r. zaryzykował polską cichą zgodę na powrót Rosji do Rady Europy, co kosztowało go sporo problemów na polskiej scenie krajowej.

Krótkotrwała odwilż nastąpiła tylko raz, za pierwszego rządu Donalda Tuska, kiedy Rosjanom wydawało się przez moment, że prezydentura Obamy i jego rezygnacja z tarczy antyrakietowej w Polsce i Czechach z jednej strony, zaś „antyjagiellońskie" teorie głoszone przez ówczesnego szefa polskiej dyplomacji Sikorskiego z drugiej, mogą prowadzić do odwrotu Polski zarówno od „giedroyciowskiego" modelu polityki wschodniej, jak i od planów ściągnięcia amerykańskich wojsk do Europy. Wówczas w 2009 r. odbyło się słynne spotkanie Tuska i Putina na sopockim molo oraz miała miejsce jedyna, na zawsze obciążona widmem parę dni później-

szej katastrofy smoleńskiej, obecność rosyjskiego przywódcy w Katyniu wraz z Tuskiem. Ówczesny polski premier przejął wtedy nawet tradycyjny język rosyjskiej dyplomacji, mówiąc kilkakrotnie o potrzebie budowania na kontynencie „nowego modelu bezpieczeństwa europejskiego".

Ta historia jasno dowodzi, że Rosja nie jest zainteresowana jakimś dyplomatycznym „odprężeniem" relacji z Polską, co zapewne w jakimś czasie byłoby możliwe. Ale oczekuje cały czas rezygnacji z trzech tradycyjnych wektorów definiujących polską strategię polityczną. Chciałaby, byśmy wspólnie porozmawiali o nietrwałości państwowości ukraińskiej, która (jak przekonywał Putin przywódców NATO w Bukareszcie) obejmuje przecież ziemie rosyjskie i polskie. Chciałaby polskiej aprobaty dla czegoś na kształt wspólnego Komitetu Politycznego i Bezpieczeństwa UE i Rosji, w którym Kreml byłby partnerem przy decydowaniu o kwestiach militarnych także wewnątrz Unii (z taką inicjatywą Moskwa wystąpiła w 2010 r.). Chciałaby w końcu, choć zarazem jest świadoma, że tu zdarzyły się już fakty dokonane, odwrotu od ściągania US Army do Europy w ogólności, a już zwłaszcza na tzw. wschodnią flankę.

Krótko mówiąc: wielki sąsiad Polski oczekuje od nas politycznego samobójstwa, które dopiero warunkowałoby odprężenie we wzajemnych relacjach. Chyba tutaj właśnie tkwi sedno pogłębiającego się nieustannie polsko-rosyjskiego impasu. A także tego, że tak trudno dziś wyobrazić sobie sąsiedzką normalność między Polską i Rosją.



Pani

Marzenie Machałek

Sekretarz Stanu
w Ministerstwie Edukacji Narodowej

składam wyrazy

głębokiego współczucia

z powodu śmierci

MAMY

Dariusz Piontkowski

Minister Edukacji Narodowej

1/0220/F

eprasa.pl 4380405d25



Sputnik, czyli świat cyrylicą pisany



PIOTR GONTARCZYK

Sputnik to medium niszowe, choć kilka miesięcy temu spopularyzowane dzięki erupcji intelektu Ryszarda Schnepfa, byłego ambasadora Polski w USA. Właśnie z tej agencji zaczerpnął on wiedzę na temat wyższości samolotów rosyjskich nad amerykańskimi. Zabawne? Niekoniecznie. Ale warto się dowiedzieć, czym jest ów internetowy portal. I jaką rolę odgrywa w przestrzeni publicznej

eprasa.pl 4380405d25



„Sputnik to nowoczesna agencja informacyjna dysponująca kanałami informacyjnymi, stronami internetowymi, serwisami społecznościowymi i aplikacjami mobilnymi, a także audycjami radiowymi i multimedialnymi centrami prasowymi" – piszą o sobie autorzy portalu, nie ukrywając, że są odnogą kontrolowanego przez Kreml koncernu medialnego Rossija Siegodnia (Rosja Dziś). Medialne konsorcjum korzysta z nowoczesnych technologii i ma globalne aspiracje, nadając w kilkudziesięciu najważniejszych językach świata. Okrętem flagowym przedsięwzięcia jest anglojęzyczna stacja telewizyjna Russia Today (RT), od lat budząca na świecie wiele kontrowersji. Nikt poważny nie traktuje tego medium jako zjawiska z obszarów dziennikarstwa. Przeważa opinia, że RT to klasyczne narzędzie dywersji ideologicznej i wojny informacyjnej z Zachodem. Liczni autorzy wskazują na prymitywną antyamerykańską propagandę, rozpowszechnianie teorii spiskowych i notorycznie kłamliwe informacje o rosyjskiej polityce.

Szczególnie ostro, jako „plugawe", określono kiedyś doniesienia stacji na temat tych krajów i narodów, z którymi Rosja rozpoczynała ostatnio wojny. Z polskiej perspektywy rzecz widać jeszcze wyraźniej. Tu wszystko – wspólna historia, kultura i polityka – jest dosłownie cyrylicą pisane. Teksty Sputnika powstają po rosyjsku i są tłumaczone na polski, stąd liczne błędy i nieporozumienia. Na przykład stale latają tu samoloty opisywane jako „niszczyciele". To dosłowne tłumaczenie rosyjskiego słowa istriebitiel, które (u nas istriebitiel to myśliwiec) zarezerwowane jest dla jednej z klas okrętów wojennych. W Polsce okręty mają dzioby, a nie „nosy", a rosyjska dosłowna „obrona przeciwpowietrzna" to u nas „obrona przeciwlotnicza".

Warto dodać, że Sputnik ma też swoich dziennikarzy i komentatorów w Polsce. Część z nich – jak chociażby Agnieszka Wołk-Łaniewska z artykułem „Europa daje dupy" (18.03.2016) – pióro i horyzont umysłowy wyniosła z „Nie" Jerzego Urbana. Większość innych, tak jak często publikowana Zofia Bąbczyńska-Jelonek, to galeria osobliwości funkcjonujących wyłącznie w Sputniku. Obie wspomniane panie czasem ozdabiają teksty swoimi zdjęciami w rosyjskiej scenerii. Jedna wykonała nawet fotki z Łubianką w tle, co już pachnie dekonspiracją.

Na portalu publikowane są również wywiady z polskimi politykami. Dominują postkomunistyczne dinozaury formatu Tadeusza Iwińskiego, ale jest i Mateusz Piskorski, wcześniej działacz Samoobrony, a obecnie lider prorosyjskiej Zmiany, który ostatnie trzy lata siedział za kratkami aresztowany przez ABW za szpiegostwo na rzecz Chin i Rosji. Także w innych krajach wskazywano już na podejrzane, typowo szpiegowskie, powiązania pracowników i dziennikarzy Russia Today, a w niektórych zastosowano wobec nich rozmaite obostrzenia. Najbardziej konsekwentne kroki podjęła niedawno Estonia, której organa ścigania doprowadziły do zamknięcia ekspozytury RT w Tallinie 1 stycznia 2020 r.

TRUDNA HISTORIA

Ważnym obszarem zainteresowań Sputnika jest historia polsko-rosyjska, która szczególnie ostatnio budzi sporo emocji. A trzeba pamiętać, że w Rosji od dawna w szkolnych podręcznikach Katyń jest wspominany jako coś w rodzaju usprawiedliwionego rewanżu za eksterminację sowieckich jeńców z wojny 1920 r., której mieli się dopuścić Polacy, choć nic takiego się nie zdarzyło. Podobnie dzieje się dziś w Rosji w każdej spornej kwestii historycznej: od paktu Ribbentrop–Mołotow do sprawy zajęcia Polski w latach 1944–1945. W porównaniu jednak z czasami stalinowskimi obecna propaganda Moskwy jest zdecydowanie mniej wyrafinowana, nadto obficie sięga po eksplorację wątku żydowskiego.

Obok znanych już ataków na polską politykę i ambasadora Józefa Lipskiego Sputnik sięgnął ostatnio po „badania naukowe" z naszego kraju: „profesorowie Barbara Engelking i Jan Grabowski, redaktorzy książki »Dalej jest noc«, opracowanej przez Centrum Badań nad Zagładą Żydów, piszą: »Dwóch spośród każdych trzech Żydów poszukujących ratunku zginęło – najczęściej za sprawą swoich sąsiadów, chrześcijan. [...] Historyczne dowody zgromadzone w książce nie pozostawiają w tej materii najmniejszych wątpliwości: znaczne, w dużym stopniu możliwe do określenia

eprasa.pl 4380405d25

oraz do identyfikacji, grupy polskiej ludności wzięły udział w akcjach likwidacyjnych, a następnie w okresie 1942–1945 przyczyniły się bezpośrednio do śmierci tysięcy Żydów szukających ratunku po aryjskiej stronie«" (13.01.2020). To, że przywołana książka w Polsce budzi kontrowersje (zawiera mnóstwo nadużyć i manipulacji), w Moskwie może być rzeczą nieznaną. Ale nasze władze, od lat finansujące tę „naukową placówkę" pod szyldem PAN, takie rzeczy powinny wiedzieć i na nie reagować. Skoro jednak Polska sama finansuje takie „badania" i publikacje, to trudno się dziwić pewności siebie Sputnika.

Kolejne doniesienia Kremla na temat polskiej historii traktowane są tu jako „bezdyskusyjne fakty", a odpowiedzi premiera Mateusza Morawieckiego, prezydenta Andrzeja Dudy czy oficjalną uchwałę Sejmu RP w sprawie ostatnich rosyjskich enuncjacji skomentowano ostro: „Jak w czasach inkwizycji, nauka została uznana przez polski Sejm za herezję, a zwolenników faktów historycznych oskarżono o czary" (10.01.2020). Potem, kiedy szef polskiego MSZ Jacek Czaputowicz ogłosił sukces w ostatniej historycznej potyczce z Rosją – nikt na świecie nie poparł bowiem jej kłamliwej narracji o Polsce winnej II wojny światowej – w Sputniku rzecznik prasowy rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa porównała polskiego ministra do pacjenta szpitala psychiatrycznego, który uważa się za Napoleona (3.02.2020).

Jasne oczekiwanie, że Polska przyjmie jedynie słuszne stanowisko Kremla w sprawach historycznych jest artykułowane od dawna. Dwa lata temu w kolejnym portalu życzliwym wobec spraw polskich ambasador Rosji Siergiej Andriejew mówił: „Dopóki w Polsce nie zostanie uznany, bez jakichkolwiek zastrzeżeń, wieczny dług wdzięczności wobec żołnierzy radzieckich, którzy tutaj ginęli, dopóki będzie trwać obecna skandaliczna sytuacja, gdy wyzwolicieli nazywa się okupantami, to na płaszczyźnie oficjalnej na tematy historyczne nie mamy o czym rozmawiać" (Onet 8.10.2018).

MILITARNA POTĘGA

Jasność stanowiska pana ambasadora wynika chyba z przekonania o politycznej i militarnej sile Rosji. Sputnik stale donosi, że kraj ten jest obecny w Ameryce Południowej i Afryce, w wielkim stylu powrócił ostatnio na Bliski Wschód, gdzie w starciu o przyszłość Syrii – i to już nie jest propagandowa blaga – Rosja pokonała politycznie USA. Choć wrogowie Moskwy chcieliby jej zaszkodzić, to kryzys dawno już minął. Rosyjski czołg T-14 Armata to dla ekspertów najlepszy czołg na świecie. Także w innych rodzajach uzbrojenia kraj doścignął już i prześcignął Amerykę. Jest myśliwiec MiG-41, zdolny do ataku z kosmosu, jest i samolot „piątego pokolenia" (Towarzysze! Słowo „pokolenje" na polski tłumaczy się jako „generacja") SU-57, z którym „niewidziane" amerykańskie myśliwce nie mają szans na rywalizację. Co prawda rosyjskie lotnictwo nie dysponuje jeszcze tymi samolotami, a większość pozostałego nowoczesnego uzbrojenia jest w fazie testów lub prototypów, nie przeszkadza to autorom portalu w czynieniu ważkich porównań: „Jeśli Su-57 spotka się z [amerykańskim] F-35 w walce powietrznej i dojdzie do walki w zwarciu, to Su-57 prawie na pewno będzie bardziej skuteczny" (4.08.2019). Choć sceptycy twierdzą, że rosyjski samolot nie ma właściwości „stealth" i zostanie zestrzelony przez F-35, zanim sam wykryje przeciwnika, to jednak Sputnik przytacza rzekomą opinię amerykańskiego czasopisma: „Jeden Su-57 może zniszczyć całą amerykańską flotę" (4.08.2019). Ten optymistyczny pogląd na temat możliwości rosyjskiego lotnictwa potwierdziły ostatnio urządzone pod Moskwą manewry lotnicze, w których siły lotnicze Rosyjskiej Federacji w cuglach pokonały myśliwce z Kazachstanu, Białorusi i bodaj Azerbejdżanu.

> W stosunku do Polski w tekstach Sputnika przeważa złość i rozczarowanie. Prawdziwą wściekłość wywołuje Instytut Pamięci Narodowej, który pozytywnie opiniuje usuwanie sowieckich symboli, bezczeszcząc pamięć armii wyzwolicielki

Dziś Stany Zjednoczone mogą tylko doganiać rosyjską potęgę: hipersoniczne pociski Cyrkon, albo rakiety Kindżał, testowane ostatnio nowe łodzie podwodne klasy (uwaga!) Warszawianka, przed którymi już drży morska potęga Wielkiej Brytanii. Od kilku lat hitem Sputnika jest rosyjski lotniskowiec nowej generacji. Wprawdzie zwykle prezentowany jest jako plastikowy model w gablocie, to jednak już budzi grozę na świecie, a niemiecki Handelsblatt miał uznać projekt za „oszałamiający".

Z drugiej strony obok karykatur polityki USA i prezydenta Trumpa ważną częścią doniesień Sputnika są teksty obnażające słabości Amerykanów. Na zdjęciach potencjalnych przeciwników dominują twarze zrezygnowanych i zasmuconych żołnierzy, a tytuły krzyczą o powszechnej nadwadze żołnierzy i „zardzewiałych czołgach". Jest jasne, że jeśli Ameryka rozpocznie wojnę z Rosją, najnowsze rakiety jądrowe Buriewiestnik zetrą agresora z powierzchni ziemi.

ROSYJSKIE MISJE POKOJOWE

Antyrosyjskie działania Ameryki – ekonomicznego i wojskowego kolosa na glinianych nogach rządzonego przez niezrównoważonego dziwaka – nie przynoszą rezultatów. Na nic zdają się prowokacje i fałszywe oskarżenia, jak choćby te o atak chemiczny na Skripalów w Wielkiej Brytanii czy zestrzelenie malezyjskiego boeinga MH-11 z 283 osobami na pokładzie. To czysta „rusofobia" rozprzestrzeniana przez kłamców. Z nią Rosja nie tylko sobie radzi, lecz nawet odzyskuje pradawne rosyjskie ziemie, takie jak Krym. Po lekturze tekstu pod

eprasa.pl 4380405d25

wymownym tytułem: „Krym nasz i koniec. Żadnych negocjacji, dyskusji, targów", pióra Marcelego Szpaczyńskiego, aż chciałoby się rosyjskie „zielone ludzki" zaprosić do Polski: „Ludzie w mundurach bez dystynkcji zachowywali się tak, jakby brali specjalne lekcje dobrego wychowania w szkołach dla szlachetnie urodzonych: wyrażali się dwornie, nie przejawiali agresji, pozwalali chętnym fotografować się z nimi, nie przymierzając jak turyści w Zakopanem z białymi misiami. Potem na Zachodzie nazwano to »wojną hybrydową«, żeby choć trochę dodać czegoś negatywnego do opisu tego zjawiska" (16.03.2017). Sputnik podkreśla, że nie ma tu mowy o agresji i aneksji terytorium sąsiedniego państwa, bo półwysep dołączył do Rosji w wyniku referendum, w którym za Rosją wypowiedzieli się sami mieszkańcy Krymu. Czyli tak jak z połową Polski w 1939 r.

Podobnych operacji pokojowych Moskwa musi prowadzić więcej. Od lat Zachód krzyczy, że Rosja napadła na Gruzję. A przecież Sputnik wielokrotnie udowodnił, że to nie była wojna, tylko działania „w celu zmuszenia Gruzji do pokoju" (23.09.2019). Portal podkreśla, że Abchazów i Osetyńców w Gruzji (do dziś Moskwa kontroluje 1/3 terytorium tego kraju należącego do tych mniejszości) należy bronić także dlatego, że wielu z nich ma rosyjskie paszporty. Argument ten warto zapamiętać ze względu na istnienie pokaźnej mniejszości rosyjskiej w państwach bałtyckich. Kraje te mają się rzekomo zbroić i przygotowywać obywateli na ewentualność rosyjskiej inwazji, co ostro skrytykował jeden z publicystów Sputnika: „Histeria, jakiej autorami są przedstawiciele Litwy, Łotwy i Estonii, u swego podłoża ma jedynie znamiona jednostki chorobowej, a nie realne zagrożenie" (17.07.2019). Więcej uwagi Sputnik poświęca Ukrainie. W rosyjskich mediach mówi się wprost, że to państwo sezonowe, pokraczny bękart faszyzmu i knowań Zachodu, którego egzystencja jest tylko kwestią czasu i przypadku. W Sputniku nie brakuje głosów, że to zbuntowana prowincja Rosji i ten sam naród. Ostatnio Moskwa i tu zaczęła wydawanie swoich paszportów. Kolejna misja pokojowa Rosji (jak ta z 1939 r. w Polsce, z 2008 r. w Gruzji czy z 2014 r. na Krymie) w celu obrony swoich obywateli wydaje się tylko kwestią wybrania odpowiedniego momentu.

> Kiedy szef polskiego MSZ Jacek Czaputowicz ogłosił sukces w ostatniej historycznej potyczce z Rosją – nikt na świecie nie poparł bowiem jej kłamliwej narracji o Polsce winnej II wojny światowej – w Sputniku rzecznik prasowy rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa porównała polskiego ministra do pacjenta szpitala psychiatrycznego, który uważa się za Napoleona

KŁOPOTY Z POLSKĄ

W stosunku do Polski w tekstach Sputnika przeważa złość i rozczarowanie. Ale nie wszyscy są tak niewdzięczni za wyzwolenie i dar w postaci Ziem Zachodnich, jak wielokrotnie atakowany prezydent Andrzej Duda czy premier Mateusz Morawiecki. Zofia Bąbczyńska-Jelonek napisała w Sputniku tekst pod znaczącym tytułem „100-lecie odzyskania niepodległości przez Polskę: to nie moja rocznica" z wyrazami wdzięczności dla Armii Czerwonej i wodza ZSRS: „Moja wdzięczna pamięć nie sięga stu lat, ale końca II wojny światowej, decyzji Józefa Stalina, pierwszych osadników i budowania zrębów polskiej władzy na tych ziemiach" (8.11.2018). Obok rusofobicznych działań polskich władz i fałszowania przez nie historii istnieją też ważkie i prężne inicjatywy jak Stowarzyszenie Kursk, którego członkowie remontują sowieckie pomniki. Jego przewodniczący Jerzy Tyc powiedział Sputnikowi: „Mam 48 lat, jestem byłym żołnierzem zawodowym, byłem policjantem. Od dziecka byłem wychowywany w duchu poszanowania pamięci o żołnierzach Armii Czerwonej, w duchu opieki nad miejscami pamięci o tych żołnierzach i polskich żołnierzach, którzy wraz z nimi wyzwalali nasz kraj" (30.06.2016). Prawdziwą wściekłość wywołuje Instytut Pamięci Narodowej, który pozytywnie opiniuje usuwanie sowieckich symboli, bezczeszcząc pamięć Armii Wyzwolicielki. Ze strony Sputnika łatwo się przechodzi na facebookowe profile: ambasady Federacji Rosyjskiej, Stowarzyszenia Kursk oraz profil Zlikwidować IPN.

Działania Polski na arenie międzynarodowej także napawają smutkiem. W tekstach Dariusza Cychola (obok Sputnika tygodnik „Fakty i Mity") polityka premiera Morawieckiego to „suma wszystkich głupot" (26.11.2018), a stosunki z Izraelem skończą się „żydowską orgietką", bo na razie tylko „dymają" Polaków Amerykanie (25.02.2018). Szczególnie martwi aktywność Polski w NATO i ścisły sojusz z Ameryką. Stacjonowanie armii USA w Polsce ma nam przynosić jedynie zagrożenia i straty. Sputnik chętnie powtarza słowa Radosława Sikorskiego o „murzyńskości" polskiej polityki i robieniu Amerykanom „laski". Obok „ważkich" analiz byłego szefa MSZ i MON portal publikuje m.in. oceny Janusza Korwin-Mikkego z Konfederacji pod tytułem „Koalicja Europejska to sprzedawczyki, gorzej jest z PiS-em, to zdrajcy", a także sejmowe wystąpienia Grzegorza Brauna o „zdradzie" polegającej na wpuszczeniu wojsk amerykańskich do Polski.

Mimo wszystko jednak lektura portalu może skłaniać do optymistycznej refleksji. Wprawdzie Polska wywołuje na Kremlu rozczarowanie i irytację, ale rosyjskie paszporty nie są tu jeszcze rozdawane. Nie tylko to wskazuje, że przynajmniej w najbliższym czasie pokojowej misji armii rosyjskiej nad Wisłą nie będzie.

Autor jest pracownikiem IPN

eprasa.pl 4380405d25



Jeszcze Polska nie zniknęła

Mamy do czynienia z poważnym problemem w skali całego państwa. Z tego powodu należałoby się raczej spodziewać, że zostanie on wyłączony poza obręb politycznych sporów, bo dotyczy każdego z nas. Ale nic z tego. Złe wskaźniki demograficzne stały się dla dużej części opozycji pretekstem do podważania programu 500+, który jak dotąd był jedyną rzeczywistą próbą zatrzymania niekorzystnych procesów



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Dane statystyczne od dawna są alarmujące. Jak ostatnio podał GUS, liczba ludności w Polsce wyniosła pod koniec 2019 r. 38,38 mln, co oznacza spadek o 28 tys. w stosunku do 2018 r. Jeśli ta tendencja się utrzyma, Polsce grozi powolne wyludnienie. Wiadomo o tym nie od dziś. Zgodnie z prognozą z 2014 r. liczba ludności Polski spadnie w 2050 r. – według GUS – do niespełna 34 mln osób, a więc do poziomu z końca 1974 r. Co gorsza, jedną trzecią spośród tych 34 mln mają stanowić osoby powyżej 65. roku życia.

Te apokaliptyczne szacunki potwierdzają dane podane OECD. Dziś w krajach OECD na 100 osób w wieku produkcyjnym przypada średnio 31 osób powyżej 65. roku życia. W 2060 r. liczba ta wzrośnie do 58, jednak w Polsce ma ona osiągnąć zawrotną wartość 70 osób. Oznacza to rzecz jasna gwałtowny spadek liczby osób w wieku produkcyjnym, czyli w przedziale 20–64 lat. Z danych OECD wynika, że w 2060 r. liczba takich osób spadnie u nas niemal o 40 proc., co stawia Polskę – obok Korei Południowej i Grecji – w grupie najszybciej starzejących się społeczeństw w krajach OECD, w których średnia wynosi zaledwie 10 proc.

Podstawową przyczyną jest spadający współczynnik dzietności, który – jak podaje GUS – w 2018 r. wyniósł w Polsce 1,43. Oznacza to, że na 100 kobiet w wieku rozrodczym (15–49 lat) przypadało 143 urodzonych dzieci, tymczasem dla zapewnienia wzrostu demograficznego na 100 takich kobiet powinno przypadać co najmniej 210 dzieci, a zatem współczynnik dzietności powinien osiągać wartość 2,1. Niestety najnowsze

eprasa.pl 4380405d25

dane nie napawają optymizmem, w ub.r. w Polsce urodziło się 375 tys. dzieci, ok. 13 tys. mniej niż w roku poprzednim.

Mamy więc do czynienia z poważnym problemem w skali całego państwa. Z tego powodu należałoby się raczej spodziewać, że zostanie on wyłączony poza obręb politycznych sporów, bo dotyczy każdego z nas – bez względu na wyznawany światopogląd czy preferencje partyjne. Ale nic z tego. Złe wskaźniki demograficzne stały się dla dużej części opozycji i wspierających ją mediów wygodnym pretekstem do podważania programu 500+, który jak dotąd był jedyną rzeczywistą próbą zatrzymania niekorzystnych procesów.

PRETEKST DO ATAKU

Oponenci rządu przytaczają podane wyżej dane statystyczne i twierdzą, że program 500+ okazał się fiaskiem. Bo mimo przepompowania przez rząd miliardów złotych do kieszeni Polaków przyrost naturalny nadal jest ujemny. Owszem w skali rocznej jest ujemny, ale trudno nie dostrzec z tych samych danych – jeśli oczywiście jest się uczciwym – że liczba urodzin poszła w górę.

Wróćmy znów do statystyki. Zgodnie z przytoczoną prognozą GUS z 2014 r., w najbardziej optymistycznym wariancie, w latach 2016–2018 w każdym poszczególnym roku miało się urodzić nie więcej niż 380 tys. dzieci. W rzeczywistości przyszło ich na świat więcej: odpowiednio 382 tys., 402 tys. i 388 tys. Nie ulega więc wątpliwości, że choć są to minimalne wzrosty, to jednak dotychczasowy proces spadku został w tym czasie przynajmniej wyhamowany.

Oczywiście tę umiarkowanie optymistyczną tendencję zakłócają najnowsze dane z 2019 r., gdy – jak wcześniej wspomniałem – liczba urodzin spadła do 375 tys. Być może tłumaczyć to należy rosnącymi kosztami życia, jednak ważny jest jeszcze jeden czynnik. Otóż z danych statystycznych wyraźnie widać, że dzięki programowi 500+ najbardziej wzrosła liczba dzieci urodzonych jako drugie albo trzecie. Oznacza to, że niewiele kobiet wchodzących w wiek rozrodczy decydowało się na urodzenie pierwszego dziecka. Nic w tym zresztą dziwnego, bo dopiero w połowie zeszłego roku program został poszerzony na pierwsze dziecko. Zamiast więc mówić o fiasku programu, należy poczekać z ocenami do czasu, gdy program zadziała (lub nie zadziała) wobec kobiet planujących urodzenie pierwszego dziecka, a to – choćby z naturalnych powodów – może trochę potrwać.

Zresztą nawet gdyby możliwości programu 500+ rzeczywiście okazały się mniejsze, niż to wcześniej zakładano, to i tak jest on wart kontynuacji i wydanych pieniędzy. Po pierwsze dlatego, że bez niego wskaźniki demograficzne byłyby zapewne jeszcze niższe, a po drugie, że przyczynia się on do sprawiedliwszej dystrybucji dochodu w Polsce. A właśnie ten socjalny wymiar programu wzbudza – jak można wnioskować – największą irytację środowisk antypisowskich, które zawsze widziały w nim jedynie formę „kupowania" głosów wyborczych przez PiS na koszt „najbardziej zaradnych" wyborców opozycji.

BRAK CZASU NA DZIECI

Problem zapaści demograficznej jest na tyle głęboki, że będzie go bardzo trudno opanować. Z powolnym spadkiem przyrostu naturalnego mamy do czynienia już od 1983 r., a więc nie od dziś. Trwały kryzys demograficzny w Polsce jest faktem, o czym wiadomo od 30 lat. Jednak przez ten czas niemal nikomu z dzisiejszych krytyków polityki społecznej PiS spadające statystyki nie spędzały snu z powiek.

Największe załamanie nastąpiło pod koniec lat 90., gdy liczba urodzeń zaczęła gwałtownie spadać. W rezultacie już w 2002 r. liczba zgonów przewyższyła liczbę urodzeń i Polska odnotowała ujemny przyrost naturalny. Odbiliśmy się na chwilę od dna cztery lata później, gdy na dzieci zaczęło się decydować pokolenie urodzone na przełomie lat 70. i 80., a więc w okresie krótkiego boomu. Wzrost trwał kilka lat i zakończył się definitywnie w 2013 r., gdy przyrost znów spadł poniżej zera.

Rekordowy pod względem liczby ludności był rok 2011, gdy w Polsce – według danych GUS – mieszkało 38,53 mln osób. Od tego czasu liczba ta znów zaczęła spadać.

Warto się jednak zastanowić dlaczego. Na liczbę dzieci największy wpływ mają czynniki ekonomiczne. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że wychowanie dziecka, a zwłaszcza wielu dzieci, oznacza dla rodziców ogromne wydatki, idące w ciągu dochodzenia dzieci do pełnoletności w setki tysięcy, jeśli nie miliony złotych. Nie wszyscy są w stanie lub są gotowi je ponieść. Kiedyś na większą liczbę dzieci decydowali się albo najbogatsi, albo najbiedniejsi – dla tych ostatnich większa liczba potomstwa oznaczała lepsze zabezpieczenie na starość. Współcześnie, wraz z upowszechnieniem systemów emerytalnych, ten ostatni czynnik przestał mieć pierwszorzędne znaczenie i – choć brzmi to brutalnie – dziecko coraz częściej stawało się kosztem, a nie inwestycją w przyszłość. Jeszcze raz warto powtórzyć: niekoniecznie musiało oznaczać to niechęć do posiadania większej liczby dzieci, a znacznie częściej wynikało z chęci zapewnienia rodzinie jak najlepszych warunków do życia, co przy dużej liczbie dzieci mogło być nieosiągalne.

Po upadku komunizmu Polska stała się krajem na dorobku. Bardzo wyraźnie widać związek w czasie między stopniowym wzrostem zamożności Polaków i ich ciężką pracą a spadkiem liczby urodzeń. Codzienna gonitwa za pieniędzmi – skądinąd naturalna – nie sprzyjała dzietności. Okres po 2005 r., gdy na chwilę pojawiły się owoce wcześniejszego wzrostu gospodarczego, przyniósł chwilową poprawę wskaźników demograficznych. Potem – po 2012 r. – znów mamy spadek, z trudnością powstrzymywany od 2015 r.

Na to wszystko należy jeszcze nałożyć masową emigrację po wejściu Polski do Unii Europejskiej, również wywołaną głównie powodami ekonomicznymi. W 2018 r. poza granicami kraju przebywało 2,45 mln Polaków, zwykle w wieku produkcyjnym. Ich potomstwo nie zasili już raczej polskiego społeczeństwa.

Mimo to wskaźniki przyrostu naturalnego byłyby dziś może nieco lepsze, gdyby nie jeszcze jeden istotny czynnik wpływający na jego spadek. Jest nim rosnąca liczba zgonów. W 2019 r.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 4380405d25

zmarło 410 tys. osób (przy 375 tys. urodzeń), rok wcześniej było aż 414 tys. zgonów (wobec 388 tys. urodzeń) – najwięcej od końca II wojny światowej.

Eksperci wskazują, że zaczyna powoli umierać pokolenie boomu demograficznego z okresu powojennego. Z tej przyczyny nawet przy utrzymującej się lub wręcz lekko rosnącej liczbie urodzeń nie ma w najbliższym czasie szans na dodatni przyrost naturalny.

MOŻE NIE JEST TAK ŹLE

W tej chwili, jak już była o tym mowa, współczynnik dzietności w Polsce wynosi – według GUS – 1,43. Choć to za mało, aby zapewnić zastępowalność pokoleń, jest to i tak znacznie więcej, niż zakładały pesymistyczne prognozy GUS, zgodnie z którymi współczynnik w 2014 r. wynoszący zaledwie 1,26, miał do 2020 r. wzrosnąć jedynie do poziomu 1,32. Można się zastanawiać nad tym, czy jest to – jak twierdzi pełnomocniczka rządu ds. polityki demograficznej Barbara Socha – skutek programu 500+ czy też nie, ale wzrost współczynnika jest niezaprzeczalny.

Niewykluczone zresztą, że faktycznie współczynnik ten jest jeszcze wyższy. Jak wskazują w swojej analizie Marta Anacka i Anna Janicka z Ośrodka Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego, liczbę urodzeń w Polsce należy odnosić do rzeczywistej liczby ludności Polski, która wskutek emigracji wynosi – według szacunków – nieco powyżej 37 mln osób. A ten ponad milion mniej ludzi robi już różnicę przy obliczaniu współczynnika dzietności. Zdaniem obu badaczek współczynnik ten już w 2015 r. osiągnął 1,43. Jeżeli wzrost utrzyma się na dotychczasowym poziomie, to niewykluczone, że w 2060 r. osiągnie 1,75, a w najbardziej optymistycznym wariancie nawet 2,1. A to oznaczałoby ponowny wzrost ludności Polski.

Wszystko to może się udać, pod warunkiem że państwo będzie kontynuować swoją dotychczasową politykę prodemograficzną. Jednak program 500+ to nie wszystko. Konieczne są dalsze udogodnienia i ulgi dla rodzin decydujących się na posiadanie potomstwa. Należy nadal rozwijać infrastrukturę: żłobki i przedszkola, aby obojgu rodzicom łatwiej było godzić pracę zarobkową z wychowaniem dzieci. Rząd uruchomił już przykładowo program Maluch+, dzięki któremu liczba miejsc w żłobkach wzrosła ze 106 tys. w 2017 r. do 137 tys. rok później. Świadomość, że zmiany są konieczne, istnieje, ale na przeszkodzie stoją ograniczenia budżetowe.

Bardzo wiele do zrobienia pozostaje też w przypadku sytuacji pracujących matek, które muszą mieć pewność, że rodzicielstwo nie odbije się negatywnie na ich sytuacji zawodowej. Jednym z rozwiązań jest tzw. urlop ojcowski, do wykorzystania przez ojca, zanim dziecko osiągnie 12. rok życia – rzecz do dyskusji, bo ojciec w żadnym wypadku nie mógłby go przenieść na matkę. Zamiast tego ideologicznie motywowanego pomysłu wystarczyłaby zapewne większa ochrona i uprzywilejowanie matek w prawie pracy.

> Dziś odchodzi powoli pokolenie boomu demograficznego z okresu powojennego. Z tej przyczyny nawet przy lekko rosnącej liczbie urodzeń nie ma na razie szans na dodatni przyrost naturalny

Ludzie powinni poczuć, że posiadanie dzieci się opłaca i że państwo będzie ich wspierać. Kwestia zaufania do państwa ma tu dość kluczowe znaczenie.

RECEPTA OPOZYCJI

Trudno jednak liczyć na takie zaufanie w sytuacji, gdy klasa polityczna w Polsce jest podzielona również w kwestii rodziny i polityki demograficznej. Pomijając już krytykę programu 500+ (i pojawiające się co jakiś czas wśród opozycji propozycje likwidacji świadczeń), coraz ważniejszą rolę odgrywają kwestie czysto ideologiczne. Dziś mówienie o dziecku jako „szkodliwym śladzie węglowym" niszczącym klimat wydaje się w Polsce ciągle groteskowe, ale za granicą traktowane jest coraz bardziej poważnie. Czy mamy jakąś gwarancję, że w przypadku zmiany władzy na liberalną ktoś z nowej ekipy nie wpadnie za jakiś czas na pomysł (zapewne zaczerpnięty z zewnątrz), aby nie tylko nie pomagać rodzinom, ale – przeciwnie – żeby pobierać podatki od posiadania dzieci?

Do tego dochodzą zmiany kulturowe. Coraz więcej kobiet świadomie rezygnuje z zakładania rodziny lub potomstwa na rzecz pracy zawodowej. Oczywiście nie mówimy tu o licznych przypadkach, w której kobieta zmuszona jest sytuacją ekonomiczną lub osobistą do rezygnacji z posiadania dzieci, lecz o jej dobrowolnej decyzji. Przy zmniejszającej się ogólnej liczbie ludności może mieć to negatywny wpływ na wskaźniki demograficzne.

Najbardziej radykalna ideologicznie część opozycji ma swoją receptę na kryzys demograficzny. Jest nią imigracja. Warto mieć więc świadomość, że bitwa toczy się nie tylko o demografię, lecz również o strukturę ludnościową Polski. Zwłaszcza że wyższy poziom życia w Polsce nie tylko sprzyja dzietności, lecz również skłania cudzoziemców do osiedlania się u nas.

Zdaniem wspomnianych już badaczek z Ośrodka Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego najwięcej imigrantów będzie przybywać do Polski w latach 2030–2040, nawet 100 tys. rocznie. To oczywiście wpłynie na zahamowanie procesu wyludniania Polski, ale w dalszej perspektywie zmieni także obraz całego kraju.

Nie jesteśmy wprawdzie w stanie temu całkiem zapobiec i powstrzymać naturalne procesy migracyjne, ale możemy je kontrolować. Jednak pod warunkiem że będziemy myśleć o swojej przyszłości.

eprasa.pl 4380405d25

Z oddali widać więcej

Musimy zacząć ze sobą rozmawiać, a nie tylko do siebie krzyczeć przez megafony i media społecznościowe. Także w teatrze. A może na początek w teatrze? – mówi ***Marek Kochan***, specjalista PR, pisarz, wykładowca, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Mało pana w przestrzeni publicznej, a przecież jeszcze jakiś czas temu był pan mocno obecny. Polityczna wewnętrzna emigracja?

Marek Kochan: Prawie pięć lat temu zrezygnowałem z komentowania życia publicznego w mediach. Chcę mówić o świecie, ale inaczej: pisząc dramaty, powieści, teksty naukowe.

Nie kusi pana, by wrócić?

Wolę mówić z dystansu, zwracając uwagę na inne problemy, niż uczestniczyć w dyskusjach, które w moim odczuciu są często dość jałowe. Każdy powtarza swoje: to chór monologów. A i tak uważam, że debata jest dziś o niebo lepsza niż dawniej, bo wreszcie mamy pluralizm w mediach. Demokracja kwitnie: są różne telewizje, tygodniki, rozgłośnie radiowe – widz może dziś porównać punkty widzenia, wypracować własną opinię. Uznałem, że mój udział w tej dyskusji nie jest niezbędny. Wolę raz na pół roku czy rok wypowiedzieć się w dramacie czy powieści, niż co tydzień chodzić do telewizji.



Chce pan nam powiedzieć, że z poziomu teatru, powieściopisarza można skuteczniej zmieniać rzeczywistość?

Nie jestem pewien, czy pisarz może zmienić rzeczywistość. Ale na pewno może mówić inne rzeczy niż publicysta, niekoniecznie wpisując się w bieżące spory, podziały. Raczej skłaniać do namysłu, niż zajmować jednoznaczne stanowisko. Z oddali widać więcej.

Nie dzwonią czasem z poprzedniego świata z zaproszeniami, prośbą o szkolenie, podpowiedź?

Ciągle dzwonią z różnych telewizji, a ja odmawiam. Wybrałem inną drogę.

Tą inną drogą są liczne dramaty i sztuki. Sporym echem odbił się spektakl „Paderewski" zrealizowany przez Teatr Polskiego Radia, ale słuchając go, miałem wrażenie, że mówi pan nie tylko o historii.

To bardzo ważny dla mnie dramat. Jest komentarzem do życia publicznego w Polsce w XXI w. Paderewski umiał stanąć ponad podziałami i konsekwentnie zabiegać o dobro wspólne. Polska odzyskała niepodległość, ponieważ wszystkie siły polityczne umiały się zjednoczyć wokół wspólnego celu. Potem tego zabrakło.

Czy nasi czytelnicy mogą znaleźć odpowiedź na wyzwania roku 2020, choćby przy kampanii prezydenckiej, w takich – na pozór – historycznych sztukach jak „Paderewski"?

W sztuce zastanawiam się, jak by było, gdyby to Paderewski został prezydentem. Wiadomo, jak skończył się ostry spór towarzyszący wyborowi Gabriela Narutowicza. Czy mogło być inaczej? Sztuka jest dostępna na stronach Polskiego Radia. Może ktoś jej wysłucha i spojrzy inaczej na dzisiejszą politykę?

eprasa.pl 4380405d25



Fot. Andrzej Skwarczyński

Świat kultury jest ciekawszy niż polityki?

Świat kultury jest mniej demokratyczny i pluralistyczny niż media czy polityka. Można wybierać telewizje, stacje radiowe, tygodniki. Głosować na partię, która jest komuś najbliższa. A w kulturze wciąż na wielu polach widać monopol jednego środowiska. W teatrze wiele osób nie może znaleźć tekstów mówiących o ich sprawach ich językiem, przemawiających do ich wrażliwości.

A skąd bierze się ten brak pluralizmu? Może po prostu lewicowe środowiska ładniej, ciekawiej mówią o swojej wizji świata?

To pozorny argument. W teatrze lewicowa wrażliwość jest obecna w przedstawieniach o różnym poziomie artystycznym: są dzieła wybitne, ale jest też mnóstwo kiepskich, czasem żenujących tekstów i sztuk. Często mam wrażenie, że to nachalna propaganda, a nie teatr. Jestem rozczarowany jako widz. A przecież może być inaczej. W Teatrze Polskiego Radia było zawsze miejsce dla odbiorców o różnych wrażliwościach i zainteresowaniach. Pluralizm zapanował ostatnio w Teatrze Telewizji, który odrodził się po latach: teraz powstaje tam prawie 30 spektakli rocznie, są one adresowane do różnych widzów. Tymczasem w teatrach miejskich i narodowych ciągle brakuje mi różnorodności, prezentowania odmiennych punktów widzenia.

Nie chcą się przesunąć, jak w mediach czy polityce?

Przypomnę zdumiewające zdanie, które padło kilka lat temu: „Nie oddamy wam kultury". A więc ktoś czuje się „właścicielem" kultury i nie chce jej oddać. To śmieszne. Kultura jest wspólna, ma służyć wszystkim. Jakaś wąska grupa ludzi nie może jej zawłaszczać – tym bardziej gdy jest ona finansowana ze środków publicznych. Wierzę, że i dla moich tekstów, np. tych wydanych w zbiorze „Dramaty wybrane", znajdzie się miejsce w polskim teatrze.

Próbował pan?

Właśnie wydałem książkę, chcę się spotkać z widzami w różnych miastach. Przyjadę tam, gdzie mnie zaproszą. Jestem przekonany, że to, o czym piszę, i to, jak piszę, może wzbogacić polski teatr, przyciągnąć nowych odbiorców. Mały quiz: wie pan, jaki procent Polaków chodzi do teatru przynajmniej dwa razy w roku?

Nie wiem, sądząc po statystykach czytelnictwa, stawiam na 25–30 proc.

Zmartwię pana. Wedle badania z 2015 r. to tylko 9 proc. Z tymi, którzy byli raz w roku, jest razem ledwie 16 proc. Czyli 84 proc. Polaków nie chodzi nawet raz w roku do teatru. Powodów zapewne jest wiele – czas, pieniądze, zabieganie, ale moja intuicja jest taka, że wielu ludzi nie znajduje w teatrze propozycji dla siebie. Współczesny teatr zajmuje się sprawami osób i środowisk, które szacuję na plus minus 5, może 10 proc. populacji – i bardzo dobrze, że tak jest, że ci widzowie mają swój teatr. Ale 84 proc. odwraca się do tego teatru plecami: czy to nie powinno dawać do myślenia?

Brzmi to dobrze na poziomie ogólnym, ale zejdźmy do konkretów.

Proszę bardzo. Pytanie: co w życiu publicznym, ważnego dla wszystkich, od lewa do prawa, zdarzyło się w minionej dekadzie, co wymaga opisu, refleksji, zrozumienia?

Smoleńsk.

A ile spektakli teatralnych w Polsce zajęło się tą sprawą?

eprasa.pl 4380405d25

Poza „Bezkrólewiem" Wojciecha Tomczyka nie kojarzę niczego na poważnie.

Zgoda, ale ta sztuka nie była grana nigdzie. Było jedno czytanie w klubie Palladium, w reżyserii Redbada Klynstry-Komarnicki. Dlaczego żaden teatr nie mógł, nie chciał wystawić tej sztuki?

Stanę w roli adwokata diabła: może to była sprawa zbyt duża, zbyt bieżąca, uznano, że temat jest zbyt gorący.

Ale teatr nie boi się podejmować tematów bieżących i doraźnych, które dotyczą wspomnianej kilkuprocentowej części populacji. Dlaczego w Polsce, w 38-milionowym kraju, nie ma teatru, by wystawić taką sztukę jak „Bezkrólewie"? A jest miejsce na spektakle, które poza tym, że są obsceniczne, pełne agresji i wywołują skandal, niewiele wnoszą do zrozumienia czegokolwiek.

Wydałem zbiór siedmiu dramatów. Wiem, że mam swoich widzów, spotkałem się z nimi w Sopocie, gdzie podczas Festiwalu Dwa Teatry było pokazywane „Rio", spektakl Teatru Telewizji. Dlaczego widzowie nie mają szansy zobaczyć „Rio" na scenach polskich miast? Dlaczego inna sztuka z tego zbioru została wystawiona w Argentynie, w Buenos Aires, a nie miała premiery w Polsce? Myślę, że brak pluralizmu w teatrze skutkuje tym, że dla wielu ludzi nie jest on interesujący: albo nie mówi o ważnych sprawach, albo mówi nie tym językiem. Zmiana jest potrzebna.

Jak to zrobić?

Teatr musi się bardziej otworzyć na różnych widzów. Na Zachodzie często jeden teatr ma trzy sceny: klasyka, współczesne sztuki bliższe mainstreamowi i trzecia dla spektakli eksperymentalnych. Tak było choćby w Heidelbergu, gdzie wystawiono moje „Argo". Tam widz może wykupić abonament (co też jest odpowiedzią na problem z cenami biletów), dostaje propozycje z kilku pasm, może wybierać. To zagospodarowuje widzów o różnych potrzebach i wrażliwościach. U nas czasem są trzy sceny w jednym teatrze, ale wszystkie spektakle mają podobnych adresatów.

Powie ktoś: może niepotrzebnie chce pan przenosić publicystykę do teatru.

Nie chodzi o publicystykę, a o ważne dyskusje na temat wspólnoty. To rola teatru i sztuki w ogóle: pokazać złożoność świata. „Antygona" Sofoklesa nie jest agitacją za Kreonem czy za Antygoną, ale pozwala odbiorcy poznać racje obu stron i dzięki temu zrozumieć ich konflikt.

Jak widziałby pan to w praktyce na deskach teatru?

Np. imigracja, problem ważny dla Europy i dla Polski też. Z jednej strony pytania o tolerancję, o otwarcie na innego, a z drugiej strony o to, czego możemy od innego wymagać, o jego prawa i obowiązki. O tym są moje „Makaki z Celebes". W tym dramacie i zwolennik imigracji, i osoba sceptyczna mogą znaleźć własne argumenty, być może spotkać się, spróbować zrozumieć siebie wzajemnie.

I wtedy wzrośnie nam odsetek Polaków chodzących do teatru?

Jestem przekonany, że jeśli pojawi się sztuka poruszająca ważny temat, wyrafinowana i komunikatywna, to ludzie pójdą do teatru. Przypomnę, co się działo wokół „Dziadów" Dejmka... Ponad pół wieku temu. Dziś nie znam spektakli, które byłyby w podobnym sensie istotne dla całej wspólnoty. Niebawem w Teatrze Telewizji będzie realizowany mój dramat „Trójkąt bermudzki", w którym próbuję dotknąć jednego z najważniejszych sporów ostatnich lat. Mam nadzieję, że wywoła on dyskusję i pogłębi refleksję na temat życia publicznego w Polsce.

A może po prostu teatr dziś musi przegrać z Netfliksem czy HBO? Może rzeczywistość sprzed trzech dekad nie ma startu do abonamentu za pięć dych miesięcznie, z nieograniczonym dostępem do serialu.

To rozrywka na wyższym czy niższym poziomie, ale niekoniecznie coś więcej. Nie jestem pewien, czy takie seriale mówią coś istotnego o naszej rzeczywistości.

Czasem mówią. To pewnie płytkie, ale dyskusja o Kościele i jego kondycji przy okazji „Dwóch papieży" czy „Młodego papieża" jest obecna, mamy „Czarnobyl", „Na cały głos" – w pewien sposób te seriale wyczerpują jakieś oczekiwanie na to, by sztuka zabrała głos w dzisiejszych debatach.

Być może. Ale te seriale powstają zwykle w USA, na globalne rynki. Nie są i nie mogą być adresowane do konkretnych krajów z ich specyficznymi problemami. Generalnie seriale chyba zaspokajają inne potrzeby niż teatr. Choć w Polsce powstał np. świetny serial „Artyści". Pokazywał jedno środowisko – właśnie teatralne, był interesujący formalnie, ale nieco wsobny, dla wąskiej publiczności, nawet jeśli teatr był tam metaforą. Przykładem do naśladowania jest „Dekalog" Kieślowskiego. Ale czy powstało ostatnio coś podobnego?

Pana „Dramaty wybrane", które trafiają na rynek, też odbijają się często od konkretnych spraw publicystycznych, politycznych.

Staram się patrzeć z dystansem, szukać głębi, tła tych zjawisk. „Rio" jest inspirowane aferą Amber Gold, ale nie ma tam aferzystów ani polityków. Interesuje mnie raczej temat zaufania ludzi do instytucji i do siebie wzajemnie. Próbuję zrozumieć źródła nadmiernego zaufania i postawy ludzi, którzy zostali oszukani.

Nie daje pan jednak jednoznacznych odpowiedzi. To nie są dzieła tożsamościowe, skrojone, by rozwiązać jakiś problem.

Owszem, nie chcę narzucać takiej lub innej prawdy o świecie. Każdy ma swoją. Myślę, że największym problemem jest brak dialogu. Odwołam się jeszcze raz do „Antygony" jako do pewnego wzoru. Sofokles pokazał tam spór, niekoniecznie łatwy do rozwiązania, może nierozwiązywalny, ale przez zderzenie racji przynajmniej bardziej zrozumiały. My, Polacy, musimy zacząć ze sobą rozmawiać, a nie tylko do siebie krzyczeć przez megafony i media społecznościowe. Także w teatrze. A może na początek w teatrze? Tylko taki teatr ma sens.

eprasa.pl 4380405d25

Watykan bardzo poważnie przygotowuje się na stulecie urodzin polskiego papieża. 17 maja na placu św. Piotra w Rzymie odbędzie się msza dziękczynna za Jana Pawła II, którą celebrować osobiście będzie sam Franciszek



Fot. AP Photo / Andrew Medichini)

Franciszek i Jan Paweł II: podobni i różni



GRZEGORZ GÓRNY

W ciągu ostatnich siedmiu lat często można było usłyszeć w watykańskich kręgach zdanie, że epoka Wojtyły już się skończyła, teraz zaś nastała era Bergoglia. Z jednej strony takie stwierdzenie jest oczywistością, ponieważ pontyfikat Jana Pawła II należy już do przeszłości, a w Watykanie urzęduje Franciszek.

Z drugiej strony słowa te miały nieco inne znaczenie: chodziło o podkreślenie zerwania ciągłości między nauczaniem Polaka i Argentyńczyka. Zwolennicy reform tego ostatniego często mówili zresztą o „rewolucji Franciszka", przeciwstawiając ją skostniałym pontyfikatom jego poprzedników. Do obiegu publicznego weszło nawet pojęcie „dewojtylizacji" Kościoła, czyli oczyszczenia jego nauki z wątków rozwijanych przez Jana Pawła II. Doszło do tego, że pewien watykański biskup (nazwisko litościwie pomińmy) snuł dywagacje, iż należy poważnie zastanowić się nad... dekanonizacją polskiego papieża.

ŚWIĘTY JAN PAWEŁ WIELKI

Stulecie urodzin Karola Wojtyły stanie się okazją do odwrócenia tej tendencji. 17 maja (w przededniu wspomnianej rocznicy) na placu św. Piotra w Rzymie odbędzie się msza dziękczynna za Jana Pawła II, którą celebrować osobiście będzie sam Franciszek. W Watykanie przygotowywana jest już okolicznościowa publikacja zawierająca sto zdjęć polskiego papieża i sto modlitw za jego wstawiennictwem.

Jeszcze wcześniej, bo 11 lutego, ukaże się drukiem 128-stronicowa książka „Święty Jan Paweł Wielki". Jest to zapis rozmów, jakie przeprowadził z Franciszkiem włoski teolog ks. Luigi Maria Epicoco. Z ich lektury wyłania się obraz licznych podobieństw łączących obu pasterzy, którzy zabrani zostali „z dalekiego kraju", by osiąść nad Tybrem. Dzieje się tak za sprawą samego Franciszka, który wielokrotnie w książce przedstawia się jako dłużnik i spadkobierca nauczania Jana Pawła II. „Wystarczy przeczytać moje listy w Wielki Czwartek, a nawet homilie, które wypowiadałem przez lata jako biskup Buenos Aires, aby zobaczyć, jak istnieje pełna harmonia ze św. Janem Pawłem II w odniesieniu do kapłaństwa". W innym miejscu wspomina, że był w Argentynie postrzegany jako konserwatysta, ponieważ pozostawał w zgodzie z tym, co głosił papież z Polski.

Włoski watykanista Paolo Rodari na łamach lewicowego dziennika „La Repubblica" pisze, że wspomniana książka to „kontrofensywa Bergoglia", który podkreśla swoje więzi z Janem Pawłem II, by zaprzeczyć często powtarzanym tezom, iż „zdradza teologię moralną" Kościoła, a nawet zarzutom, że jest „papieżem heretykiem".

Podobnie uważa Domenico Agasso jr na łamach „La Stampa". Jego zdaniem przeciwnicy reform „bergogliańskich" często powołują się na dorobek Jana Pawła II, wykazując sprzeczność między nauczaniem obu pontyfikatów. W najnowszej publikacji Franciszek, podkreślając swoją pełną

eprasa.pl 4380405d25

zgodność z myślą Karola Wojtyły, wytrąca im ten argument z ręki.

Wszystko wskazuje na to, że premiera książki „Święty Jan Paweł Wielki" zbiegnie się w czasie z ogłoszeniem przez Franciszka adhortacji podsumowującej obrady ubiegłorocznego synodu ds. Amazonii. Obie pozycje będą więc czytane i analizowane jednocześnie. Intencją Watykanu wydaje się zatem przedstawienie posynodalnych decyzji jako zgodnych z myślą Jana Pawła II.

ZERWANIE CZY ROZWÓJ?

Najprawdopodobniej w watykańskim sekretariacie ds. komunikacji zdano sobie sprawę, że zbyt częste przedstawianie kościelnych reform jako „rewolucji Franciszka", przy jednoczesnym marginalizowaniu postaci i nauczania Jana Pawła II, budzi opór i nieufność w wielu środowiskach katolickich. Dlatego w najbliższym czasie coraz częściej mają być eksponowane wątki wskazujące na ciągłość nauczania obu pontyfikatów.

Już teraz watykaniści wskazują kilka takich motywów. Słynne określenie „nawrócenie ekologiczne" nie jest wcale sformułowaniem wymyślonym przez Franciszka, lecz pojawiło się 17 stycznia 2001 r. w wystąpieniu Jana Pawła II, gdy podczas środowej audiencji generalnej wzywał on wiernych do ochrony środowiska naturalnego. To prawda, że pojęcie to nie odgrywało tak ważnej roli w nauczaniu Karola Wojtyły, ale – jak podkreślają komentatorzy – dziś znajdujemy się w innej sytuacji i mamy inną świadomość zagrożeń ekologicznych niż wówczas, dlatego konieczne jest pogłębienie refleksji na ten temat.

Inny wątek dotyczy kary śmierci. Jan Paweł II pozostawił jej dopuszczalność w Katechizmie Kościoła katolickiego, choć – jak sam zaznaczył w innym miejscu – uważa, że społeczeństwa dysponują dziś takimi możliwościami odizolowania ciężkich przestępców, iż nie ma konieczności uśmiercania skazańców. Franciszek poszedł znaczenie dalej, uznając, że kara śmierci jest sprzeczna z przesłaniem chrześcijańskim i nakazując wykreślenie z katechizmu zapisu o jej dopuszczalności.

Wywołało to spór między teologami. Jedni uważali, że stanowi to zerwanie z całym dotychczasowym nauczaniem Kościoła w tej kwestii. Inni z kolei twierdzili, że to kolejny etap rozwoju tej samej doktryny i Franciszek jawi się jedynie jako kontynuator linii Jana Pawła II.

Kluczowe w tym kontekście wydaje się pojęcie rozwoju doktryny katolickiej. Otóż – według często używanego porównania teologów – przypomina ona dąb, który na początku jest żołędziem, by z czasem stać się rozłożystym drzewem. Na pierwszy rzut oka różni je wszystko, a jednak jest to ten sam organizm, który posiada tę samą tożsamość. W małym żołędziu jest już bowiem zawarty cały potencjał, który rozwinie się później w olbrzymim dębie.

Jak zauważył jednak św. John Henry Newman w swoim fundamentalnym dziele „O rozwoju doktryny katolickiej", powyższy proces zakłada zasadę nie-

> W książce „Święty Jan Paweł Wielki" Franciszek wielokrotnie przedstawia się jako dłużnik i spadkobierca nauczania papieża Polaka

sprzeczności, tzn. to, co Kościół ogłasza później w kwestiach wiary i moralności, nie może być sprzeczne z tym, co głosił wcześniej. Innymi słowy: nie może on zaprzeczać sam sobie.

Dziś ten dylemat dotyczy np. przystępowania do komunii osób rozwiedzionych i utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach. Od początku swojego istnienia Kościół głosił, że pary pozostające w związkach niesakramentalnych nie mogą być dopuszczane do sakramentu Eucharystii i nie ma od tego żadnych wyjątków, ponieważ żyją one w stanie grzechu ciężkiego i w takich przypadkach komunia przyjęta zostaje niegodnie. Dziś jednak niemal cały episkopat Niemiec (z wyjątkiem paru biskupów) uważa inaczej, a przystępowanie takich osób do Eucharystii stało się tam powszechną praktyką.

Mamy więc do czynienia ze złamaniem zasady niesprzeczności, a więc z zerwaniem z odwiecznym nauczaniem Kościoła. Niemiecki episkopat utrzymuje jednak, że on tylko rozwija doktrynę katolicką, a nie ją wypacza.

NIEMIECKI „EKSPERYMENT DUCHOWY"

Przykład Niemiec nie jest przypadkowy, ponieważ właśnie w tym kraju rewolucja teologiczna zaszła najdalej i wciąż znajduje się w natarciu. Przejawem tego jest zainicjowana 1 grudnia 2019 r. tzw. droga synodalna, która stawia sobie za cel przeprowadzenie w Kościele zmian sprzecznych z dotychczasową nauką katolicką. Mówi o tym zresztą wprost większość uczestników owego wydarzenia.

Podczas konferencji prasowej kończącej pierwszą część drogi synodalnej przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec kard. Reinhard Marx powiedział, że jest to „eksperyment duchowy". Dodał: „Z jednej strony przestrzegamy porządku panującego w Kościele, ale z drugiej interpretujemy go swobodnie i otwarcie. I staramy się zrobić coś, co nigdy nie istniało w tej formie".

O co konkretnie chodzi, wyjaśnili kolejni mówcy. Biskup Stefan Hesse z Hamburga zdystansował się od nauczania Kościoła w sprawie homoseksualizmu, dodając, że nie można wymagać od takich osób wstrzemięźliwości, ponieważ jest to postawa dyskryminująca. Z kolei bp Georg Bätzing z Limburga stwierdził, że w kwestiach dotyczących ludzkiej seksualności należy postępować, „nie zrywając z doktryną, lecz rozszerzając ją, otwierając i modyfikując". Jak miałoby to konkretnie wyglądać? Otóż według wspomnianego hierarchy należy rozszerzyć koncepcję, zgodnie z którą dopuszczalne przez Kościół są tylko akty seksualne w małżeństwie i otwarte na prokreację. Jego zdaniem akceptację Kościoła należy rozciągnąć też na inne formy relacji seksualnych.

Wspomniani dostojnicy nie mówią więc wprost o zerwaniu z nauczaniem Kościoła, lecz o uprawnionym rozwoju doktryny katolickiej, choć w rzeczywistości proponują radykalny rozbrat z „depositum fidei". Być może niektórzy niemieccy biskupi będą się przy tym powoływać na... Jana Pawła II. Trzeba więc uważać, by autorytet papieża z Polski nie został wykorzystany do żyrowania zmian sprzecznych z nauczaniem Kościoła.

eprasa.pl 4380405d25

Dzieci pod presją

W jednej z warszawskich szkół artystycznych uczeń pierwszej klasy liceum popełnił samobójstwo. To podobno nie pierwsza tego typu sytuacja w tej szkole, wcześniej było już kilka prób samobójczych. W całej Polsce co piąty zgon nastolatka spowodowany jest samobójstwem. To z jednej strony wynik presji, jakiej poddawane są dzieci, a z drugiej – zapaści w psychologii i psychiatrii dziecięcej



DOROTA ŁOSIEWICZ



eprasa.pl 4380405d25

Miarą sukcesu dziecka są stopnie. Najlepiej jeśli są to piątki lub szóstki. Coraz częściej ocena dobra lub dostateczna jest traktowana jako porażka – mówi Agnieszka Olszacka, nauczycielka języka polskiego, wychowawczyni.

NA NIECHLUBNYM PODIUM

Według danych Eurostatu, opracowanych przez fundację Dajemy Dzieciom Siłę, Polska jest na drugim miejscu pod względem liczby samobójstw dzieci i młodzieży do 19. roku życia w Unii Europejskiej. Młodzi ludzie w Polsce mają coraz większe problemy ze zdrowiem psychicznym: 3–5 proc. nastolatków cierpi na depresję, a ok. 20 proc. osób do 18. roku życia doświadcza przynajmniej jednego jej epizodu.

Dziś dzieci nie mają już czasu na zabawę na podwórku ani na zwykłe fikołki na trzepaku. Są w ciągłym niedoczasie. Ledwo zdążą wrócić ze szkoły, już przychodzi pora na zajęcia dodatkowe. Basen, języki, balet, sztuki walki, medytacja, skrzypce, pianino, aktorstwo, tenis, jazda konna. I koniecznie jeszcze coś oryginalnego, czym nie zajmuje się nikt inny. Żeby niczego nie przegapić, żeby młody człowiek wciąż się rozwijał. W weekendy nie jest lżej, żeby nie było czasu na nudę. No i żeby rodzice nie musieli się za dużo zajmować młodym człowiekiem.

– Pracuję w szkole i coraz częściej widzę zjawisko wypalenia wśród dzieci. Może to brzmieć dość abstrakcyjnie, bo kto by pomyślał, że np. 12-latek może się wypalić – opowiada Agnieszka Olszacka, nauczycielka języka polskiego w jednej z warszawskich szkół. – Trzeba jednak zobaczyć, jak wygląda dzień takiego dziecka. Zaczyna się przeważnie między szóstą a siódmą rano, lekcje startują o ósmej, w szkole przebywa ok. 6–8 godz. Lekcja trwa 45 min, podczas których trzeba się skupić, bo albo dostanie się jedynkę, albo uwagę, albo powstaną jakieś braki. Przerwa trwa 10 min, a przerwa w szkole podstawowej to hałas jak przy starcie samolotu. Po szkole są zajęcia dodatkowe, później trzeba odrobić lekcje. Często trwa to do godzin wieczornych. Dzieci w czwartej czy piątej klasie chodzą spać ok. 23.00, więc dość późno. I następnego dnia machina rusza od początku. Dorosły by tego nie wytrzymał – wylicza Olszacka.

W rozmowie z portalem Onet.pl dr Agnieszka Dąbrowska, psychiatra dziecięcy z warszawskiego ośrodka Relacje, zwróciła uwagę, że samobójstwo to obecnie najczęstsza przyczyna śmierci polskich dzieci. Częstsza niż choroby nowotworowe i wypadki komunikacyjne, a w ostatnim roku z powodu śmierci samobójczej zniknęły w Polsce ponad trzy klasy!

– Dorośli zapomnieli o pewnej prawidłowości, o której mówi psychologia rozwojowa, czyli że człowiek rozwija się motorycznie, poznawczo i emocjonalnie – tłumaczy dr Kamila Lenkiewicz, dyrektor ds. psychoterapeutycznych ze stołecznego Środowiskowego Centrum Zdrowia Psychicznego dla Dzieci i Młodzieży. – O ile bardzo duży nacisk kładziemy na rozwój poznawczy, rodzice chętnie się tym chwalą, nauczyciele także, bo lubią mieć pod opieką zdolne dziecko, które bierze udział w różnych konkursach, o tyle całkowicie lub w znacznym stopniu zapomnieliśmy o rozwoju emocjonalnym – podkreśla Lenkiewicz. – Dzieciom stawia się duże wymagania, jeśli chodzi o rozwój poznawczy, najlepiej żeby dostały piątkę lub szóstkę. Kiedy przychodzi do mnie nastolatek, który mówi, że ma średnią powyżej 5,5, to pytam go z przerażeniem, jak to robi. Często słyszę, że dzieci wstają o czwartej czy o piątej rano, kładą się o północy, bo trzeba odrobić lekcje, powtórzyć. Często nie mają komu się poskarżyć, że są zmęczone, przeciążone, że mają kłopoty, że też przeżywają stres. Są więc pozostawione same sobie. Stąd pojawia się pomysł, by zakończyć życie. I nie chodzi o to, że im się nie chce żyć, tylko chcą zakończyć to życie, które mają i z którym nie dają rady – mówi dr Lenkiewicz. – Zbyt cenimy intelekt, a zaniedbujemy sferę emocjonalną – dodaje.

W POGONI ZA IDEAŁEM

Niestety, z doświadczenia terapeutów i pedagogów wynika, że rodzice zbyt rzadko mówią dzieciom, że bardziej niż dobry stopień w szkole interesuje ich to, by były szczęśliwe.

– Mądry rodzic musi pozwolić dziecku odpocząć, dać szansę na reset, odpuścić – nie ma wątpliwości Agnieszka Jackowska, pedagog, mama sześciorga dzieci. – Zastanawiam się, do jakiej tragedii musi dojść, byśmy my, rodzice, się opamiętali i przestali bezkrytycznie patrzeć na ten wyścig szczurów, w którym wystawiane są nasze dzieci. Sami musimy umieć zwolnić, bo ten bieg to droga donikąd. A skoro my pędzimy, a dzieci uczą się przez przykład, to i one będą pędziły. Może to jest nawet temat do szerszej debaty publicznej. 30 lat demokracji za nami, trzeba było nadrobić pewne zapóźnienia, ale może już dosyć. Za chwilę będzie rekrutacja do szkół średnich, dzieci nerwowo

REKLAMA



65/0120/F

eprasa.pl 4380405d25

myślą o punktach, o średnich, o wymarzonych szkołach, czyli to system wymusza na nich pewne zachowania – podsumowuje Agnieszka Jackowska.

Na rekrutację do szkół średnich zwraca uwagę także dr Lenkiewicz. – Egzaminy do szkół średnich zawsze wzbudzały emocje, konkurencja do dobrych szkół zawsze była ostra, kiedyś były egzaminy wstępne, coś się jednak w podejściu rodziców zmieniło. Kiedyś mówili: „Dostaniesz się, to dobrze, nie dostaniesz się, to trudno". Teraz rodzice coraz częściej mówią: „Musisz się dostać, bo od dobrej szkoły zależy całe twoje życie" – zauważa.

– Pod presją żyją dzieci, ale pod presją żyją także rodzice. Czasem dorosłym łatwiej wytworzyć mechanizmy obronne – choć nie zawsze i nie wszystkim. Dzieciom jest znacznie trudniej. Dorośli żyją pod presją idealnego świata kreowanego przez media społecznościowe, seriale, chcą więc być idealni, mieć idealne dzieci, idealny dom i idealnego psa. W pogoni za tym zapominają o wartościach, które trzeba pielęgnować i na które musi być czas. Mam na myśli przyjaźń, miłość, więzi rodzinne – zauważa polonistka Agnieszka Olszacka. – Ostatnio zapanowała taka moda, by na różne grupy na portalach społecznościowych wrzucać zdjęcia świadectw, dyplomów, osiągnięć, a nawet zdjęcia strojów studniówkowych dzieci. Wszystko po to, żeby się pochwalić, pokazać, że jesteśmy najlepsi i mamy najlepsze dziecko. Nie róbmy tego, to droga donikąd – mówi nauczycielka.

> Pracuję w szkole i coraz częściej widzę zjawisko wypalenia wśród dzieci. Może to brzmieć dość abstrakcyjnie, bo kto by pomyślał, że np. 12-latek może się wypalić – mówi nauczycielka Agnieszka Olszacka

ZAPAŚĆ SPECJALISTYCZNEJ OPIEKI

Na opisaną wyżej sytuację społeczną nakłada się gigantyczny kryzys polskiej psychiatrii dziecięcej. Dane dotyczące szpitali są alarmujące. „W kolejce do przyjęcia na oddział całodobowy między marcem a kwietniem 2019 r. czekały w sumie 634 osoby. Kiedy na izbę przyjęć oddziału psychiatrycznego zgłasza się dziecko, którego stan nie zagraża życiu, może liczyć na przyjęcie na oddział jedynie w 6 szpitalach na 30 (w 2018 r. w 5). W pozostałych przypadkach będzie czekało od 7 do 720 dni. Mediana to 36 dni, a rekord (720 dni) należy do Szpitala Klinicznego im. Karola Jonschera UM im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu" – czytamy w raporcie Watchdoga na temat polskiej psychiatrii dzieci i młodzieży.

– Potwornym problemem są kolejki do psychiatrów, psychologów, długi czas reakcji sądów rodzinnych, które szybko działają tylko w dramatycznej sytuacji, natomiast standardowy tryb postępowania trwa miesiącami. Brakuje sieci wsparcia, która mogłaby zadziałać natychmiast, gdy coś się dzieje – tłumaczyła mi prof. Barbara Remberk, konsultant krajowy w dziedzinie psychiatrii dzieci i młodzieży, podczas przygotowania jednego z poprzednich tekstów do tygodnika „Sieci".

Temu, że psychiatria dziecięca jest w kryzysie, nie zaprzecza także minister zdrowia Łukasz Szumowski. Przed sejmową komisją zdrowia minister podkreślał, że obszarem, który jest i był zaniedbany, jest właśnie psychiatria dorosłych i dziecięca. Dlatego w Ministerstwie Zdrowia pojawił się plan uruchomienia 300 poradni, gdzie na pierwszym poziomie będą terapeuci i psychologowie, a dopiero na drugim i trzecim poziomie psychiatrzy. „Chcemy, aby to jak najszybciej ruszyło. Finansowanie ryczałtowe na poradnie to 500 tys. zł – mówił niedawno szef resortu zdrowia. – Chcemy zmienić model opieki psychiatrycznej dziecięcej. W tej chwili większość porad u osób z problemami zdrowia psychicznego to są porady psychiatryczne, a te powinny być na końcowym etapie jako medykalizacja, a wcześniej potrzebujemy terapeutów, psychologów, psychologów środowiskowych".

I to bardzo trafna diagnoza. Planowo w owych poradniach psychologicznych ma być czterech specjalistów zatrudnionych na etacie: psycholog, dwóch psychoterapeutów i terapeuta środowiskowy. W rozporządzeniu dotyczącym świadczeń z zakresu psychiatrii zapisano obowiązek podpisywania przez pacjentów sesji psychoterapii. W tym samym dokumencie założono także, że czteroosobowy zespół będzie świadczył 412 usług. Oba zapisy spotkały się z protestami środowisk zaangażowanych w opiekę nad pacjentami z zaburzeniami psychicznymi. O ile prezes Narodowego Funduszu Zdrowia Adam Niedzielski poinformował o wycofaniu się z obowiązku podpisywania przez pacjentów sesji psychoterapii, o tyle drugi kontrowersyjny zapis pozostał.

– Z doświadczenia Środowiskowego Centrum Zdrowia Psychicznego dla Dzieci i Młodzież wynika, że 412 usług miesięcznie uniemożliwia prowadzenie terapii środowiskowej – tłumaczy dr Kamila Lenkiewicz. – 412 usług oznacza wyłącznie pracę gabinetową. Nasza propozycja jest taka, by było to 300 usług miesięcznie. To pozwala wyjść do szkoły, spotkać się z ośrodkiem pomocy społecznej, zorganizować sesję koordynacji tych instytucji, czyli mieć czas, by pracować nie tylko z pacjentem, ale także na rzecz pacjenta – dodaje dr Lenkiewicz.

Skoro więc prezes NFZ wycofał się z fatalnego pomysłu obowiązku podpisywania przez pacjentów sesji psychoterapii, może warto byłoby pochylić się raz jeszcze nad problemem usług. To pomogłoby zwiększyć skuteczność terapii i skrócić jej czas, bo tak dzieje się, gdy za pracę na rzecz dziecka bierze się całe jego otoczenie. Wówczas także, jeżeli nadejdzie kolejny kryzys, otoczenie dziecka będzie umiało zareagować odpowiednio wcześnie i może nie dopuścić do rozwinięcia tego kryzysu. To zaś może być remedium na problemy kadrowe w psychiatrii dziecięcej. A te są gigantyczne, w Polsce jest bowiem raptem 420–430 psychiatrów dziecięcych (różne źródła podają różne dane). My już naprawdę nie mamy w tej dziedzinie chwili do stracenia.

eprasa.pl 4380405d25



Dokładnie w walentynki trafi do kin „Zenek". Czy będzie apoteozą kiczu, co sugerują w sieci przeciwnicy disco polo? Czy – jak zapowiada reżyser Jan Hryniak – film poniesie także fanów innych muzycznych nurtów, rodzących się w Polsce lat 80. i 90. ubiegłego wieku

Chwile jak motyle

Fot. Łepecki Michał/AKPA

eprasa.pl 4380405d25

*Z reżyserem **Janem Hryniakiem** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Nie miał pan oporów, by wejść w świat disco polo i nakręcić film o jego królu?

Jan Hryniak: Wiele osób mi to odradzało, ale nikt mnie nie zmuszał. Podjąłem decyzję po zastanowieniu się, czy mam coś do opowiedzenia. Uznałem, że to intrygujące z wielu powodów. Chociażby z takiego, że ten ruch i ta muzyka spotyka się z takim ostracyzmem, że nie ma tu miejsca na żadną dyskusję.

Za to pojawiają się zarzuty, że za publiczne pieniądze nakręciliście pomnik?

To nieuprawniona ocena, skoro nikt filmu jeszcze nie widział. Spotykamy się w studiu, gdzie finalizujemy pracę. Na opinie przyjdzie czas po premierze.

Porozmawiajmy więc o disco polo, które jest z gruntu łatwe i dla wielu przyjemne, choć budzi takie emocje. Jaki to temat dla filmowca?

Trudny. Dlatego że podszedłem do niego w sposób poważny, a jednocześnie ten film ma nieść widzom rozrywkę.

I jak się w tym nurcie odnalazł twórca takich filmów jak „Przystań", „Trzeci", „Trick" czy serialu „Czas honoru. Powstanie"?

Pokazuję na ekranie dojście do disco polo, a nie sam nurt, który jest powszechnie znany i jednocześnie tak zbywany. A już sam fakt, że miliony ludzi słucha tej muzyki, jest powodem, żeby się nią zainteresować. Poza tym, gdy dowiedziałem się, że Zenek Martyniuk jest moim rówieśnikiem [urodził się 23 czerwca 1969; a reżyser 12 maja tego samego roku – przyp. red.], uznałem to za znaczący element. Wiedziałem, że to paralelny życiorys i że o tych czasach będę miał co opowiedzieć.

I o kimś, kto dziś porywa tłumy, śpiewając o zielonych oczach, przekornym losie, chwilach jak motyle, zapewniając: „Kochana, wierzę w miłość"? Bohaterze dostępnym w mediach dosłownie na wyciągnięcie dłoni?

To też było dla mnie w jakiś sposób intrygujące, bo wcześniej robiłem biografię artysty, który już nie żyje, choć wielu go pamięta, i opierałem się głównie na archiwach, wspomnieniach [chodzi o wciąż czekający na premierę film o Kantorze z Borysem Szycem w tytułowej roli – przyp. red.]. Nie chcę oczywiście porównywać tych dwóch postaci, ale dla mnie, jako reżysera, to było zupełnie inne doświadczenie.

Na jakich scenariuszowych warunkach?

Producent zgłosił się do mnie z materiałem powstałym na podstawie książkowej biografii Zenka Martyniuka. Nie znalazłem w tym materiale żadnych ekscytujących mnie elementów. Powiedziałem, że podejmę się zrobienia filmu, ale nie z tym scenariuszem. Ostatecznie jego autorką została debiutująca w tej roli Marta Hryniak.

Prywatnie pana żona, ale też córka Krzysztofa Kieślowskiego?

Tak. Na pewnym etapie konsultantem była również Ilona Łepkowska.

A jaki wpływ miał na tekst sam Martyniuk?

Tu od razu umówiliśmy się, że scenariusz jest oparty na motywach, sięga po wybrane biograficzne wątki, by opowiedzieć szerszą historię; nie ma kolejnych odsłon prawdziwego życiorysu, choć elementy biografii oczywiście się pojawiają, bo Zenek to postać barwna, reprezentant nurtu... Dlatego tytułowy bohater to symbol wszystkich muzyków disco polo.

Wspominaliśmy, że nieobcy był panu czas, w którym rozpoczynała się kariera Zenka, ale czy łatwo było warszawiakowi wejść w specyficzną atmosferę Podlasia i muzykę, które określiły bohatera?

Na potrzeby filmu poznawałem ten region (w którym bywałem na wakacjach; kręciłem też część zdjęć do „Kantora") od trochę innej strony. Bardziej wewnętrznej, ludzkiej; również złożoności tamtejszego społeczeństwa, bo to obszar przygraniczny, więc mieszają się tam i przenikają różne wpływy. Chciałem to również pokazać. Współistniejące obok siebie: cerkiew, kościół, a czasem też synagogę. Poza tym sam Zenek często podkreśla swoje związki z polskimi Romami, którzy zajmowali się spływem po Bugu, wędrowali z taborami, przywozili swoje melodie. Jest w tym rejonie duża różnorodność kulturowa.

I na niej wyrosło w latach 80. ubiegłego wieku disco polo?

Nie bez znaczenia była ówczesna sytuacja – i ekonomiczna, i polityczna – wynikająca ze stanu wojennego, z braku dostępu do zachodnich mediów, z muzyką przemycaną zza żelaznej kurtyny, z ograniczonym dostępem do list przebojów lansujących nowe trendy (częściej anteny przekazywały muzykę bezpieczną). Nie było awangardy, punka, ostrego rocka. Ja tego też, jak Zenek, doświadczałem. Pierwsze winylowe płyty kupowałem na warszawskim stadionie Skry, a on na bazarze w Czeremsze, więc jest tutaj jakaś analogia. Myślę, że lata 80. i 90. rzutowały na każdego, kto się urodził w Polsce w tamtym okresie, a czy bardziej na Podlasie...?

Nie bez powodu jednak to właśnie w tym rejonie disco polo tak rozkwitło.

Wynikło z potrzeby. W ponurej rzeczywistości ludzie nie mieli co robić. Nawet teraz, jak się jedzie przez małe miasteczka, o wsiach nie wspominając, to o 19 jest wszędzie ciemno. Pojawienie się disco polo sprawiło, że było dokąd wyjść, pobawić się. Powstał jakiś ferment. Czy to był ferment artystyczny, nie mnie oceniać, natomiast był to ruch w muzyce, który ma swoją nazwę i łatwo go określić. Na prowincji był, i nadal jest, formą dominującą. Rozgłośnie radiowe tamtego rejonu nadają disco polo. Jest wrośnięte w tamten region, ludzie są z niego dumni i do niego przywiązani.

Pięć lat temu Maciej Bochniak nakręcił film – jak się później okazało

eprasa.pl 4380405d25

– z oscarową obsadą: m.in. Tomaszem Kotem, Joanną Kulig i Bartoszem Bielenią. Nazwał go „Disco polo”...

Mój film nazywa się „Zenek” i za tym tytułem stoi istniejący, namacalny bohater. Mówię na ekranie o faktach, a nie kreowanej rzeczywistości, przenośni czy pastiszu.

Rozumiem jednak, że pan też, jak Bochniak, próbuje się odnieść do fenomenu, jakim jest disco polo?

Tak, ale nie było sensu powtarzać tego, co już kolega zrobił. Podszedłem do tematu po swojemu. Jest prawdziwy bohater, są relacje i, mam nadzieję, budowana wiarygodnie psychologia postaci. To film serio traktujący sprawę.

Kto zagrał tytułową postać?

Dwóch aktorów: Jakub Zając, dla którego to pierwsza duża rola, oraz Krzysztof Czeczot, którego nie trzeba chyba przedstawiać.

Opowiada pan historię rozpisaną na lata, kiedy ewoluowało także disco polo. Jak pan widzi ten nurt dziś?

Muszę jeszcze raz podkreślić: nie mówię w filmie o fenomenie disco polo. Tytuł „Zenek” podkreśla, że trzymamy się bohatera, skupiamy na jego psychologii, rozwoju postaci. Disco polo jest środowiskiem, w którym mój bohater funkcjonuje, zmienia się razem z nim, z jego perypetiami. Nie przeprowadzam analizy całego ruchu muzycznego, tylko pokazuję, jakie są meandry takiego życia, jakie pułapki czyhają nie tylko na muzyków disco polo, lecz – szerzej – ludzi uprawiających rozrywkę, sztukę, będących ciągle w trasie, występujących czasem kilka razy dziennie, otoczonych fanami. Ci, którzy nazywają Zenka królem, potrafią zapełnić największe stadiony w tym kraju. Wobec czegoś takiego trudno pozostać obojętnym.

Skąd bierze się taka skala popularności?

Jeśli chodzi o Zenka – i dlatego też o takim bohaterze chciałem nakręcić film – wynika z autentyczności.



Fot. Materiały prasowe

Zenka Martyniuka zagrało w filmie dwóch aktorów: Krzysztof Czeczot (na zdj.) oraz Jakub Zając

On nikogo nie udaje. Uważa, że to, co robi, ma sens. Daje radość. Ofiarowuje ludziom proste piosenki, łatwe do zanucenia i do zatańczenia. To jest jego celem, jego ideą. Można to akceptować lub nie, ale warto spróbować zrozumieć. I o tym trochę jest ten film. Sięga do początków disco polo, kiedy ten nurt się kształtował, kiedy budowano dyskoteki w polu, co 20 km, bo istniejące nie były w stanie pomieścić wszystkich chętnych.

Ta muzyka miała swoją niszę, swoich odbiorców, fanów, którzy funkcjonowali równolegle z innymi gatunkami. Wraz z pierwszymi festiwalami muzyki chodnikowej pojawili się jednak wykonawcy, nazywani nawet w tym środowisku „przebierańcami”: w cekinach, piórach, z baletami i chórkami, którzy najmocniej przyczynili się do negatywnego odbioru disco polo. Próbowali wejść do popowego mainstreamu, przerabiać utwory na techno czy muzykę klubową. I to spotkało się z odrzuceniem, bo to nie są przenikające się nurty. Próba łączenia się nie uda.

Czyli filmowy „Zenek” nie przekona nieprzekonanych ani nie będzie pomostem łączącym muzyczne upodobania?

Nie chodzi o to, by zmusić kogoś, kto bywa w filharmonii, do słuchania disco polo i odwrotnie. Chodzi o to, by nie odnosić się z pogardą do tego, co nas nie interesuje, co się nam nie podoba. Bo ta pogarda budzi nieuzasadnione kontrowersje. Jest nie fair. Nawet nie wobec mnie, bo jako reżyser wiedziałem, czego się podejmuję, ale chociażby wobec mojego bohatera. Uważam, że spotyka go niesprawiedliwość. On robi swoje, a to, w jaki sposób jest wykorzystywany... Na to często nie mamy wpływu.

„Od pucybuta do milionera” – taki scenariusz zrealizował w życiu Zenek Martyniuk?

Niektórzy mogą w nim zobaczyć Janka Muzykanta, chłopaka, który wychodzi z biednej podlaskiej wsi, bez prądu i kanalizacji, uczy się brzdąkać na gitarze, a potem odnosi taki sukces, albo Lucky Mana, który robi swoje, a reszta wokół niego po prostu się dzieje. I tylko trzeba uważać, by nie stracić nad tym kontroli.

Filmowy „Zenek” przyciągnie tłumy?

To film robiony dla widzów i liczymy na nich.

A kiedy możemy liczyć na premierę filmu „Kantor. Nigdy tu już nie powrócę”?

Wszystko w rękach widzów, jeśli „Zenek” odniesie frekwencyjny sukces, to może wreszcie znajdzie się miejsce i na Kantora. Niezmiennie jestem dobrej myśli.

eprasa.pl 4380405d25

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Boży urwis kontra komuna

Dawny tak zwany teatr faktu, działający w ramach Teatru Telewizji, kojarzył mi się z suchą, sloganową ilustracyjnością. „Negocjator", zrealizowany teoretycznie w tej konwencji, ustrzegł się tych wad. Wszystko tu zaskakuje.

Tekst napisał polityk Jan Parys wspólnie z Jackiem Sucheckim. Dlaczego on? Był mocno związany z głównym bohaterem ojcem Innocentym Marią Bocheńskim, dominikaninem. Przez jakiś czas mu sekretarzował, poślubił jego bratanicę. To czyniło go wtajemniczonym. Ale to nie gwarantowało automatycznie ciekawej opowieści. Ona jest ciekawa choćby dlatego, że obraca się wokół zdarzenia wielce sensacyjnego. W roku 1982 energiczny wciąż, choć 81-letni, zakonnik, emigrant odegrał rolę negocjatora między władzami szwajcarskimi a polską tajemniczą grupą antykomunistyczną, okupującą ambasadę PRL w Bernie.

Ale ten spektakl nie tylko epatuje kryminalnym suspensem. Pokazano nam w skrócie życie osoby nietuzinkowej, fascynującej. W kuluarach przedpremierowego pokazu na Woronicza usłyszałem wątpliwości, czy tekst nie jest przeładowany informacjami. Ale to się ogląda. Znaleziono formułę, aby pomieścić i wojenne losy duchownego, który nie wahał się sięgnąć po karabin pod Monte Cassino, i jego powojenne zmagania z komunizmem, i wysiłki, aby ze Szwajcarii godzić logikę z wiarą katolicką.

Dziesiątki postaci, krótkie sceny, a wszystko trzyma się kupy. Postaci są żywymi ludźmi, a nie przyczynkami do tej czy innej sytuacji. To też zasługa kogoś, kto to wszystko złożył: Jarosława Żamojdy. Świetny operator, a czasem reżyser (film „Młode wilki"), umie nas przekonać, że gonimy tajemnicę za tajemnicą. Łącznie z zagadkowym finałem. Los archiwum ojca Bocheńskiego unicestwionego po jego śmierci w roku 1995 jest zagadką do dziś. Nie dowiemy się też, czym się kierowali dziwni terroryści. Ich dowódca dzięki osobowości Wojciecha Solarza jest postacią sympatyczną. Kimś, kto próbuje coś odkupić. Ale pewności nie ma.

Widowisko jest nie tylko popisem sprawności w przeplataniu wątków, w zaciekawianiu. Sławomir Orzechowski zagrał wspaniale ojca Bocheńskiego. Aktor przyzwyczaił nas do ról ludzi gruboskórnych, ekspansywnych. Tu twarda i ekscentryczna powłoka pokrywa wspaniały umysł i serce. Sam Orzechowski, wyraźnie zafascynowany swoim bohaterem, nazywa go „bożym urwisem". To ktoś, kto chował w walizce do śmierci mundur oficera Andersa, a pilotem został w wieku lat 70. Ale też ktoś, kogo batalia na rzecz pożenienia nauki z religią jest równie godna podziwu, jak jego odwaga.

A poza tym wiele dobrych ról. Chowający tajemnicę swego bohatera Solarz, nieobliczalny terrorysta Gąsior, grany przez mającego wyraźnie dobrą passę Karola Pochecia, Mateusz Kmiecik jako kolejny zamachowiec. Galeria nieprzerysowanych postaci „reżymowych": Łukasz Matecki jako szef wywiadu PRL, Redbad Klynstra – rzecznik (Urban), Sławomir Grzymkowski – minister (Kiszczak). Uderzające są epizody, z Pawłem Paprockim jako poruszającym generałem Andersem na czele. W scenach końcowych sugestywni: Piotr Polk jako zakonny przyjaciel ojca Innocentego i Robert Czebotar jako Doktor. Brak tylko większych ról kobiecych. Nie było ich w tym świecie.



Warto się przekonać w ten poniedziałek, jak ciekawie Teatr Telewizji grzebie w polskiej historii. I jak staje się przestrzenią dla wypowiedzi spoza sfery politycznej poprawności. Łamie ją i sam wybór bohatera, i jego monolog zwrócony przeciw pacyfistom. Trzeba poznać, koniecznie.

Piotr Zaremba

Urok romantycznej pieśni

Piotr Beczała z zamiłowaniem sięga po twórczość Stanisława Moniuszki. Po grudniowej wiedeńskiej premierze „Halki" właśnie śpiewa Jontka w warszawskim Teatrze Wielkim. Jednocześnie można delektować się albumem, na którym artysta wykonuje pieśni zarówno Moniuszki, jak i Mieczysława Karłowicza.



Adam *Ciesielski*

W tym repertuarze arcymistrzem był często wspominany przeze mnie Andrzej Hiolski, baryton o zupełnie wyjątkowym brzmieniu, uwielbiany w kraju, ale nader rzadko występujący za granicą, więc mało tam znany. Teraz walory melodyjnych pieśni klasyków romantyzmu i ery Młodej Polski stara się odczytać najbardziej rozchwytywany dziś tenor operowy świata – Piotr Beczała. Wcale nie łatwo frapująco pokazać współczesnemu odbiorcy odcienie 21 nostalgicznych miniatur wokalnych Karłowicza. Jednak takie ujęcia jak „Pamiętam ciche, jasne, złote dnie" oraz „Mów do mnie jeszcze" (do mniej znanej z dwóch wersji wiersza Kazimierza Przerwy-Tetmajera) czy „Z nową wiosną" do strof Czesława Jankowskiego to prawdziwe perełki interpretacyjne liryki kompozytora, który w 1909 r. zginął pod tatrzańską lawiną w wieku zaledwie 32 lat.

W zestawieniu z Karłowiczem Moniuszko jest reprezentowany skromniej, ale w prawdziwie przebojowym wyborze. Zamykające płytę jego pięć zróżnicowanych nastrojem i tempem utworów, z takimi atutami jak „Prząśniczka", „Krakowiaczek" czy „Znasz-li ten kraj", dają pretekst do błyskotliwego popisu możliwości Beczał: śpiewaka u szczytu sławy, podziwianego pod każdą szerokością geograficzną, uparcie realizującego ambicję przybliżania atrakcji muzyki polskiej nie tylko rodakom.

„Pieśni" Mieczysława Karłowicza i Stanisława Moniuszki
wyk. Piotr Beczała (tenor), Helmut Deutsch (fortepian)
wyd. Narodowy Instytut Fryderyka Chopina



REKLAMA



eprasa.pl 4380405d25



Wojciech Stanisławski

Nawigator po Morzu Ciemności

Antoni Kępiński zyskał status postaci na poły legendarnej. Ta biografia pozwala poznać jego dramatyczne losy podczas wojny i codzienność w krakowskim szpitalu

Dawno, dawno temu – zanim powstała fundacja eFkropka i hostel U Pana Cogito, zanim narodził się cały ruch „przywracania życiu" osób po kryzysie zdrowia psychicznego, wspierany przez rzeczników praw pacjenta, wolontariuszy i świadków opowiadających o doświadczeniu choroby i ozdrowienia – były tylko pasy, ciepłe i zimne prysznice oraz elektrowstrząsy. W najlepszym razie fenactil, zsyłający czasem na całe lata apatię, suchość w ustach i senność. Może nawet nie tak dawno, skoro to tylko pół wieku temu, a są miejsca, w których wydaje się, jakby tak było do dzisiaj?

W tamtych czasach, dawno temu, pojawił się lekarz, który zdjął pasy, otworzył sale, zwolnił osiłków i zaczął słuchać. Najpierw wychował krąg uczniów „z tylnego siedzenia", nie obejmując żadnych funkcji kierowniczych, po prostu ściągając ludzi na praktyki i seminaria. A potem, walcząc przez dwa lata ze śmiertelną chorobą, zgięty w pół, przykuty do dializatora, stukając dwoma palcami w ustawioną na rozchybotanym stoliku maszynę – napisał pół tuzina książek, po które (było to, jak już powiedzieliśmy, dawno temu) ustawiały się kolejki większe niż po Stachurę, Miłosza czy „Potop", nawet edycję ze zdjęciami z filmu.

Antoni Kępiński zyskał status postaci na poły legendarnej. Żyjąc w czasach przedmarketingowych, nie doczekał co prawda losu Olivera Sacksa (neurologa, który nie tylko zasypywał półki księgarń bestsellerami, lecz doczekał, że w filmie zagrał go sam De Niro), ale okładki „Lęku" czy „Schizofrenii" gwarantowały kiedyś sukces i na deptaku i, co ważniejsze, na kampusie. Ciekawe swoją drogą, kto z polskich aktorów mógłby zagrać Kępińskiego – wysokiego, o chłopięcej sylwetce (choć z zakolami), w zawsze rozpiętym płaszczu lekarskim i w sandałach? Inny to byłby w każdym razie film niż „Przebudzenia", bez dramatycznych przełomów. Pokazywałby raczej, na tle komunistycznego, prowincjonalnego i pełnego pretensji Krakowa lat 60. Krąg badaczy i przyjaciół, w którym tłumaczy się Jaspersa i przeprowadza eksperymenty z kwasem lizergowym, krągu, na którego obrzeżach mieszczą się i Stanisław Lem, i bp Karol Wojtyła. Kępińskiego z tamtych czasów – postać legendarną, ale półtora pokolenia po śmierci trochę już opatrzoną, odrobinę zwietrzałą – trzeba było przypomnieć, i uczyniła to dziennikarka od lat pisząca o lekarzach.

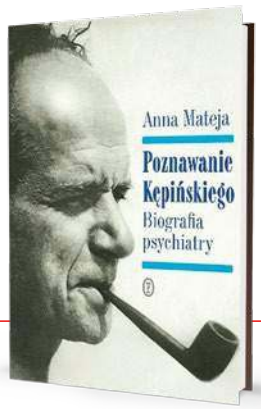
Powstała biografia na pewno rzetelna, niekoniecznie odbierająca dech. Sylwetka doktora Kępińskiego – Boya, Docenta, Szefa, by przywołać tylko trzy z przydomków, jakie nosił w klinice – została raczej wytrwale wzniesiona z cegiełek niż odkuta w jednym kawałku munduru. Cytat z listu. Cytat z czyichś wspomnień. Trochę „tła historycznego" dla tych, którzy nie wiedzą, że po 1 września przyszedł 17 (a oba odcisnęły się na losie 21-letniego ochotnika). Sporo domniemań i trybu przypuszczającego: „Zapewne był tam", „być może szedł tędy...". I znów fragment listu. Na 11 rozdziałów o samej praktyce klinicznej Kępińskiego o źródle całej tej wiedzy o ludzkich ciemnościach, którą dzielił się w książkach, traktują trzy.

Inna rzecz, że pewnie pozostałych osiem było potrzebne, by opowiedzieć nieznane meandry jego losu. Mieszczańskie, spokojne dzieciństwo i młodość Antosia można sobie wyobrazić bez trudu, również doświadczenia polskich żołnierzy internowanych w 1939 r. na Węgrzech są dość szeroko znane. Ale kto wie, że Kępiński przedarł się z Węgier do Francji, a po jej kapitulacji – do Hiszpanii, gdzie był internowany (wyrwany z życia, osadzony w baraku na spalonej ziemi) przez przeszło dwa lata? Że w szeregach wojska polskiego w Wielkiej Brytanii zdobywał szlify najpierw pilota, a potem lekarza? Że – to może najciekawsze ustalenie Matei – był przez całe życie głęboko pobożny? Że to on, jako pierwszy w Polsce, rozpoczął pracę z byłymi więźniami obozów koncentracyjnych, wyodrębniając i opisując „KZ-Syndrome"?

Pewnie potrzebowaliśmy takiego obrazu Kępińskiego mocno osadzonego w realiach: mieszkającego w półtora pokoju, spędzającego z żoną wakacje

eprasa.pl 4380405d25

w kaszubskiej wiosce, tarmoszącego psy za uszy. Ta biografia stawia nas na progu głębszego „poznania Kępińskiego", ukazując go w chwilach, gdy formułuje swoją koncepcję pacjenta psychiatrycznego: jako osoby, której choroba nie definiuje w całości, jako człowieka, który pozostaje, jak i przed epizodem szpitalnym, kimś podmiotowym i sprawczym. Pozostaje czekanie na książkę, która bardziej szczegółowo opisze dokonania tego lekarza jako nawigatora po najprawdziwszym Mare Tenebris, po ciemnościach ludzkiego umysłu.



Anna Mateja, „Poznawanie Kępińskiego. Biografia psychiatry", Wydawnictwo Literackie, 2019

Czy niebo może zblaknąć?

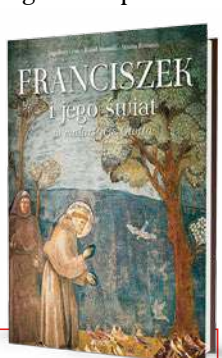
Ulubiony epitet ignorantów, czyli „średniowiecze" rozumiane pejoratywnie, przeżywa wprawdzie drugą młodość, ale albumy ze średniowieczną sztuką nadal dobrze się rozchodzą: w każdym domu stoi jakiś Duccio czy Fra Angelico, kurz i złote płatki osypują się z rzadko przerzucanych kredowych kart.

W wydanej właśnie książce mamy jednak do czynienia z czymś więcej: z przypomnieniem najbardziej niezwykłego zakonu, jaki powstał w średniowiecznej Europie, i napięć, jakich doświadczał. Początek drogi świętego, który jak żaden inny przemawia do wyobraźni również ludzi całkiem współczesnych i świeckich. Pobudzał również wyobraźnię malarzy: cudownie nieporadne freski Cimabuego, Franciszek spod pędzla Margaritone d'Arezza w krasnoludzim nieledwie kapturze, pojawiające się jako ilustracje w podręcznikach historii Kościoła, tu zestawione niczym w antologii pokazują, jak pędzel potyka się o świętość.

Do tego – opis franciszkańskich dylematów, trudności z wpisaniem żaru powołania w realia codzienności i w struktury Kościoła. Trudności ze zmieszaniem „ziarna absolutu z ziarnem gliny" stały się najpierw źródłem sporów w samym formułującym się dopiero zakonie i rozpaczy Franciszka, potem zaś – zaczynem wielu rozterek i niemałej liczby herezji. Jednocześnie zakon ten pozostawał uzdrowicielem i nadzieją osuwającego się w letniość i nepotyzm Kościoła.

To przywołanie początków misji św. Franciszka i dylematów nowej formacji, w tonie zarazem przychylnym i rzeczowym, wolnym od uników, jest jednym z atutów tej pracy. Drugim – socjologizujące spojrzenia na Giotta jako na malarza na swój czas nowoczesnego: projektanta wnętrz kościołów i fortyfikacji, mostów i dzwonnic, założyciela szkoły malarskiej i rzutkiego artysty, korzystającego z franciszkańskiego „networku", by pozyskiwać koleje zlecenia.

Potem zaś i tak pozostajemy sam na sam z jego obrazami przedstawiającymi wędrówkę świętego przez świat, z najbardziej znanym cyklem z bazyliki w Asyżu, malowidłami z dolnego kościoła, z Florencji z Padwy, ze scenami z po raz pierwszy może tak precyzyjnie obfotografowanych „żagielków" pod sklepieniem. Kartkujemy sceny tak ikoniczne jak „Sen Innocentego III", kolejne cuda i powołania – by w końcu zamilknąć pod niebem z wyblakłej ultramaryny.



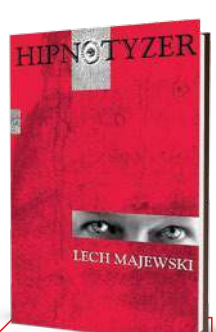
Engelbert Grau PFM, Raoul Manselli, Serena Romano, „Franciszek i jego świat w malarstwie Giotta", przeł. Krzysztof Stopa, Wydawnictwo Jedność, 2020

Najlepsze zwierciadła są na wyspie Murano

Dwie dekady temu wszyscy mówili „Eco, Eco", dziesięć lat temu, jako że świat schodzi na psy, czytali Dana Browna, a „Hipnotyzer" stał spokojnie na półkach, czekając na swój czas. Teraz ukazał się jako kolejny tom „Utworów zebranych" Lecha Majewskiego. Czy tym razem ktoś odkryje, jak doskonale można się bawić duchem starych traktatów numerologicznych, wolnomularskich arkanów, oświeconych encyklopedyj, nie zapominając, by sięgnąć po „Mundus subterraneus" oraz szkatułki Jana Potockiego? Z kabały, algebry, elementów, kilku szyfrów i mitografii, z ultramaryny, porcelany, złotych płatków, sowich piór, kielichów, kamieni i gliny, tworzącej dno weneckiej laguny Majewski stwarza kolejne ze swoich dzieł – tak lekko, jakby skręcał bicz z piasku, tak misternie, jakby wznosił wieżę niepoddającą się prawidłom grawitacji.

Oczywiście można uznać „Hipnotyzera" za literacki żart na jeden wieczór: nawiązania do brownopodobnej literatury sensacyjnej są zamierzone i oczywiste, dwa soczyste blurby na okładce („Opuszczona kamienica w Wenecji, mieście tajemnic. Jak dotrzeć do esencji wiedzy w świecie zgiełku i grantów") i książka szłaby jak woda w księgarskich sieciówkach.

Dobrą monetę można jednak odróżnić od złej, uderzając nią o kamień. „Kod da Vinci" potrafił nakręcić byle hollywoodzki rzemieślnik, dysponujący budżetem rzędu 125 mln dol. „Hipnotyzera" umiałby przenieść na ekran, bez szkody dla książki, jeden reżyser: Lech Majewski.



Lech Majewski, „Hipnotyzer", Rebis, 2019

eprasa.pl 4380405d25



Spowiedź skandalisty



Postawiłem nomen omen krzyżyk na Ablu Ferrarze po jego nieudanym „Pasolinim" z 2014 r. Czekałem na ten film. Któż inny mógł przeniknąć umysł marksisty, homoseksualisty i rewolucjonisty spod znaku Gramsciego, którego film o Jezusie poleca oficjalnie Watykan, jak nie outsider z Nowego Jorku. Autor prowokacyjnych, skandalicznych i teologicznie inspirujących filmów z lat 90. XX w. („Zły porucznik", „Uzależnienie") zaskakująco naskórkowo dotknął ostatnich dni bestialsko zamordowanego Piera Paola Pasoliniego. Napisałem wtedy, że Ferrara przestał być ciekawy po rezygnacji z mocowania się z Kościołem katolickim i przejściu na buddyzm.

Ferrara stracił pazur nawet w dalekich od metafizyki filmach, jak w „Witamy w Nowym Jorku" inspirowanym seks-skandalem Dominique'a Straussa-Kahna. „Tommaso" dowodzi jednak, że Ferrara ma jeszcze coś ciekawego do powiedzenia. Tym razem kieruje kamerę na siebie. Przez lata zmagający się z uzależnieniami od kokainy, heroiny oraz alkoholu Ferrara od lat mieszka w Rzymie. Tam też osadza opowieść o życiu reżysera Tommaso (Willem Dafoe). Ferrara na tyle mocno obnaża się w filmie, że w roli partnerki filmowca obsadził swoją towarzyszkę życia Cristinę Chiriac. Ich córeczkę gra natomiast Anna Ferrara.

Tommaso spędza dnie na prowadzeniu zajęć z adeptami aktorstwa, pisaniu scenariusza, gotowaniu, zabawie z ukochaną córeczką i mitingach AA. Nie jest to zwykły obraz starzejącego się artysty, mającego u boku piękną i ponad 20 lat młodszą żonę. Ferrara obnaża przed nami swoją duszę. Spowiada się z grzesznej przeszłości, pokazuje swój głęboki strach o zdrowie ukochanej rodziny. Mówi o zazdrości, zdradzie i demonach, jakie go nawiedzają w sennych koszmarach. Ferrara znów otwarcie mówi o swojej duchowości. Tommaso medytuje i uprawia jogę. Ale jednocześnie buzuje w nim chrześcijaństwo.

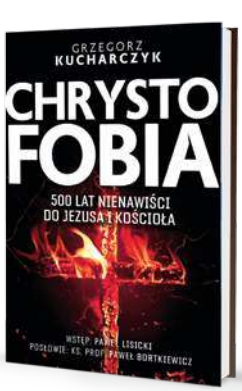
Ferrara przekonuje w wywiadach, że zostały w nim tylko symbole katolickie, bo wychował się we włoskiej rodzinie. Ten film pokazuje, że za tymi symbolami kryje się coś więcej. Dafoe nawiązuje do roli Jezusa w prowokacyjnym „Ostatnim kuszeniu Chrystusa". Tommaso wyjmuje serce, mówiąc: „To wszystko, co mam". Taką scenę nakręcił Scorsese. Ferrara kładzie natomiast na tacy serce artysty. Ale jest też ukrzyżowanie. Dosłowne. Dafoe wisi na krzyżu jak w niesłusznie wyklętym przez katolików inspirującym apokryfie Scorsesego. Ukrzyżowanie odbywa się dworcu w rzymskim Termini. Z tego dworca 2 listopada 1975 r. zabrał na plażę w Ostii swojego mordercę Pasolini, w którego wcielił się przecież Dafoe.

„Tomasso" jest szczerą i przejmującą filmową spowiedzią wrażliwego artysty, przebranego w kostium twardziela z nowojorskiej Małej Italii. To znamienne, że najbardziej osobisty film Ferrara nakręcił w stolicy Italii. Kraju, którego bez krzyża nie sposób zrozumieć.

„TOMASSO", REŻ. ABEL FERRARA, DYSTR. NOWE HORYZONTY

Książka

Nie zapominajmy o męczennikach



To jedna z książek, którą każdy katolik co jakiś czas powinien przynajmniej przejrzeć, by przypomnieć sobie, że katolicy zawsze byli znakiem sprzeciwu wobec niebezpiecznych nowinek „postępowego" świata. Dr Grzegorz Kucharczyk przypomina w lapidarny sposób o 500-letniej chrystofobii, która od reformacji aż po komunizm oraz islamski radykalizm stała za krwią męczenników, ale też „zwykłych" katolików. Dla historyków opisane wydarzenia nie są niczym nowym, ale dla tych, którzy dają się zaczadzić poprawnością polityczną, nakazującą widzieć tylko grzechy Kościoła, powinna to być ważna pozycja. Kucharczyk pokazuje ideowe związki między rewolucyjnym szaleństwem autorów hasła o wolności, równości i braterstwie z nazizmem i komunizmem. Przypomina też, że nie byłoby zerwania z cywilizacją chrześcijańską, gdyby nie rewolucja reformacji w Anglii. Stawia też ciekawe pytanie o związki lewicowego liberalizmu z rewolucyjnym szałem jakobinów. Autor przypomina też o bojach katolików z prześladowcami w Meksyku czy Italii, o których dziś tak często zapominamy.

„CHRYSTOFOBIA", DR GRZEGORZ KUCHARCZYK, WYD. FRONDA

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 4380405d25

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Hipnotyzujący upadek

Braci Safdie'ów uznałem za szalenie ciekawych twórców po ich zjawiskowym kryminale „Good Time" (dostępny na Netflixie). Po zrobionych dla Netflixa „Nieoszlifowanych diamentach" nie boję się ich nazwać objawieniem kina. Są odważni, wizjonerscy i budują niejednoznaczne, rozdarte i bardzo ludzkie postacie łajdaków. Na dodatek nie boją się obsadzać w głównych rolach zaszufladkowanych aktorów, którzy tworzą u nich niespodziewane kreacje. Tak było z Robertem Pattinsonem, tak jest teraz z Adamem Sandlerem.

Wielu kinomanów jest oburzonych, że Sandler nie dostał za rolę nominacji do Oscara. Cóż, Akademia przyzwyczaiła nas do zachowawczych kroków i docenienie wysiłków Sandlera, by wyrwać się z szuflady z napisem „głupie komedie", jest ponad jej wyobraźnię. A przecież Sandler nie pierwszy tworzy przejmującą dramatyczną rolę. „Zabić wspomnienia", „Lewy sercowy", „Spanglish", „Opowieści o rodzinie Meyerowitz" – lista dramatycznych ról Sandlera nie jest króciutka. W „Nieoszlifowanych diamentach" jest lepszy niż kiedykolwiek wcześniej.

Ten film mógłby powstać w latach 70. XX w., gdy drapieżne kino autorskie o „zwykłych ludziach" (osadzone najczęściej w Nowym Jorku) zmiotło stare Hollywood. Sandler ma idealną twarz do takich ról. Gra tutaj łajdaka, a jednak nie jest trudno uwierzyć, że kiedyś ten okropny cwaniaczek mógł być równym gościem.



Jego Howard Ratner na przemian budzi odrazę, współczucie, zażenowanie i sympatię. Żydowski jubiler ze słynnej 47 ulicy (Diamentowy Dystrykt), łączącej Szóstą i Piątą Aleję, jest po uszy zadłużony. Ścigają go żydowscy gangsterzy, oszukują sportowi celebryci zaopatrujący się w jego sklepie w biżuterię. Żona z dziećmi w domu czekają na wiecznie nieobecnego ojca, kochanka mieszkająca w ich dawnym mieszkaniu jest traktowana równie podle. Do tego dochodzi uzależnienie od hazardu i wszechobecny chaos – oto życie nowojorskiego jubilera. Wszystko ma zmienić przesyłka, na którą Ratner od dawna czekał. Jest w niej bryła z drogocennym czarnym opalem wykopana przez czarnych Żydów z Etiopii. Sprzedaż kamieni na aukcji ma rozwiązać wszystkie problemy Howarda. Kłopot w tym, że jego uzależnienie od hazardu jest tak wielkie, że z bryłą pod pachą pakuje się w kolejne problemy.

Oglądając decyzje Howarda, miałem ochotę wyłączyć telewizor. Kolejne sceny mnie irytowały, oburzały i jednocześnie na tyle hipnotyzowały, że nie mogłem oderwać wzroku od staczającego się po równi pochyłej Howarda. Bracia Safdie'owie otwierają film wjazdem kamery w sam środek opalu. Cały film to taka właśnie jazda po na przemian błyszczącym i tonącym w mroku życiu loosera, wierzącego, że karta się odwróci. „Uncut Gems" jest popisem jednego aktora. Sandler musi oddać ciągłe napięcie świata, jaki widzimy na ekranie. Każda minuta w życiu Howarda jest nerwowa. Świat jubilera jest chaotyczny i pełen neuroz. To po prostu Nowy Jork, który pożera, wypluwa i niezmiennie hipnotyzuje. Uzależnia jak hazard. Zachęca do życia na krawędzi. Długo nie zapomnicie o tym przedziwnym filmie.

„NIEOSZLIFOWANE DIAMENTY"
DOSTĘPNY NA NETFLIXIE



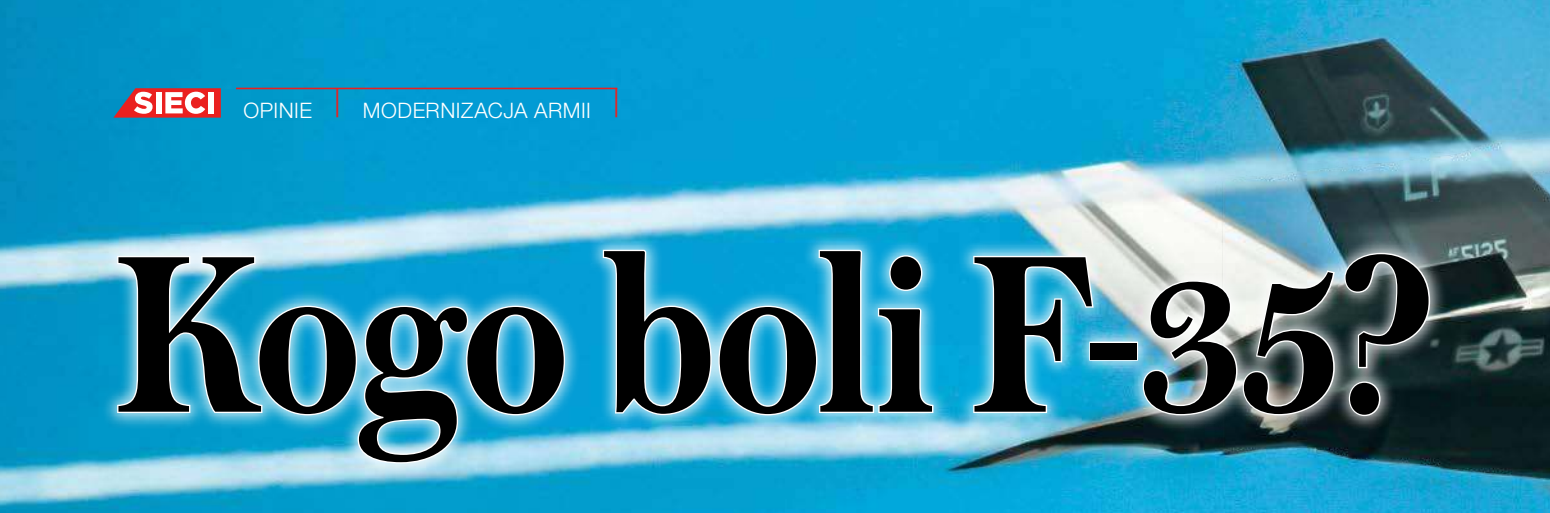
Niebezpieczny film

Porównajcie sobie rolę Sandlera i Joaquina Phoenixa z „Jokera", za którą zgarnął Oscara. Sandler spokojnie mógłby konkurować z faworytem, gdyby dano mu szansę. Nie jestem wielkim miłośnikiem tego nihilistycznego filmu, w którym archetypiczne zło kryjące się za makijażem Jokera zostało usprawiedliwione „złym systemem" w Gotham City. Niebezpieczne odwrócenie wektorów. Niektórzy skrajni lewicowcy klaskali (Michael Moore) na widok jokerowej rewolucji przeciwko kapitalizmowi. Uważam też, że Todd Phillips, ściągając komiksowość z opowieści o najważniejszym wrogu Batmana, nie jest aż tak oryginalny. Wymieszał z sobą elementy „Taksówkarza" oraz „Króla komedii" Scorsesego i pobawił się stylistycznie Nowym Jorkiem lat 80. Niemniej jednak ten film znać po prostu trzeba. To kawał mocnego kina, sprawdzającego się jako hołd złożony kinu lat 70. Warto obejrzeć m.in. dla starcia Phoenixa z De Niro.

„JOKER", REŻ. TODD PHILLIPS, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 4380405d25



Kogo boli F-35?

Dobrze byłoby, aby decyzje w sprawie wyboru uzbrojenia były wyjęte spod bieżącej przepychanki politycznej. Opozycja obudziła się ze swoimi zastrzeżeniami do zakupu F-35 dopiero dzisiaj. Biorąc pod uwagę gwałtownie rosnącą temperaturę przed wyborami prezydenckimi, trudno dostrzegać w tym wyłącznie troskę o bezpieczeństwo państwa i portfele podatników



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Na mocy umowy zawartej przez MON nasze lotnictwo otrzyma za 4,6 mld dol. dwie eskadry samolotów wielozadaniowych F-35 – łącznie 32 egzemplarze oraz towarzyszący im wstępny pakiet uzbrojenia i wyposażenia. Pierwsze maszyny mają być gotowe już w 2024 r. Podobnie jak w przypadku innych nabywców początkowo samoloty będą stacjonować w Stanach Zjednoczonych, gdzie zostanie na nich przeszkolona pierwsza grupa polskich pilotów. F-35 nie posiadają dwumiejscowej wersji treningowej, a szkolenie wymaga specjalistycznej infrastruktury. Dlatego dopiero po zakończeniu kursów – prawdopodobnie w 2026 r. – piloci będą mogli przelecieć na nowych samolotach do Polski. Jednak dzięki temu maszyny niemal od razu będą mogły osiągnąć pełną gotowość operacyjną. Początkowo będzie to jedna eskadra (16 samolotów), druga pojawi się nieco później, ok. 2030 r.

F-35 należą dziś do najnowocześniejszych maszyn na świecie. To myśliwce piątej generacji, które charakteryzują się wykorzystaniem technologii stealth (utrudniona wykrywalność przez radary), dużą manewrowością w powietrzu oraz – przede wszystkim – pełną zdolnością do działania na sieciocentrycznym polu walki. Oznacza to, że samoloty te są przystosowane do współpracy z innymi systemami uzbrojenia. Mogą podczas misji bojowej wykrywać cel i – w zależności od konkretnej sytuacji – przekazywać jego współrzędne bardziej efektywnym środkom niszczenia, np. artylerii rakietowej. Inaczej mówiąc, na sieciocentrycznym polu walki działania różnych rodzajów broni są zharmonizowane – akcję podejmuje ten, kto ma największą szansę zniszczyć cel, lub ten, kto dysponuje bardziej adekwatnymi środkami – nie ma bowiem sensu, aby np. myśliwiec używał wartej miliony dolarów rakiety do strącenia nieprzyjacielskiego drona, jeśli może to zrobić żołnierz z wyrzutnią na ramieniu. F-35 jest zatem nie tylko samolotem, ale też – mówiąc w przenośni – latającą bazą danych zbieranych podczas misji i wymienianych w czasie rzeczywistym dla zwiększenia siły bojowej własnych oddziałów.

Oczywiście kwota 4,6 mld dol. nie oznacza końca wydatków związanych z zakupem F-35. W perspektywie kolejnych lat do tej sumy należy jeszcze dołożyć zapewne niewiele mniejsze pieniądze na dodatkowe uzbrojenie, wyposażenie oraz przystosowanie infrastruktury naziemnej. Warto jednak zauważyć, że dzięki „rozkręceniu" zamówień eksportowych cena jednego samolotu F-35 w ostatnich latach stopniowo spadała, osiągając dziś ok. 80 mln dol. A to już porównywalny wydatek z zakupem maszyny wcześniejszej generacji, takiej jak choćby najnowsze wersje dwusilnikowego samolotu F-15, który zresztą również był oferowany Polsce, tyle że przez Boeinga. W ten sposób – jak wskazuje MON – w pewnym sensie zaoszczędziliśmy ok. 2 mld dol.

NACIĄGANE WĄTPLIWOŚCI

Zawarcie umowy na kupno F-35 wywołało ożywienie w szeregach opozycji. Jednak choć o planach tej transakcji wiadomo było od połowy zeszłego roku, nagle zaczęto kwestionować zarówno jej warunki, jak i zasadność całego zakupu.

Wiceprzewodniczący sejmowej komisji obrony Czesław Mroczek, poseł PO, a za czasów rządu Donalda Tuska wiceszef MON, zapowiedział złożenie wniosku w tej sprawie do Najwyższej Izby Kontroli. „Chcemy poznać, jakie były przesłanki tej decyzji i czy

eprasa.pl 4380405d25



z formalnego punktu widzenia przeprowadzono wszystkie niezbędne procedury poprzedzające zakup. Mam wątpliwości, czy przeprowadzona została faza analityczno-koncepcyjna, analiza rynku, sprawdzenie, jaka jest dostępność potrzebnych nam samolotów i jak doszło do wyboru samolotu, który Polska zakupi" – wyjaśnił Mroczek.

Mroczkowi sekundował kandydujący na prezydenta Szymon Hołownia. Zakwestionował on wartość transakcji. „Za sztukę płacimy ponad 550 mln zł. I to bez offsetu, bez infrastruktury. W jednej z ostatnich dużych transakcji (między koncernem Lockheed Martin a duńskim rządem) cena za sztukę, po negocjacjach, wyniosła ok. 345 mln zł" – napisał na Twitterze Hołownia.

W dyskusji nad wydaniem kilku miliardów dolarów na zakup uzbrojenia nie byłoby oczywiście niczego nadzwyczajnego ani niewłaściwego, gdyby nie to, że dziś – w warunkach ostrej wojny politycznej – opozycja przyzwyczaiła nas już do tego, że do jej zarzutów należy podchodzić z dużą ostrożnością.

Hołownia zżyma się na zbyt wysoką – jego zdaniem – cenę samolotu, porównując ją do sumy, którą zapłacili Duńczycy. Pomija jednak bardzo istotną rzecz, że Dania, w przeciwieństwie do Polski, przystąpiła w 2002 r. do projektu budowy samolotu F-35. W zamian za udział w finansowaniu przedsięwzięcia Dania – podobnie jak kilka innych państw (m.in. Wielka Brytania, Holandia, Włochy, Australia czy Norwegia) – otrzymała dostęp do nowoczesnych technologii oraz pierwszeństwo zakupu samolotu za cenę pomniejszoną o kwotę udziału w projekcie. Dlatego Polska, która mimo amerykańskich zaproszeń, nie weszła do programu, nie może dziś liczyć na takie upusty jak Dania. Z tego samego powodu Polska nie może też skorzystać z transferu technologii, ponieważ produkcja i serwisowanie F-35 zostały już podzielone pomiędzy uczestników programu. O żadnym offsecie związanym z samolotem ani o przeniesieniu produkcji nie może być już więc mowy. Rząd chce naprawić błędy poprzedników w inny sposób: przystępując do amerykańskiego programu „lojalnego skrzydłowego", czyli budowy zaawansowanych dronów bojowych, które w przyszłości będą towarzyszyć samolotom F-35, wielokrotnie zwiększając ich możliwości bojowe.

> Zarzuty opozycji brzmią jak echo krytycznych uwag wypowiadanych o F-35 w środowisku byłych dowódców wojskowych zwolnionych ze stanowisk po zwycięstwie PiS

Oczywiście dziś można sobie teoretycznie wyobrazić offset innych technologii niezwiązanych z produkcją F-35, trzeba tylko pamiętać, że taka umowa bardzo podnosi cenę kontraktu (nawet o miliard dolarów w przypadku umowy na dostawę F-35 dla Polski) i niekoniecznie musi przynosić zysk gospodarce, zwłaszcza w przypadku pilnego zakupu, gdy nie ma już czasu na długie negocjacje. A jeśli Polska chce utrzymać zdolności obronne swojego lotnictwa, to powinna otrzymać nowe maszyny bojowe niemal natychmiast. Możliwości myśliwców poradzieckich takich jak MiG-29 są już bowiem na wyczerpaniu, czego dowiodła seria katastrof w ciągu trzech ostatnich lat. Dziwne, że Hołownia, którego żona jest pilotką myśliwca, o tym nie wie. A może raczej dobrze o tym wie, ale wymogi walki politycznej każą mu szukać mocno naciąganych wątpliwości.

ZEMSTA ZA CARACALE

Nieco inny charakter mają zarzuty Mroczka. Poseł nie kwestionuje – jak się zdaje – samej decyzji o zakupie, ale odwołuje się do nieprzejrzystej, jego zdaniem, decyzji o wyborze konkretnego typu samolotu. Zarzut ten brzmi jak echo krytycznych uwag wypowiadanych o F-35 w środowisku byłych dowódców wojskowych odsuniętych od swoich stanowisk po objęciu władzy przez PiS. Jednym z nich jest gen. Adam Duda, były szef Inspektoratu ds. Uzbrojenia MON, który za rządów koalicji PO-PSL odpowiadał m.in. za nieszczęsny i ostatecznie unieważniony zakup francuskich caracali. Gen. Duda w wywiadzie dla portalu Gazetaprawna.pl twierdzi, że kupując nowe samoloty, nie wyczerpaliśmy pełnej procedury towarzyszącej tak wielkiemu kontraktowi. „Nie wiemy, na podstawie jakich przesłanek i jakiego kryterium dokonano wyboru samolotów wartych miliardy złotych" – mówi gen. Duda. Sam jednak zarazem przyznaje, że dotychczasowe analizy dotyczące kupna nowego samolotu prowadzone były bez żadnych widocznych rezultatów już od wielu lat, również w czasach, gdy on sam odpowiadał za zakupy uzbrojenia z ramienia MON.

Dopiero pod koniec 2018 r. wszystko przyspieszyło i MON wysłał zapytania do różnych producentów w sprawie dostaw samolotów wielozadaniowych dla polskiego lotnictwa. Odpowiedzi przysłały Boeing – producent samolotów F-15 oraz F/A-18, szwedzki SAAB z kolejną wersją gripena, włoskie Leonardo oferujące europejskiego typhoona oraz Lockheed Martin proponujący – do wyboru najnowszego F-35 lub nową

Fot. Dave Goodman / Shutterstock

eprasa.pl 4380405d25



odmianę znanego nam F-16. Eksperci typowali wtedy zakup kolejnych samolotów F-16. Na ich korzyść przemawiały: niższy koszt zakupu, doświadczenie w eksploatacji tej maszyny w polskim lotnictwie, posiadana przez nas infrastruktura oraz piloci przeszkoleni na ten typ.

Wydawało się więc początkowo, że będziemy odkurzać plan z 2003 r., gdy Polska podpisała umowę na zakup samolotów wielozadaniowych F-16. Była to jednak kropla w morzu potrzeb. Pierwotnie zakładano kupno 72 egzemplarzy F-16, potem zmniejszono tę liczbę do 60 szt., ostatecznie stanęło na 48 maszynach, które zaczęły przylatywać do Polski w 2006 r. Uniemożliwiło to wtedy pełne przezbrojenie naszego lotnictwa na nowoczesne maszyny produkcji zachodniej, kompatybilne ze standardami natowskimi. Kupno kolejnych F-16 odłożono. Przyczyną zmniejszenia zamówienia były oczywiście pieniądze. Wyglądało na to, że dopiero teraz – po kilkunastu latach przerwy – powrócimy do kolejnych dostaw F-16.

Jednak na początku marca 2019 r., po kolejnej katastrofie myśliwca MiG-29, wszystko się zmieniło. Najpierw minister obrony, a potem również prezydent Andrzej Duda, ujawnili, że Polska prowadzi już rozmowy w sprawie dostaw F-35. „Chcemy zakupić 32 samoloty wielozadaniowe piątej generacji" – sprecyzował minister Błaszczak.

Wtedy stało się jasne, że przetargu na nowe samoloty nie będzie. Zresztą trudno byłoby sobie wyobrazić taki przetarg, bo oprócz F-35 nie ma dziś na rynku innych maszyn piątej generacji. Rosjanie i Chińczycy dopiero testują swoje maszyny tej klasy (pomijając już to, że mało prawdopodobne jest, aby Polska kupowała broń w tych państwach), a ich europejskie odpowiedniki, szykowane m.in. przez Airbusa oraz – niezależnie – przez brytyjski BAE, są jeszcze w fazie projektowania.

Wynika z tego, że wiele zarzutów stawianych przez opozycję w sprawie zakupu samolotów F-35 jest mocno chybionych i można je interpretować jako rodzaj zemsty za caracale. Rząd PO-PSL chciał w 2015 r. kupić te sięgające swoją konstrukcją lat 60. XX w. francuskie śmigłowce, mimo że na rynku było wiele znacznie nowocześniejszych i niekiedy tańszych maszyn innych producentów. Nic dziwnego, że po zwycięstwie PiS tę głośną i zarazem dziwaczną transakcję anulowano.

SPÓŹNIONA TROSKA

Zgodnie z przyjętym w 2019 r. planem modernizacji technicznej wojska w ciągu najbliższych 15 lat trzeba będzie wydać 524 mld zł na nowe uzbrojenie. W przeciwnym razie polska armia utraci zdolności bojowe. Na rozstrzygnięcie czekają m.in. kolejne programy rozwoju obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej, wybór śmigłowca szturmowego i okrętów podwodnych.



Fot. Jason Wells / Shutterstock

Przyśpieszenia – przynajmniej w mediach – dostał program kupna czołgów nowej generacji. Mówi się nawet o pozyskaniu 800 czołgów, które mają powstać we współpracy poznańskich zakładów Hipolita Cegielskiego z koreańskim koncernem Hyundai. W obliczu gwałtownie rosnącej przewagi pancernej Rosji szybka wymiana i modernizacja czołgów staje się priorytetem dla takiego kraju jak Polska, który jest położony na wschodniej flance NATO i stanowi tym samym bramę dla potencjalnej agresji. „Po tak gigantycznym kontrakcie Polska będzie dysponować liczbą nowoczesnych czołgów większą niż Niemcy i Francja razem wzięte" – skomentował te doniesienia niemiecki dziennik „Die Welt". Gazeta dodaje, że „Polska to militarna waga ciężka, zabezpiecza wschodnią flankę NATO […]. Kraj ten uważa Rosję za bezpośrednie zagrożenie i chce nowych systemów obronnych natychmiast, szczególnie po wybuchu wojny na wschodzie Ukrainy i rosyjskiej aneksji Krymu w 2014 r.". Dlatego – zdaniem gazety – warto odsunąć na bok uprzedzenia wobec polskich władz i rozwinąć współpracę zbrojeniową z Polską, aby Niemcom nie przechodziły koło nosa kontrakty warte miliardy dolarów, które zgarniają dziś głównie Amerykanie, a niewykluczone, że wkrótce dołączą do nich Koreańczycy.

W walce o tak duże zyski producenci broni gotowi są stosować różne chwyty i naciski. Choćby z tych powodów dobrze byłoby, aby decyzje w sprawie wyboru uzbrojenia były wyjęte spod bieżącej przepychanki politycznej.

Reklama | 490120/F

eprasa.pl 4380405d25



PKO BANK POLSKI NAJCENNIEJSZĄ POLSKĄ SPÓŁKĄ W 2019 ROKU

Bank Polski

Zakończyliśmy rok z najwyższą kapitalizacją wśród spółek notowanych na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie

eprasa.pl 4380405d25



Czego Turski nie powiedział

Dawno temu przeżył niemiecki totalitaryzm z jego najostrzejszą zbrodnią – Holokaustem. Dziś Marian Turski ostrzega przed polskimi władzami. Ale pomiędzy „kiedyś" a „dziś" była jeszcze jego praca na usługach komunistycznej Polski, także tej o stalinowskim, bierutowskim i jednoznacznie totalitarnym obliczu



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

„Choć Turski nie wspomniał o dzisiejszym obozie władzy, to każdy, kto słuchał go ze zrozumieniem, wie, że odnosił się do tego zła, które się dzisiaj dzieje w Polsce" – napisała dziennikarka „Gazety Wyborczej" Agnieszka Kublik. Nie zaprzeczył tej interpretacji sam zainteresowany, dziennikarz od 70 (tak!) lat. A mówił przecież do całego świata, z wysokości pozycji Ocalałego z Holokaustu: „Nie bądźcie obojętni, kiedy jakakolwiek władza narusza przyjęte umowy społeczne, już istniejące. Bądźcie wierni przykazaniu. Jedenaste przykazanie: nie bądź obojętny. Bo jeżeli będziesz, to się nawet nie obejrzycie, jak na was, jak na waszych potomków »jakieś Auschwitz« nagle spadnie z nieba". Słusznie więc zinterpretował te słowa Jacek Karnowski, pisząc o Marianie Turskim, „który w lekko tylko zawoalowany sposób zaatakował polskie władze, budując de facto tezę, że reforma wymiaru sprawiedliwości jest właściwie tym samym, co działania nazistowskich władz w latach 30. XX w.".

Ostrzegając przed totalitaryzmami, Turski wygłosił mowę z finezją literata. „Auschwitz tuptał, dreptał małymi kroczkami, zbliżał się, aż stało się to, co stało się tutaj" – opowiadał przekonująco podczas Międzynarodowego Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu. Ogólnodostępne biogramy wspominają enigmatycznie, że podczas wojny był w getcie oraz był więźniem obozu koncentracyjnego Auschwitz, następnie był członkiem PPR oraz redakcji „Sztandaru Młodych", a po Październiku '56 redaktorem tygodnika „Polityka", w którym udziela się do dziś.

Bardziej uważne zebranie rozproszonych informacji wskazuje dopiero szczegóły jego powojennej drogi. Mieczysław

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4380405d25

Rakowski wspomina w swoich „Dziennikach", że Turski był na jednym roku w szkole partyjnej z Edwardem Gierkiem. Mowa tu o szkole partyjnej przy Komitecie Centralnym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Sam Gierek przyznawał, że uczęszczał tam przez regulaminowe dwa lata: w okresie 1949–1951, a więc w czasie intensywnej stalinizacji Polski. Wiele lat później absolwenci tej placówki zwykli bagatelizować przedmioty nauki, opowiadając, że były tam jedynie partyjne slogany. Z drugiej strony wiemy, że uczono tam z książek np. samego Stalina („Krótki kurs historii WKP(b)"), a – jak twierdził Gierek – „sztuki wysławiania uczył sam Zelwerowicz".

Daniel Passent w swoich autobiograficznych refleksjach wspomina, że Turski pracował w Komitecie Centralnym PZPR w czasach, gdy „prezydentem" był Bolesław Bierut. O tych czasach Turski będzie pisał na łamach „Polityki", że „wróg klasowy z jednakową zaciekłością zwalczał reformy ogólnodemokratyczne i socjalistyczne". Mowa oczywiście o żołnierzach wyklętych oraz mikołajczykowskim PSL. Jeszcze w latach 80. wysłanników Bolesława Bieruta do Wielkiej Trójki w Poczdamie w swojej książeczce „Operacja Terminal" uzna za „pełny wachlarz stronnictw", choć przecież nie były one pełnym wachlarzem stronnictw, a jedynie sowiecką delegaturą opatrzoną dla niepoznaki reprezentacją z częściowo niezależnego PSL.

> Mieczysław Rakowski wspomina w swoich „Dziennikach", że Turski był na jednym roku w szkole partyjnej przy KC PZPR z Edwardem Gierkiem

Do „Sztandaru Młodych" Turski dołącza jeszcze przed 1956 r., a więc przed „odwilżą" i złagodzeniem terroru – wtedy dziennikowi wyznaczono rolę intensywnej i nachalnej agitacji, okraszonej ciekawostkami i poradami z życia codziennego. I tak obok artykułu spod znaku Heleny Bobińskiej „Ze wspomnień o Leninie" jest zdjęcie 17-letniego chłopca z Filipin, który ma sześć palców, a pomiędzy przedrukami z wystąpień stalinowskich kacyków a przemówieniami Bieruta jest sugestia dla dziewcząt, że chude powinny nosić sukienki w paski poprzeczne, a te „okrągłe" w paski pionowe. Mnóstwo tam tłumaczeń sowieckiej poezji propagandowej i oszczerstw wobec Zachodu, zwłaszcza Ameryki.

W „Sztandarze Młodych" trudno o teksty Turskiego, jednak pełni on funkcję zastępcy redaktora naczelnego, często wyręczając w decydowaniu o kształcie pisma swoją szefową Irenę Tarłowską.

Po październiku 1956 r. Turski trafi do „Polityki" pierwotnie prowadzonej przez Stefana Żółkiewskiego, zastąpionego później bardziej elastycznym Rakowskim. Turski w nowym piśmie stworzy dział historii najnowszej, do którego zacznie sam pisać.

„Powstanie Polski Ludowej – czytamy w tekście z czerwca 1968 r. – było realizacją wielowiekowych bojów społecznych, klasowych, a zarazem najpełniejszym zabezpieczeniem interesu narodowego. Rzecz więc w tym, by mądrze kojarzyć tradycje patriotyczne z tradycjami postępowymi społecznie, by nie naruszać tego organicznego związku". To dość sztampowa wykładnia, pełna partyjnej nowomowy, choć w obliczu niedawnej kampanii antysemickiej w PZPR trudno było Turskiemu uprawiać jakąkolwiek irredentę. Jednak także rok później redaktor Turski kontynuuje oficjalną wersję historiografii, z jego tekstów o początkach PRL nie dowiemy się żadnych istotnych faktów, to raczej publicystyka niż historia. „Prawda, były w naszym kraju elementy wojny domowej. Prawda, zginęło w nich kilkadziesiąt tysięcy ludzi (po obu stronach), przy czym największe straty poniósł aktyw PPR-owski, aktyw z ogniw władzy" – śmierć, tortury i więzienia żołnierzy i konspiratorów antykomunistycznego Podziemia zostały – co oczywiste – przemilczane.

W kwietniu 1970 r. Turski jest na delegacji w Moskwie, a „Polityka" świętuje setną rocznicę urodzin Włodzimierza Lenina. „Każdy kolektyw ludzki w ZSRR zastanawiał się nad tym, jaki wnieść wkład w obchody leninowskie, które z narastającą intensywnością trwają ponad rok" – relacjonował Turski ze stolicy Sowietów. Wymieniał też nowości wydawnicze („niektóre z nich – twierdził – krytyka ocenia bardzo wysoko"): „Lenin o młodzieży", „Listy młodzieży do Lenina", „Lenin a biblioteki", „Lenin a współczesne przyrodoznawstwo", „Lenin a socjalistyczne rozmieszczanie sił wytwórczych". Turski spotkał się nawet z sekretarką Lenina, którą obficie cytował w tekście: „Mówił prawdę ludziom – całą prawdę. Wymagał osobistej odpowiedzialności każdego działacza. [...] każdy mógł swobodnie wypowiedzieć się, tak jak czuł, tak jak myślał...".

Jako partyjny publicysta będzie nie tylko przekonywał o słuszności zaprowadzenia w Polsce komunizmu, lecz będzie też uderzał w emigracyjnych autorów czy w generała Andersa, przedstawiając go jako miernego oficera i politykiera na usługach aliantów. Anders, zdaniem Turskiego, miał się poświęcić „sprawie społecznie reakcyjnej, narodowo szkodliwej". Polski bohater miał być „ciągle i stale gotów do wszelkich inicjatyw, które szkodziły krajowi... i całemu narodowi".

Dekadę później Turski będzie przebywał w Moskwie jako korespondent z olimpiady. Opinię Turskiego o wprowadzeniu stanu wojennego zanotuje Rakowski w swoim dzienniku: „Turski jest zdania, że bezpośrednią przyczyną tego, co się stało, było zadufanie »S«, przekonanie, że władza nie ma już nic do powiedzenia". Pod koniec lat 80. redakcja „Polityki" zaangażuje się w „pojednanie", czyli pokazywanie kompromisów „okrągłego stołu" od jak najlepszej strony, Turski nawet przeprowadzi wywiad z Lechem Wałęsą.

Zatem pomiędzy tragicznym doświadczeniem wojny a współczesnym zawoalowanym atakiem na obecne polskie władze jest w życiorysie Mariana Turskiego kilka dekad wspierania reżimu PRL, reżimu przynajmniej do 1956 r. totalitarnego, a później mającego łagodniejsze lub ostrzejsze wersje autorytaryzmu. Ani wtedy, ani później nie odniósł się do komunistycznej, przyniesionej na sowieckich tankach władzy. A przecież nie wolno być obojętnym, gdy „władza narusza przyjęte umowy społeczne, już istniejące".

eprasa.pl 4380405d25



O jak operacja „polskie zbrodnie”

Dr Hanna Karp, medioznawca

Miało być dziś B jak brexit, a więc o buncie w laboratorium niewolników, ale będzie o kłamstwach. W grudniu cały internet był zarzucony przepowiedniami na nowy rok. Wszyscy wróżowie, wróżki, tarociści i tarocistki snuli swoje wizje. Nie próżnował także, skądinąd sympatyczny, jasnowidz z Człuchowa od lat przepowiadający wojny na świecie. Wisiało nad krajem pytanie: „Co przyniesie przyszłość?”.

Dziś już wiadomo. Od pierwszych dni rok 2020 jest dla Polski czasem kłamstwa. A więc materii lepkiej, galaretowatej, która przyczepia się do rzęs i włosów, ale która może być jednak sączona na różne sposoby. Tak jak 10 kwietnia 2010 r. wstrząsnął Smoleńskiem, tak 23 stycznia 2020 r. mógł wstrząsnąć kłamstwami Władimira Putina w Instytucie Yad Vashem, podczas obchodów 75. rocznicy wyzwolenia niemieckiego obozu Auschwitz-Birkenau. Do eskalacji nie doszło, jednak szczytem hipokryzji było, gdy przywódca Rosji oburzał się na to, że „dziś Holokaust jest przedmiotem politycznej koniunktury”, i uznał to za „niedopuszczalne”. „Obowiązkiem przyszłych pokoleń jest obrona pamięci. Brońmy prawdy i sprawiedliwości” – grzmiał ten, co najzręczniej wykorzystał polityczną koniunkturę.

LINCZ W CISZY

Jedni powiadają, że z kłamstwami nie ma co dyskutować. Ale w obecnej sytuacji pali się już nie tylko czerwone światło, lecz wyją wszystkie alarmowe syreny. Nie można zignorować lejącej się na Polaków tak zagęszczonej zawartości kloaki. Ale jeszcze gorsze być może jest to, że odebrano pomówionym prawo do krzyku, który mogliby wznieść we własnej obronie. A obchody – za zgodą ich uczestników – zmieniły się poprzez łącza telewizyjnych transmisji w lincz nad całym krajem. Jego obywateli, za sprawą teletransmisji, postawiono w sytuacji niemych świadków własnego sponiewierania. Gdy – jak to określa Wojciech Cejrowski na łamach „Do Rzeczy” – „polskie obozy śmierci” zgodnie pasują i Niemcom, i Rosji, i Izraelowi, a za puentę służy przemówienie Mariana Turskiego i jego zawołanie o jedenaste przykazanie Dekalogu „Nie bądź obojętny!” (sic!).

Jeśli kłamstwa medialnej operacji „polskie zbrodnie” uznane zostaną przez świat za prawdę, znaczyć to będzie, że prawda materialna dziś nie istnieje. A przecież egzystencja poza prawdą, misterne wznoszenie świata na rusztowaniu z kłamstw zwykle prowadzi do unicestwienia. Tym razem nie tylko Polaków czy Polski, lecz wszystkich, którzy tę budowlę wznoszą.

STEROWANIE PRAWDĄ

Najbardziej absurdalne w powyższym kontekście jest to, że odbiorcy medialnych przekazów oczekują, że otrzymają informacje, które pozwolą im wieść lepszy rodzaj życia. Ułatwią podejmowanie decyzji, przed którymi stają każdego dnia czy to jako potencjalni konsumenci, czy obywatele, czy członkowie określonej wspólnoty religijnej. Informacje w cywilizacji medialnej – bo w takiej żyjemy – wpływają na wyobraźnię masową, w znacznym stopniu kształtują ją; są głównym motorem jej rozwoju i trwania.

Dobrze rozumiał ten proces włoski komunista, zawodowo związany z dziennikarstwem i polityką, Antonio

eprasa.pl 4380405d25

Gramsci. Uważał, że aby zdobyć władzę, nie trzeba wstępować na barykady. Wystarczy przejąć kontrolę nad kulturą, edukacją, wychowaniem, wymiarem sprawiedliwości i w ten sposób sterować wyobraźnią ludzi. Teorie Gramsciego zweryfikowała medialna praktyka. W ich świecie – czego doświadczyliśmy także 23 stycznia w Jerozolimie – toczy się nieustanna walka o zawładnięcie informacją i wyobraźnią. Nie tylko uczniowie Gramsciego posiedli już wiedzę, że panowanie nad zbiorową wyobraźnią i strumieniem informacyjnym daje kontrolę czy nawet władzę nad masami. Wiedzą o tym przede wszystkim wyrobnicy świata mediów. Zwłaszcza gdy za ich sprawą w parze z informacją kroczy dezinformacja, która wcale nie musi być wielkim kłamstwem. Ona może się wkradać każdego dnia w nasz świat – dzięki ich zabiegom – niewidzialnymi krokami.

KŁAMCY I ICH MASKI

Dezinformacja stara jak świat, wciąż bywa wykorzystywana na różne sposoby. Popularne encyklopedie mediów definiują ją jako technikę wykorzystującą fałszerstwa i inne środki w celu zdyskredytowania przeciwników politycznych, rządów, osób, zapatrywań czy światopoglądów. Dezinformacja spełniająca często warunki klasycznego komunikatu – chodzi o format i sposób dotarcia do adresata – nie odbija w sposób rzetelny rzeczywistości, ale zniekształca jej obraz i zamiast poszerzać wiedzę odbiorcy, dezorientuje go. O to chodziło – czego tak boleśnie doświadczyliśmy, także podczas obchodów w Jerozolimie.

Funkcją dezinformacji jest zaprzeczenie informacji, choć może strukturalnie stanowić jej doskonałą imitację. Tak też jest, gdy słyszymy o „polskich obozach śmierci". Dezinformacja, także w wypadku kłamstw o Polakach, stanowić może narzędzie medialnej przemocy, gdy nasycone materiałem dezinformacyjnym komunikaty towarzyszą w sposób stały wybranym obiektom i podmiotom przedstawianym w mediach. Z czasem toczona kula fałszerstw zmienia się w element wojny informacyjnej. Wykorzystuje się wtedy takie sposoby oddziaływania na odbiorcę jak: podstęp, intoksykacja (adresowana do elit, używająca kłamstwa punktowego), biała propaganda, czarna propaganda, wpływanie.

Najczęściej dezinformacja kierowana jest do zbiorowości niezorganizowanych, społeczności czy jednostek rozproszonych, labilnych, przekształcających się w tłum. Dezinformacyjne działania potrzebują czasu, między innymi dlatego, że wymagają narzędzia pośredniczącego. A idealnym wehikułem dezinformacji są media. W sytuacji obchodów 23 stycznia w Yad Vashem dezinformacja miała jednak charakter globalny.

Dezinformacja subtelniejsza, wyrażająca się na poziomie języka, który jest nośnikiem myśli, oznacza fałszowanie języka, jego zubażanie i przekształcanie. Wiąże się to na dalszym etapie z zaszczepianiem nowego języka. Zdaniem Roberta Liftona jest to proces, który ma na celu przede wszystkim otępianie umysłu odbiorcy. Redaktorzy mediów wprowadzających swoje łatwe slogany (na wzór pracowników firm reklamy i PR), największe i najbardziej złożone problemy ludzkie redukują do krótkich, skrajnie uproszczonych pewników, mających formę prawd ostatecznych, które są łatwe do zapamiętania i powtórzenia.

W tym kontekście interesująca jest typologia kłamców autorstwa filozofa i moralisty Dietricha von Hildebranda. Wyróżnia on kłamcę przebiegłego, oszukującego i kłamcę noszącego w sobie udawanie. Współczesna maszyneria kłamstwa przeciwko Polsce wykorzystuje wszystkie rodzaje typologii Hildebranda. Zostały z premedytacją wdrożone i przez lata intoksykowały światowy medialny krwiobieg. W przypadku kłamcy przebiegłego mogliśmy latami obserwować, jak bez skrępowania oszukiwał innych, świadomie szerzył treści niezgodne z prawdą, byle odpowiadało to jego celom i zamiarom. Wtedy to światowe media kolportowały kłamstwa m.in. o polskim kacie, o stodole w Jedwabnem, pogromie kieleckim itp. Te mechanizmy uruchamiano, zamieniając obozowego kata w ofiarę II wojny światowej czy okupanta w wyzwoliciela. W tym wypadku kłamstwa – ostatecznie – godzą w samego kłamcę. Zatracają prawdę o nim samym. Zdejmują z niego winę, pokazują jego inne zakłamane oblicze. Gdy twarz odrażającego Frankensteina przykrywa maska zatroskanego intelektualisty, dobroczynnego bankiera, empatycznej kanclerz matki narodu czy bezwzględnego kagebisty polityka – obrońcy własnego państwa.

ZAKŁAMANIE I PYCHA

Trzeci rodzaj kłamcy – „noszącego w sobie udawanie" – to media, które podobnie jak ów człowiek, z gruntu fałszywe, przyjmujące charakter umowny całej rzeczywistości, nieniosące rozpoznawalnej intencji oszukiwania innych, ale przedstawiające treści, kierujące uwagę odbiorcy głównie na siebie. Ich błąd polega na egocentryzmie, zagubieniu wewnętrznej prawdy, eliminowaniu wartości, skierowaniu uwagi na rzeczywistość pozorną, nieistotną, umowną, narzucaną przez innych. Ten rodzaj zakłamania wynika z pychy i z odrzucenia świata wartości. Ten rodzaj taktyki zastosowano także wobec Polski, gdy przemilczano polskie ofiary obozów koncentracyjnych, ofiary zsyłek i gułagów, zamordowanych w Katyniu, na Wołyniu, setki tysięcy zamordowanych podczas powstania warszawskiego.

Jacques Derrida, analizując współczesne kłamstwo, powiada, że podstawową rzeczywistością, w której rozgrywa się dziś fenomen kłamstwa, jest dziedzina polityczna, a ściślej językowo-polityczna. Francuski filozof nie cofa się przed porównaniem totalności ekspansywnego kłamstwa w społecznościach demokratycznych z zagwarantowaną formalnie wolnością słowa i wypowiedzi, które nie radzą sobie z totalitarnym kłamstwem faszyzmu i stalinizmu. Kładzie nawet większy nacisk na spotęgowanie powodujące rozwarstwienie zorganizowanego kłamstwa panującego we współczesnym świecie niż na kłamstwo czarno-białe z okresu jawnych systemów totalitarnych. Zorganizowanych kłamstw o „polskich obozach śmierci" zmarły w 2004 r. Derrida nie ocenia ani nie przywołuje. Zapewne nie sądził, że przybiorą rozmiary egipskich piramid, odbierając mowę i wprawiając w osłupienie.

eprasa.pl 4380405d25

Lubawa – tajny niemiecki obóz dla małoletnich Polaków



Marcin Michalski na tle budynku obozu w Lubawie

Do świadomości społecznej powoli dociera wiedza o strasznym hitlerowskim obozie „na Przemysłowej" w Łodzi (1942–1945), ale niewielu wie o bliźniaczym miejscu, jakie Niemcy utworzyli na terenie północnej Polski

Z historykiem Marcinem Michalskim z Iławy, wnukiem Witolda Michalskiego, małoletniego więźnia lubawskiego obozu, rozmawia Jolanta Sowińska-Gogacz

Poznając dzieje łódzkiego obozu „na Przemysłowej" i obozu w Lubawie, trudno się oprzeć wrażeniu, że to miejsca bardzo podobne.

Marcin Michalski: Szacuje się, że II wojna światowa odebrała życie 2 mln polskich dzieci. Jednym z miejsc, gdzie ginęły, był „tajny obóz karny dla nieletnich w Lubawie" (Geheimes Jugendgefängnis Lager in Lobau). Lager mieścił się w wielkim budynku niegdysiejszego więzienia przy ul. Grunwaldzkiej. W obu obozach: łódzkim i lubawskim, były więzione i katowane polskie dzieci.

Jakie formy represji stosowali Niemcy w obozie lubawskim?

Szefem obozu był Hauptwachtmeister Hubert Gürnau, który na czas wojny przybrał nazwisko Otto Kluge. Mieszkał tu z żoną i nastoletnim synem. Miał w zwyczaju rzucać w dzieci pękiem kluczy i strzelać między rzędami do idących po placu więźniów. Opisy mojego dziadka i to, co przywołał w swojej książce Czesław Czubak („Alles In Ordnung?", Iskry 1970), jest zatrważające. Sam też dotarłem do informacji, że dzieci na co dzień były przez wachmanów mocno bite – tak mocno, że przez to umierały. Niemcy wysyłali do rodziców telegramy powiadamiające o zgonie wraz z nakazem odbioru ciał, nawet wtedy gdy dzieci były jeszcze w ago-

eprasa.pl 4380405d25



nii. Nie ma potwierdzenia, że ciała były topione w Jeziorze Ostródzkim. Najprawdopodobniej chowano je po prostu w ziemi pobliskiego cmentarza.

Skąd teoria o wrzucaniu ciał dzieci do jeziora?

Jeden z esesmanów pytał często przed posiłkami, z jakich wód pochodzi ryba, i gdy mówiono, że z Ostródzkiego, nie jadł i mówił, że się brzydzi. Ten akwen słynie z dużej liczby ryb padlinożernych, więc była to opcja praktyczna dla zniszczenia śladów zbrodni.

Czy udało ci się ustalić jakiekolwiek liczby?

Nie. Olsztyński IPN ma tylko opisy i relacje ludzi, którzy byli tu więzieni i przeżyli. Pełna dokumentacja jest w archiwum w Berlinie. O ile jej nie zniszczono. Przez obóz przeszło prawdopodobnie blisko tysiąc małoletnich z powiatu lubawskiego, ale również mnóstwo dzieci z Gdańska, Bydgoszczy i Torunia. Najstarsze władze obozu kierowały do KL Stutthof.

Czy były w Lubawie także dziewczynki?

Tak, ale krótko, w 1943 r. Wywieziono je potem do Lidzbarka.

W łódzkim obozie dzieci zabijano głodem, pracą ponad siły, plagą nieleczonych chorób. I oczywiście brutalną przemocą. Czy chłopcy w Lubawie mieli podobny żywot?

Dokładnie tak. Dzieci głodzono i zaprzęgano do ciężkiej pracy. Po kilku miesiącach chłopak mojej postury wyglądał jak kościotrup. Lubawianie bardzo się starali, żeby tym dzieciom przekazać jakieś jedzenie, ale Niemcy do nich strzelali, najpierw w powietrze, potem ogniem na wprost. Wachman o nazwisku Empel wspominany jest przez wszystkich ocalałych jako ten, który przymykał oko i pozwalał, by tych małych więźniów po kryjomu dożywiać. Vis-à-vis obozu był szpital prowadzony przez zakonnice. Szarytka Antonina Schneider bez przerwy przemycała im coś do jedzenia, ale na taką liczbę dzieci to było za mało. Wyobraź sobie wiadro zupy i 160 chłopców – na głowę przypadało pół kubka. Ale nawet taka odrobina oznaczała dla nich więcej siły i nadzieję na przeżycie. Siostra Antonina ma w Lubawie zasłużony pomnik.

W obozie „na Przemysłowej", przez cały okres jego funkcjonowania, prowadzono akcję wyławiania dzieci z fizycznymi cechami rasy aryjskiej i kierowania ich na zniemczenie. Czy w Lubawie także odbywała się taka weryfikacja?

Tak, ale tutaj to było trudniejsze. W Łodzi więziono dzieci małe, nawet dwuletnie, a tutaj nastolatki, którym nie dawało się wmówić, że nie są Polakami. Decyzje o zniemczeniu zapadały przed osadzeniem w Lubawie. Tutaj więziono dzieci raczej po to, żeby wdeptać w ziemię ich godność i narodowość. Polnische Schweine i zero człowieczeństwa.

Do obozu „na Przemysłowej" trafiały dzieci często niewinnie, nierzadko za czyny rodziców, których dziś nazywamy bohaterami. A do Lubawy?

Tutaj podobnie. Jeden chłopiec trafił za to, że zasnął podczas wypasu krów, które weszły na pole jakiegoś Niemca. Inny za śpiewanie antyniemieckich piosenek, jeszcze inny w odwecie za obelgi, bo nakrzyczał na niemieckich kolegów. Byli tu harcerze z Gdańska, świetne dzieciaki. Żadne dziecko nie miało sądu ani wyroku, aresztowano je pod byle pretekstem. Najpierw trafiały do obozu przejściowego w Brodnicy, potem czekał je lubawski okratowany Ordnung. Każda historia jest inna, ale wszystkie są dramatyczne i niesprawiedliwe. Dziadka tu umieszczono, bo nie chciał pracować u sklepikarza, który ciągle go bił.

Ten sklepikarz był Niemcem?

No oczywiście. W Lubawie przed wojną mieszkało 2 proc. Niemców, i to zasymilowanych, ale wraz z nadejściem okupacji nagle zaczęli przywłaszczać sobie polskie mienie, np. siłą przejmować nasze sklepy i firmy. Przygotowali też listy osób do – ich zdaniem – natychmiastowej eksterminacji, nauczycieli, lekarzy, księży. Wcześniej

eprasa.pl 4380405d25



Dzieci podczas pracy w obozie w Łodzi – II wojna światowa



Witold Michalski w oknie swojej dawnej celi, dziś DPS

na linii Lubawa – Iława kwitł przyjazny handel, ale 1 września te relacje raptownie się odmieniły. Niemcy po prostu chcieli na tej wojnie zarobić, jak najwięcej zyskać.

Jakie warunki panowały w obozie, jak wyglądała codzienność?

Pobudka o szóstej, po niej apel. Rano chłopcy dostawali po kawałku chleba i kubek kawy ze zbóż. Po śniadaniu 12 godzin pracy. Obiad, czyli marna zupina, na miejscu lub w polu. Sienniki mieli tak stare i tak zawszone, że woleli spać na podłodze. Prycze były rozmiarowo jednoosobowe, ale musiało spać na nich po troje dzieci. Dziadek mówił, że wszyscy spali na jednym boku, nie mogli się ruszyć, by nie pobudzić kolegów, i żeby ten śpiący z brzegu nie spadł. Po takich nocach wszystko ich bolało.

Do jakich prac dzieci były zaprzęgane w obozie lubawskim?

Korowanie i przenoszenie drewna w tartaku, ciężkie prace polowe, czyli np. wykopki u gospodarzy niemieckich, którzy zajęli nam ziemię (np. w majątkach Mokre Bagno, Mortęgi i Linowiec), noszenie węgla, wyplatanie lin na potrzeby wojska, kopanie rowów melioracyjnych na obrzeżach miasta. Praca w kuchni to był wersal, bo można było coś ukradkiem skubnąć.

> Przez obóz przeszło prawdopodobnie blisko tysiąc małoletnich z powiatu lubawskiego, ale również mnóstwo dzieci z Gdańska, Bydgoszczy i Torunia. Najstarsze władze obozu kierowały do KL Stutthof

W obozie łódzkim nie było żadnych środków czystości. Jak dzieci w Lubawie radziły sobie z higieną?

Opisy mówią, że było z nią kiepsko, ale dziadek opowiadał, że Niemcy jednak pilnowali czystości, bo sami przecież przebywali w tym budynku. W każdej celi stało wiadro na odchody i dzieci co rano musiały je starannie czyścić.

Niemcy zapewne bali się chorób?

Oni chcieli, żeby te dzieci chorowały i umierały.

Ale to były choroby zakaźne.

No właśnie. Dlatego akurat sprawa eliminacji nieczystości fizjologicznych musiała być załatwiana czysto i dokładnie.

Kiedyś tu było więzienie, dziś jest wzorcowo funkcjonujący Dom Pomocy Społecznej dla osób upośledzonych. Co zostało w budynku z tamtych wojennych lat?

Na dole, gdzie teraz jest świetlica, był gabinet Otto Klugego. Przed jego oknami odbywały się apele. Przez ścianę – karcer, którego opis jest zawsze taki sam. Bardzo małe pomieszczenie bez okien, drzwi uszczelnione gumą, żeby dźwięki płaczu i cierpienia nie przeszkadzały Klugemu w pracy, nie zwracały niczyjej uwagi. On lubił mieć blisko swoje ofiary, więc wszystko rozplanowane było z perfidią. Stąd niewielu chłopców wychodziło żywych. Trupy wynosili koledzy. We wszystkich opisach, do których dotarłem, jak mantra powtarza się: pierwsze piętro. Pewnikiem mieszkało tam najwięcej dzieci. Cele mieściły od czterech do sześciu chłopców, a skoro średnio było ich tu 160, na piętrze musiało być ok. 30 małych pomieszczeń. Okna były mleczne i okratowane, nie można było przez nie patrzeć na świat. Rzeczywistość dzieci widziały tylko przez nieliczne prześwity. W celi, w której rozmawiamy, dziadek spędził prawie pięć miesięcy. Łódź miała baraki, które po wojnie przepadły pod naporem siekier i buldożerów, a Lubawa to murowany kolos, więc historia się zachowała.

eprasa.pl 4380405d25

Europa Środkowo-Wschodnia ma wreszcie swój głos

Powołanie Rady Biznesu państw Trójmorza było jednym z ważniejszych dla nas wydarzeń Światowego Forum Gospodarczego w Davos. Sukcesy podczas międzynarodowej konferencji święcił Dom Polski otwarty przez PZU i Bank Pekao

Polska pokazała się na Światowym Forum Ekonomicznym od najlepszej strony. – Zbierałem gratulacje za Dom Polski w Davos – przyznawał nawet prezydent Andrzej Duda. Dom Polski gościł przedstawicieli największych światowych firm i instytucji finansowych oraz troje prezydentów. Był miejscem doniosłych wydarzeń: powołania Rady Biznesu państw Trójmorza i ogłoszenia startu nowych funduszy inwestycyjnych. – Był nie tylko polski, ale międzynarodowy – podkreśla prezes PZU Paweł Surówka.

Dom Polski został uruchomiony przy głównej promenadzie szwajcarskiego kurortu, do którego w czasie Forum zjechali najważniejsi ludzie światowego biznesu i polityki. – Bardzo się cieszę, że jesteśmy tutaj obecni w taki widoczny sposób, bo to także pokazuje naszą aktywność, ale przede wszystkim pokazuje naszą ambicję, że chcemy się liczyć, być otwarci, zapraszamy do siebie, zachęcamy – mówił prezydent Duda, inaugurując działalność Domu. – Jestem wdzięczny wielkim polskim firmom, Pekao i PZU, że ten polski dom jest tu ponownie – dodał.

REGION O WIELKICH MOŻLIWOŚCIACH

Motywem przewodnim tegorocznej obecności Grupy PZU w Davos była współpraca państw Trójmorza, a więc krajów środkowo-wschodniej Europy skupionych między Bałtykiem, Adriatykiem a Morzem Czarnym. To w pewnym sensie nawiązanie do korzeni PZU. Kiedy ponad 200 lat temu na podzielonych między zaborców ziemiach polskich powstawały pierwsze towarzystwa ubezpieczeniowe, opierały się na zasadzie wzajemności. Dawały wsparcie polskim przedsiębiorcom, stanowiącym o sile polskości w gospodarce. Dziś PZU, największa grupa finansowa w Europie Środkowo-Wschodniej, daje wsparcie projektom stanowiącym o sile nie tylko Polski, ale całego regionu.

– Pokazujemy Polskę i państwa Trójmorza jako kraje świetnie wykształconych ludzi o wielkiej wiedzy, umiejętnościach i kreatywności – tłumaczy prezes Surówka. To o tyle ważne, że – na co zawracał uwagę prezes Pekao Marek Lusztyn – potencjał naszego regionu jest niedoceniany i nie w pełni wykorzystywany. Zupełnie niesłusznie.

Wicepremier Jacek Sasin, który także był gościem Domu Polskiego, przypominał, że wśród 10 najszybciej rozwijających się w ostatnich latach krajów europejskich siedem to kraje Europy Środkowo-Wschodniej, a liderem jest Polska. – Będziemy przekonywać przedsiębiorców z całego świata oraz szefów ważnych instytucji decydujących o rozwoju, że warto inwestować w Polsce i w naszej części Europy – zapowiadał wicepremier.

RADA, INDEKS I FUNDUSZE

Razem znaczy więcej. Więcej siły i więcej możliwości. Taka idea przyświeca tworzącej się z inicjatywy PZU Radzie Biznesu największych firm Europy Środkowo-Wschodniej. Powołanie rady Growing Europe zostało ogłoszone właśnie w Domu Polskim w Davos. – Od teraz Europa Środkowo-Wschodnia ma swój głos i zaangażowanych liderów, którzy chcą razem pracować nad jej promocją – mówił prezes Paweł Surówka.

Za słowami idą czyny. PZU ogłosił też w Davos uruchomienie trzech nowych funduszy inwestycyjnych na platformie inPZU, z których dwa zostały przygotowane we współpracy z Goldman Sachs Asset Management. Jeden z funduszy opiera się na wspólnym indeksie giełd Trójmorza CEEPlus, w którego utworzenie zaangażował się PZU.

– Kraje Europy Środkowej i Wschodniej są strefą najwyższego wzrostu gospodarczego w Unii Europejskiej. Coraz więcej inwestorów pyta nas o możliwości skorzystania z tego dynamicznego rozwoju. Naszą odpowiedzią jest CEEPlus – tłumaczył ideę indeksu prezes warszawskiej Giełdy Papierów Wartościowych Marek Dietl.

ATUTY W NASZYCH RĘKACH

Zdaniem Pawła Surówki państwa Trójmorza mają wystarczająco mocne atuty, by walczyć o dużą stawkę, jaką jest ściąganie miliardowych inwestycji. – Dynamicznie rozwijający się region oferuje nie mniej obiecujące biznesowe perspektywy niż rynki wschodzące, a zarazem przewidywalność i polityczną stabilizację krajów rozwiniętych – przekonuje Paweł Surówka. Dlatego takie inicjatywy, jak Rada Biznesu, indeks CEEPlus czy oparty na nim fundusz inPZU Akcje CEEplus, przybliżają nas do ambitnych celów.

Dzięki współpracy największych firm regionu Polska i całe Trójmorze mają szansę na trwałe stać się ekonomicznym motorem całej Europy. – Polska i polskie firmy, czempiony gospodarcze naszej części Europy, biorą na siebie odpowiedzialność za gospodarczy rozwój nie tylko Polski, ale także całego naszego regionu – podsumował wicepremier Jacek Sasin.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 21/129/F

eprasa.pl 4380405d25



Podbite terytoria

150 dzielnic francuskich miast i aglomeracji jest w rękach islamistów. Takie informacje znajdują się podobno w raporcie Dyrekcji Generalnej Bezpieczeństwa Wewnętrznego z początku tego roku. Podobno, bo raport został utajniony. Nie mają do niego wglądu nawet zainteresowani członkowie rady ministrów, oczywiście z wyjątkiem szefa MSW. Został im zreferowany ustnie. Dlaczego ten temat jest tak niewygodny i ryzykowny dla francuskiego rządu



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Po zamachach w 2015 oraz 2016 r. politycy francuscy stwierdzili, że kraj jest w stanie wojny. W sytuacji wojny należy zadać pytanie: kto jest więc naszym wrogiem? Od diagnozy zależy leczenie. Trudności związane ze wskazaniem wroga wiele mówią o państwie francuskim i jego licznych kulturowych podziałach. Czy to tylko sami zabójcy są naszymi wrogami, a może jest nim ideologia, którą się karmią od dziesięcioleci? Czy wystarczy zabić tych wszystkich Merahów, Bouhlelów i Koulibalich? Zamknąć w więzieniu Fofanę, Abdelaslama i zderadykalizować garstkę dżihadystów, by wygrać tę wojnę?" – pyta historyk Georges Bensoussan we wstępie do książki „Francja uległa" (Une France Soumise), w której burmistrzowie, policjanci, radni, lekarze i nauczyciele rysują smutny obraz państwa pozwalającego swojej imigranckiej społeczności na wszystko, bo rdzenni Francuzi to synonim „rasizmu, kolonializmu, kolaboracji w II wojnie światowej, dominacji białych". W niektórych gettach szerzy się antysemityzm, a islamscy radykałowie nachodzą bardziej umiarkowanych muzułmanów nieprzestrzegających – ich zdaniem – zasad islamu. Presja jest tak ogromna, że niektóre muzułmańskie rodziny proszą o relokację do innych dzielnic. Państwo się na to godzi, bo to łatwiejsze niż otwarta konfrontacja z radykałami, którzy sprawnie organizują się w stowarzyszeniach i przy najmniejszej krytyce organizują głośne marsze i protesty. Kryje się za tym także strach przed wybuchem poważnych zamieszek, takich, nad którymi nie da się zapanować. Można poprosić miejscowego imama o to, by uspokoił nastroje w dzielnicy, albo zaryzykować uliczną bitwę, a co za tym idzie – zniszczenia i przemoc. Wielu przedstawicieli władz lokalnych wybiera tę pierwszą opcję.

Książka, podobnie jak poprzednie dzieło Bensoussana „Stracone terytoria republiki" (Les territoires perdus de la République) z 2002 r. o antysemityzmie wśród francuskiej młodzieży szkolnej po-

Fot. Wojtek Laski / East News

eprasa.pl 4380405d25

chodzenia arabskiego, stała się przedmiotem krytyki ze strony lewicowych mediów i ekspertów. Politolog Thomas Guénolé zarzucił Bensoussanowi, który jest szefem centrum dokumentacji Muzeum Pamięci Shoah w Paryżu, że cierpi na islamopsychozę. Według niego problem jest marginalny, a Bensoussan „diabolizuje wielomilionową społeczność muzułmańską nad Sekwaną". „Trzy czwarte muzułmanów jest świetnie zintegrowanych" – zaznaczył politolog w rozmowie z tygodnikiem „Le Point".

W 2015 r. Bensoussan musiał się bronić przed sądem przed oskarżeniem, że jest rasistą, po tym jak na antenie radia publicznego France Culture powiedział, że „rodziny arabskie kultywują atawistyczny antysemityzm, a w samym sercu narodu francuskiego zagnieździła się grupa ludzi, która nie szanuje demokratycznych wartości". Po dwóch latach sąd go uniewinnił.

PRIORYTETOWE STREFY

Teraz francuski kontrwywiad wydaje się przyznawać mu rację. Dyrekcja Generalna Bezpieczeństwa Wewnętrznego (DGSI) na początku roku sporządziła raport, z którego wynika, że 150 dzielnic francuskich miast i aglomeracji jest w rękach islamistów. Tak wynika z informacji podanych przez francuski dziennik „Le Journal du Dimanche" (JDD), który powołuje się na źródła w resorcie spraw wewnętrznych. Raport został bowiem utajniony, nie mają do niego wglądu nawet zainteresowani członkowie rady ministrów, oczywiście z wyjątkiem szefa MSW. Został im zreferowany ustnie. Tak niewygodny i ryzykowny jest to temat dla francuskiego rządu. Dlaczego? Bo prezydent Emmanuel Macron deklaruje wprawdzie, że chce walczyć z islamizacją nie tylko licznych obszarów geograficznych kraju, lecz także z rosnącymi wpływami muzułmańskich radykałów w sporcie, edukacji i służbie zdrowia. Jednocześnie chce uniknąć, by zarzucono mu stygmatyzację milionów francuskich muzułmanów. Zadanie trudne, tym bardziej że samorządy od lat skarżą się na brak współpracy ze strony władz centralnych, włącznie z brakiem przepływu informacji. A raport DGSI jest, delikatnie mówiąc, przerażający. Oprócz przedmieść Paryża, Lyonu i Marsylii, także Maubeuge, gdzie Unia Muzułmańskich Demokratów Francji (UDMF) zdobyła 40 proc. głosów podczas ostatnich wyborów samorządowych, Denin, Roubaix, Annemasse, Bourg-en-Bresse, Oyonnax. Lista jest długa. Raport mówi także o nowym, niepokojącym zjawisku, czyli pojawieniu się mikroterytoriów pod wpływem salafitów, jak Nogent-le-Rotrou w departamencie Eure-et-Loir na głębokiej prowincji, gdzie ten problem jak dotąd nie występował.

Francuski rząd ma przedstawić plan walki z komunitaryzmem, czyli z tworzeniem się równoległych społeczeństw, przed wyborami samorządowymi w marcu. W listopadzie 2019 r. szef MSW Christophe Castaner wysłał list do prefektów, w którym poinformował ich o tym, że walka z islamizmem powinna być „ich nowym priorytetem". Według ministra mają we współpracy z samorządami starannie monitorować żądania napływające ze wspólnoty muzułmańskiej, takie jak wprowadzenie mięsa halal w szkolnych stołówkach, tworzenie pływalni tylko dla kobiet, oraz zjawiska takie jak brak skolaryzacji dzieci (by uczyć je w szkołach religijnych) i seksizm w niektórych dzielnicach, gdzie „mężczyźni dyktują kobietom, jak mogą się ubierać na ulicy". Nikt nie używa oczywiście określenia „no-go zones", tak popularnego w odniesieniu do imigranckich gett w Szwecji. Króluje poprawność polityczna.

ISLAMSKI EKOSYSTEM

W czasie gdy powstawał raport DGSI, ukazała się książka francuskiego badacza islamu Bernarda Rougiera o „podbitych terytoriach islamizmu we Francji" (Les territoires conquis de l'islamisme). Na 353 stronach wykładowca Centrum Badań Arabskich i Orientalnych Sorbony dokumentuje „postępującą islamizację w społecznie słabych dzielnicach". Według niego „dzielnice imigranckie wpadły w ręce religijnych agitatorów". Powstaje w nich coś w rodzaju „islamskiego kontruniwersum, w którym demokratyczne wartości schodzą na drugi plan". „Obawiając się wzmocnienia skrajnej prawicy wokół Marine Le Pen, długo zamykano na to oczy. Tak długo jak polityczni decydenci nie będą świadomi rozmiaru wyzwań, nie będą w stanie się ich podjąć" – podkreślił socjolog w rozmowie z niemieckim dziennikiem „Frankfurter Allgemeine Zeitung". Rougier zapewnia, że jego książka opiera się na „solidnych, naukowych badaniach, które trwały wiele miesięcy". Tuzin studentów pochodzących z islamskiego kręgu kulturowego zanurzyło się w codziennym życiu imigranckich gett, takich jak podparyskie Aubervilliers czy Argenteuil. Jako muzułmanie łatwiej wtopili się w tło. Uczestniczyli w piątkowych modłach w meczetach, spotkaniach w kawiarniach i islamskich księgarniach, słuchali rozmów na boiskach piłkarskich i w halach sportowych. Byli również aktywni na portalach społecznościowych, gdzie się dowiedzieli, co muzułmańscy imigranci myślą o francuskim społeczeństwie. Jak przekonuje Rougier, odkryli przy tym „osobliwy islamski ekosystem", zamknięty dla białych Francuzów, uważanych za intruzów. „Właśnie dlatego wkład moich studentów był nieoceniony" – mówi badacz islamu, który otrzymał fundusze na swoje badania z regionu stołecznego Île-de-France. Rougier współpracował również z innymi badaczami islamu, którzy prowadzili równoległe badania w Strasburgu, Tuluzie, więzieniu dla kobiet we Fleury-Mérogis lub Molenbeek w Brukseli, gdzie wychowywał się zamachowiec z Paryża Salah Abdeslam.

Rougier ściągnął na siebie wiele krytyki, szczególnie mocno był atakowany przez polityków lewicy, którym udowodnił powiązania z salafitami. Nie jest tajemnicą, że francuska lewica, która ma szeroki elektorat wśród imigranckiej społeczności, dawno porzuciła walkę o równość (płci, klas) na rzecz obrony wielokulturowości, bardziej nośnej wśród muzułmanów. Lokalni politycy lewicy z okazji muzułmańskich świąt chętnie pojawiają się w meczetach. Muzułmanie głosują bowiem najczęściej na partie i polityków, które imam wskaże im podczas piątkowych modłów. Dobre relacje z islamskimi stowarzyszeniami często dają gwarancję wygranej przy urnach w danej dzielnicy. „Oświecenie jest martwe, niech spoczywa w spokoju..." – pisze Michel Houellebecq w „Uległości".

W Aubervilliers, zubożałym imigranckim getcie pod Paryżem, burmistrzem od 2016 r. jest polityk Partii Komunistycznej Francji (PCF), pochodząca z Algierii Meriem Derkaoui, która ostro

eprasa.pl 4380405d25

zaatakowała Rougiera, oskarżając go o rasizm. Jak podkreśla badacz w rozmowie z „FAZ", nie jest rzadkością, że „islamskie ugrupowania współdecydują o alokacji subwencji czy mieszkań socjalnych oraz o obsadzeniu stanowisk w ratuszu w zamian za dalsze polityczne poparcie". „Istnieje zmowa między niektórymi partiami lewicowymi a ugrupowaniami islamistycznymi" – przekonuje Rougier. Ale mówić o tym publicznie nie można. Według niego „francuskie społeczeństwo jest chore. [...] Tak chore, że nie jesteśmy nawet w stanie porozumieć się co do diagnozy choroby".

SCHEMAT PODBOJU

Jak przekonuje, podbój imigranckich dzielnic przez islamistów zawsze przebiega według tego samego schematu. Kaznodzieje nienawiści zaczynają żądać odgraniczenia się wierzących muzułmanów w gminie od „niewiernych". Następnie wprowadzają surowe zakazy: tylko mięso halal, zakaz słuchania muzyki oraz przyjaźni z niemuzułmanami. Rougier pisze, że w obu meczetach w podparyskim Aubervilliers imam pouczał wiernych, że „kobiety są kontrolowane przez szatana". Szacunek okazywać należy więc tylko tym, które noszą burki, czyli zasłaniają swoje ciało od stóp do głów. Także mężczyźni nie powinni pokazywać swojego ciała, dlatego w klubach sportowych młodzi muzułmanie coraz częściej biorą prysznic w majtkach.

Salafici nakłaniają także muzułmanów, by nie wysyłali swoich dzieci do publicznych szkół ani przedszkoli, bo „zostaną tam zepsute". W ten sposób wiele muzułmańskich dzieci ląduje w nielegalnych szkołach koranicznych. Wszystkie dziedziny życia społecznego są odrzucane. Od porządku prawnego po porządek publiczny. Według podobnego schematu islamiści infiltrują służby publiczne – policję, żandarmerię, straż więzienną, a nawet sam kontrwywiad. Jak podało radio France Inter, od października 2019 r. zgłoszono we Francji 74 podejrzenia o radykalizację islamską wśród pracowników stołecznej policji. Niedawno dziennik „20 Minutes" zwrócił uwagę na to, że wśród pracowników lotnisk paryskich, mających identyfikatory upoważniające do wstępu do stref bezpieczeństwa, ponad 100 osób jest regularnie obserwowane z powodu radykalizmu. W grudniu 2018 r. członkowie zespołu parlamentarnego, który opracował raport na ten temat, twierdzili, że państwo jest tu bezradne, ponieważ radykalne poglądy religijne nie są uzasadnionym powodem do zwolnienia kogoś ze służby publicznej.

Informatyk prefektury policji w Paryżu Mickael Harpon jest tu dobrym przykładem. W październiku 2019 r. zabił nożem czterech kolegów policjantów, dziesięć lat po konwersji na islam. Zradykalizował się, uczęszczając do meczetu w podparyskim Gonesse. W 2015 r. zwrócił uwagę przełożonych nieskrywaną radością z powodu zamachu na redakcję satyrycznego pisma „Charlie Hebdo". Uznano wówczas, że to wynik „zawodowej frustracji" i „kompleksów". Choć koledzy bali się Harpona, pozostawiono go na stanowisku. Wobec trudności prawnych, na jakie napotyka walka z radykalizacją, niektórzy proponują poprawki do konstytucji. Były prefekt policji paryskiej Michel Delpuech wezwał, by „przyjęcie wartości republikańskich" wpisać do konstytucji jako warunek pracy w służbach publicznych.

> Nie jest tajemnicą, że francuska lewica, która ma szeroki elektorat wśród imigranckiej społeczności, dawno porzuciła walkę o równość (klas, płci) na rzecz obrony wielokulturowości, bardziej nośnej wśród muzułmanów. Dobre relacje z islamskimi stowarzyszeniami często dają gwarancję wygranej przy urnach

SZACUNEK DLA MUZUŁMANÓW

Macron deklaruje chęć walki z islamskimi radykałami. W listopadzie 2019 r. zamknięto Europejski Instytutu Nauk Humanistycznych (IESH) w podparyskim Saint-Denis, prywatny islamski uniwersytet kierowany przez Ahmada Dżaballaha, imama związanego z egipskim Bractwem Muzułmańskim. Francuski rząd szykuje także kolejną ustawę w tej sprawie. Pytanie tylko, czy to coś zmieni. W lutym 2018 r. ówczesny szef MSW Didier Collomb ustanowił 65 tzw. dzielnic republikańskiej rekonkwisty (quartier de reconquête républicaine – QRR), gdzie zasoby policyjne zostały znacznie zwiększone. Są to dzielnice, w których, jak mówił minister, „ludzie boją się wyjść z domu czy jechać autobusem". Minęły dwa lata i poprawy nie widać – pisze francuski dziennik „Le Figaro". „Liczba przestępstw i przemoc wzrosły, zamiast zmaleć" – twierdzi gazeta. Tym bardziej że w debacie publicznej nic się nie ruszyło. Pozostaje ona zamrożona. Poprawność polityczna wciąż nie pozwala na krytykę islamu. Pokazuje to dobitnie przykład 16-letniej Milii z Grenoble. W styczniu podczas transmisji na żywo na Instagramie dziewczyna nazwała islam „religią nienawiści" i zwyzywała jego fanatycznych wyznawców. Rozpętała się prawdziwa burza. Muzułmanie grozili jej śmiercią. Dziś Mia nie chodzi już do szkoły i musi się ukrywać. Także jej rodzina żyje pod ochroną policji. Liderka Zgromadzenia Narodowego Marine Le Pen broni nastolatki, która jej zdaniem miała odwagę powiedzieć to, czego nie mieli odwagi powiedzieć politycy przez ostatnie 30 lat. Lewica tymczasem jest rozdarta między „obroną muzułmanów a obroną wolności słowa". Zdaniem byłej kandydatki socjalistów na prezydenta Ségolène Royal wolność słowa jest ważna, ale nastolatka „mogłaby okazać muzułmanom więcej szacunku". Sama zainteresowana twierdzi, że chciała sobie tylko „pobluźnić". To niezbyt eleganckie, a nawet godne potępienia. Tylko co to za kraj, w którym niezbyt mądra nastolatka z powodu równie niemądrych wypowiedzi musi żyć pod ochroną policyjną, a jej życie legło w gruzach?

eprasa.pl 4380405d25

Amerykańsko-rosyjska rywalizacja o Białoruś

Nastąpiła chwila prawdy – oświadczył Aleksander Łukaszenka, białoruski prezydent, w kilka dni po wyjeździe Mike'a Pompeo z Mińska. Aby nikt nie miał wątpliwości, że chodzi o relacje Białorusi i Federacji Rosyjskiej, uzupełnił swoje wystąpienie o retoryczne, a skierowane do Władimira Putina, pytanie: „Byliśmy razem architektami dobrych relacji – mówił. – Czy teraz, pod koniec naszej politycznej kariery, przyjdzie nam je łamać?"



MAREK BUDZISZ

Zaraz po tym białoruski prezydent przypomniał, że kilka lat temu, kiedy zgodził się na zakup przez Rosjan, a dokładnie przez spółkę córkę Gazpromu, akcji białoruskiej firmy Biełtransgaz zarządzającej gazociągami, Rosjanie obiecywali, że za pięć lat, a ten czas właśnie upłynął, Białoruś będzie płaciła za gaz tak jak odbiorcy w Rosji. „Dlaczego nas okłamujecie?" – grzmiał Aleksander Łukaszenka, który najwyraźniej zrozumiał, że gentleman agreement ma sens wtedy, kiedy po drugiej stronie umownego stołu negocjacyjnego zasiadają gentlemani, a na Kremlu próżno ich szukać.

W tym samym czasie, kiedy białoruski prezydent wypowiadał swoje jeremiady pod adresem Moskwy i zapowiadał „spotkanie ostatniej szansy" z Władimirem Putinem, które miało się odbyć 7 lutego na Kremlu, Moskwa zaostrza kurs, co skłania niektórych obserwatorów do formułowania tezy, że rozpoczęła się walka o kontrolę nad Białorusią, a niewykluczone, że i o przyszłość samego Łukaszenki.

ROSYJSKIE NACISKI

Rosyjski Łukoil, posiadający na Białorusi sieć stacji paliwowych, wprowadził właśnie ograniczenia w sprzedaży, motywując ten krok „trudnościami w zaopatrzeniu", które są spowodowane sytuacją w białoruskich rafineriach. Na specjalnie zwołanej konferencji prasowej Aleksandr Tiszczenko, sekretarz prasowy białoruskiego państwowego koncernu paliwowego, do którego należą obie pracujące w tym kraju rafinerie, w dość nerwowym wystąpieniu nazwał kroki rosyjskiego koncernu „samowolą graniczącą z prowokacją", bo dostawy idą rytmicznie.

Posunięcie Łukoilu, którego właściciel Wagit Alekpierow jest jednym z bliskich Kremlowi oligarchów, może być odczytane jako forma nacisku na Mińsk przed nadchodzącymi negocjacjami, ale również początek sekwencji działań mających destabilizować sytuację gospodarczą, a w następstwie tego i polityczną na Białorusi, co doprowadzić może do obalenia Łukaszenki i wyboru bardziej uległego wobec żądań Moskwy lidera. A to, jak się wydaje, dopiero początek możliwego scenariusza eskalacji. Już 11 stycznia, w trakcie spotkania na Kremlu z kanclerz Merkel, Putin miał ponoć uprzedzić niemiecką polityk o możliwych „wojnach gazowych" z Białorusią, ponieważ tymczasowe porozumienie na dostawy kończy się wraz z ostatnim dniem lutego. Ale i Mińsk przygotowuje się na eskalację konfliktu. Białoruskie niezależne portale internetowe piszą o możliwej próbie „odwrócenia" kontraktu na sprzedaż Gazpromowi białoruskiej spółki będącej właścicielem infrastruktury przesyłowej.

Od początku ub. tygodnia rosyjskie niezależne kanały internetowe na platformie Telegram, specjalizujące się w przeciekach z kremlowskiej administracji, dostarczają coraz nowych informacji na temat tego, że wysocy moskiewscy urzędnicy odpowiadający za politykę wobec Białorusi są nie tyle zdenerwowani, ile wściekli. I ponoć zapadła już tam decyzja o „odstrzeleniu" Łukaszenki, z którym nie można się porozumieć. Trwają jedynie dyskusje natury taktycznej o tym, kiedy przystąpić do finalnego uderzenia i co powinno być jego celem – czy rozpisane na lata „pogłębianie integracji", czy może jednorazowe, szybkie połknięcie sąsiada. Co tak rozsierdziło Rosjan?

AMERYKAŃSKA OFERTA?

Wydaje się, że wizyta amerykańskiego sekretarza stanu. „Wielki skandal wywołali – grzmiał w swoim wystąpieniu Łukaszenka, adresując swoje słowa pod adresem kremlowskich urzędników – ach, przyjechał sekretarz stanu, a sami wytrwale starają się pocałować z Amerykanami". Ale nie o gesty, wydaje się, tu chodzi, ale o tajemniczą dwugodzinną rozmowę Mike'a Pompeo z Aleksandrem Łukaszenką, w trakcie której białoruski prezydent miał ponoć otrzymać specjalny list od prezydenta Trumpa. Jeden z szeroko kolportowanych w Moskwie, pochodzących ponoć z Kremla, przecieków zawiera nawet listę amerykańskich propozycji pod adresem Mińska. Są one niczym innym, jak planem przeciągnięcia Białorusi na stronę Zachodu. Najpierw szybko mają zostać przywrócone relacje na szczeblu ambasadorów, co zresztą Pompeo już

eprasa.pl 4380405d25

zapowiedział, następnie Białoruś w różnej formie ma otrzymać 25 mld dol. pomocy po to, by jej wola oporu wobec rosyjskiego dyktatu wzrosła, a równolegle, ale szybko, bo cały scenariusz rozpisany jest na cztery–pięć lat, nasz wschodni sąsiad ma zostać przyjęty do Światowej Organizacji Handlu, a nawet do Unii Europejskiej i NATO. Nawet jeśli te rewelacje uznamy za wytwór fantazji jednego z anonimowych autorów piszących na platformie Telegram, to można ten opis uznać za projekcję rosyjskich lęków i obaw. A to one, nawet bardziej niż realne posunięcia, mogą pchnąć Kreml do działania.

Tym bardziej że nie brakuje dowodów na to, iż Stany Zjednoczone są zainteresowane wzmocnieniem białoruskiej niepodległości, co zresztą wprost oświadczył w Mińsku amerykański sekretarz stanu. Z rosyjskiej perspektywy znacznie groźniej brzmią nie deklaracje o możliwości zaopatrzenia Mińska w amerykańską ropę naftową nawet w skali pokrywającej 100 proc. zapotrzebowania kraju, bo w Moskwie doskonale zdają sobie sprawę z tego, iż brakuje technicznych możliwości dostarczenia milionów ton ropy, lecz inne wypowiedzi, które u nas przeszły niemal niezauważone, a na Kremlu mogły zapalić lampki ostrzegawcze.

> Ponoć na Kremlu zapadła już decyzja o „odstrzeleniu" Łukaszenki, z którym nie można się porozumieć. Trwają jedynie dyskusje natury taktycznej, kiedy przystąpić do finalnego uderzenia i co powinno być jego celem – czy rozpisane na lata „pogłębianie integracji", czy może jednorazowe, szybkie połknięcie sąsiada

BIAŁORUSKA KONTRAKCJA

Chodzi o słowa Łukaszenki, który potwierdził współpracę jego służb specjalnych z amerykańskimi, mówiąc, że kooperował z Mike'em Pompeo, zanim ten stanął na czele Departamentu Stanu, a trzeba pamiętać, że wcześniej był szefem CIA. W ostatnich tygodniach miało miejsce kilka wydarzeń mogących świadczyć nie tylko o tym, że współpraca trwa, ale również, iż ma na celu powstrzymywanie działań Rosji wymierzonych w białoruską niezależność. I tak 15 października w Mińsku zatrzymano obywatelkę Federacji Rosyjskiej Annę Bogaczewą. Początkowo rzeczniczka prezydenta Białorusi kwestionowała sam ten fakt, ale wkrótce odniósł się do niego Łukaszenka, mówiąc, że zwolniona już Rosjanka znajdowała się na liście osób objętych amerykańskimi sankcjami, w związku z tym, zgodnie z procedurami właściwe służby musiały ją zatrzymać. Już tego rodzaju wyjaśnienia zostały uznane za sensację, bo po raz pierwszy Białoruś podjęła jakiekolwiek kroki w związku z amerykańskimi postulatami, co uznane zostało wówczas za istotny symbol i być może sygnał wysłany z Mińska do Moskwy. Zrobiło się jeszcze ciekawiej, kiedy rosyjskie media ujawniły, że Bogaczewa to nie kto inny jak Anna Trigga, jedna z osób tworzących nacjonalistyczną i wzywająca do wielkoruskiego imperializmu organizację Rosyjski Obraz oraz wydającą popularny w latach 2003–2009 periodyk pod tą samą nazwą. Warto dodać, że zarówno sama organizacja (z którą związana była też aresztowana w Stanach Zjednoczonych pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Rosji Maria Butina), jak i wydawany przez nią periodyk były ostro nacjonalistyczne i najprawdopodobniej kontrolowane przez rosyjskie służby specjalne. Bogaczewa wkrótce po formalnej likwidacji organizacji znalazła się w założonej przez Prigożina fabryce trolli Olgino i w związku z tą działalnością trafiła na amerykańską czarną listę. Jednak na Białorusi zastanawiają się, w jakim celu rosyjska specjalistka od dezinformacji pojawiła się w Mińsku, zwłaszcza że z dostępnych informacji wynika, iż poprzednio organizowała tu „szkolenia młodzieży".

Kilkanaście dni wcześniej o opuszczenie Białorusi poproszony został attaché wojskowy rosyjskiej ambasady Roman Spiridonow. Rosjanie oficjalnie twierdzili, że zakończył on swą misję, ale jej charakter, zważywszy na przeszłość rosyjskiego „dyplomaty", nie budził raczej wątpliwości. Ten oficer wywiadu rosyjskiego, wcześniej walczący m.in. na wojnie w Czeczenii, wywołał skandal w czasie swojego pobytu we Francji ożywionymi kontaktami z formacją Marine Le Pen. Innym „dyplomatą", który w tym samym czasie został zmuszony do opuszczenia Mińska, był Andriej Klincewicz, syn znanego ze swoich wojowniczych wystąpień rosyjskiego senatora, pochodzącego zresztą z Białorusi Franca Klincewicza. Obaj panowie, ojciec w większym stopniu, ale syn też, byli aktywni na Ukrainie przed 2014 r. Wsławili się swoją działalnością na Krymie przed rosyjską aneksją. Obaj dostali za swoje zasługi od Putina dyplomy uznania. Na Kremlu doceniono ich wkład



eprasa.pl 4380405d25

w „rosyjską wiosnę". Młody Klincewicz był też osobą, która nadzorowała w Jednej Rosji młodzieżowe kluby patriotyczne Młodej Gwardii i zanim jeszcze „poszedł w dyplomaty", przyjeżdżał na Białoruś i wizytował szkoły kadetów. Trzeba też pamiętać, że młody Klincewicz jest oficerem specnazu. Tych „dyplomatów" wsławionych na Ukrainie przed wybuchem wojny z Rosją w rosyjskiej ambasadzie w Mińsku pojawiło się za czasów Andrieja Babicza, byłego już ambasadora Rosji, a dziś ministra, jednego z głównych odpowiedzialnych za politykę Moskwy wobec Białorusi, spore grono.

Nie mniej istotne, a w Rosji przyjmowane z nieskrywaną irytacją, są inne podejmowane przez Stany Zjednoczone i państwa regionu, działania na rzecz wzmocnienia woli oporu Mińska. I to jednocześnie w dwóch newralgicznych obszarach – pamięci historycznej oraz gospodarki. Uroczyste, organizowane cztery dni po wyjeździe Mike'a Pompeo z Mińska przez tamtejsze władze obchody rocznicy urodzin Tadeusza Kościuszki stały się okazją nie tylko do przypomnienia wspólnego polsko-litewsko-białoruskiego dziedzictwa, ale również do podkreślenia przez amerykańską dyplomację związków Białorusi ze Stanami Zjednoczonymi. Tak! W specjalnym, zarejestrowanym w trakcie pobytu w Mińsku wideowystąpieniu amerykański sekretarz stanu, mówiąc o Kościuszce, podkreślał, że jest to wspólny, polski, amerykański, lecz również białoruski, bohater wolności.

LITEWSKI PLAN

Ale znacznie istotniejsze było to, co stało się w połowie minionego tygodnia. Do Mińska przyjechał litewski minister spraw zagranicznych Linas Linkevičius, który na zakończenie wizyty powiedział, że Wilno „jest gotowe przystąpić do stworzenia planu mającego na celu załagodzenie rozbieżności między oboma krajami". W praktyce chodzi o wycofanie sprzeciwu Litwy wobec uruchomienia białoruskiej elektrowni jądrowej w Ostrowcu. Ten projekt z punktu samodzielności gospodarczej Mińska ma fundamentalne znaczenie, bo nadwyżki mocy Białoruś mogłaby eksportować do krajów ościennych. Mogłaby, ale dziś zawieranie umów blokują Litwini, którzy – mając zastrzeżenia do bezpieczeństwa inwestycji – nie chcą udzielić zgody na wykorzystywanie swojego systemu przesyłowego. A bez tego eksport energii z Białorusi nie jest możliwy. Zdjęcie tych ograniczeń mogłoby dać Mińskowi tak potrzebny tam strumień dolarów, co pozwoliłoby wzmocnić wolę oporu wobec dyktatu Moskwy.

Jak informuje „Foreign Policy", najbardziej prawdopodobną kandydaturą na ambasadora Stanów Zjednoczonych na Białorusi jest Julie Fisher, która wcześniej pracowała w amerykańskich placówkach w Moskwie, na Ukrainie i w Gruzji, ale również, na co warto zwrócić uwagę, była zastępcą przedstawiciela USA przy NATO. Jest zatem nie tylko dyplomatą dobrze zorientowanym w realiach regionu, lecz również mającym spore doświadczenie w kwestiach wojskowych. A to by wskazywało, że rywalizacja między Rosją a Stanami Zjednoczonymi o przyszłość Białorusi wchodzi właśnie w decydującą fazę. Przy czym Amerykanie mają paradoksalnie lepszą pozycję, bo chcą, jak otwarcie powiedział w Mińsku Mike Pompeo, aby „Białoruś obroniła swą niepodległość".



eprasa.pl 4380405d25



Fot. Andrzej Wiktor

Naszym zyskiem jest rozwój kraju

Rolą BGK jest współudział w przedsięwzięciach strategicznych dla państwa z perspektywy rozwoju gospodarczego. Nasza obecność w projekcie oznacza, że jest on po pierwsze, ważny dla państwa, a po drugie, poważny i pewny

Jacek Karnowski rozmawia z Beatą Daszyńską-Muzyczką, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego

Zacznijmy tę rozmowę od podstaw, czyli od pytania: po co Polsce w ogóle Bank Gospodarstwa Krajowego? Bank, dodajmy, dość szczególny.

Beata Daszyńska-Muzyczka: To ważne pytanie, sama często je zadaję menedżerom i pracownikom. Po co jesteśmy? Jeżeli mielibyśmy zastępować jakikolwiek bank komercyjny, to nasze istnienie nie miałoby sensu. Naszą misją jest wspieranie rozwoju społeczno-gospodarczego kraju. Zwykłych banków jest w Polsce wystarczająco wiele i radzą sobie dobrze. My nie powinniśmy konkurować z tymi bankami.

Czyli kredyty mieszkaniowe i karty kredytowe to nie jest wasza przestrzeń?

Tak. Jesteśmy bankiem rozwoju. My mamy tworzyć centrum współpracy w sektorze bankowym. Dzięki naszym systemowym rozwiązaniom finansowym, dzięki tworzonym przez nas narzędziom banki komercyjne mogą oferować lepsze rozwiązania przedsiębiorcom. Banki rozwoju działają na drugiej linii, one nie walczą o klienta. Gdy zostawałam prezesem BGK trzy lata temu, moi koledzy – bo mam głównie kolegów – z innych banków pytali z pewnym niepokojem: „To co, Beata, teraz będziesz z nami jeszcze bardziej konkurować?”.

eprasa.pl 4380405d25

I co pani odpowiedziała?

Odpowiedziałam, że będziemy zdobywali rynek, ale nie po to, by z nimi konkurować. Nie chcemy zabierać klientów bankom komercyjnym. Chcemy pracować razem z bankami nad jeszcze lepszą ofertą dla przedsiębiorców. Program „Gwarancje de minimis" jest tego najlepszym przykładem. Korzysta z niego już ponad 170 tys. mikro- i małych przedsiębiorstw; daliśmy gwarancje na ogólną sumę ok. 70 mld zł, co z kolei umożliwiło udzielenie kredytów na kwotę 170 mld zł. To jest ogromny zastrzyk pieniędzy, który napędza gospodarkę, a współpraca z 20 bankami pokazuje, że razem możemy lepiej docierać do biznesu.

Jesteście też ramieniem państwa polskiego. Waszym zadaniem jest animować poszczególne działy gospodarki, inwestować w ciekawe nisze, czasem coś ratować. Bez tego żadne państwo nie pójdzie do przodu. Dziś już wiemy, że nie wystarczy ciężej pracować, by dojść do dobrobytu.

Ciekawy jest przykład Wielkiej Brytanii, która, przygotowując się do brexitu, zorientowała się, że nie ma własnego banku rozwoju. W zupełnie innym miejscu jest Korea Południowa, której bank rozwoju bardzo pomaga słynnym czebolom w rozwijaniu kolejnych gałęzi gospodarki. Działa tak śmiało, że potrafi jednego roku zanotować miliard dolarów zysku, a w roku kolejnym – miliard straty. W przypadku Banku Gospodarstwa Krajowego zysk nie jest najważniejszy. Dobrze jeśli jest, bo stabilizuje sytuację, ale nie powinien być na pierwszym planie. Ważniejsze są rozwój gospodarczy, poprawa jakości życia Polaków, ekspansja i rozwój poszczególnych gałęzi gospodarki.

Jeden z przedwojennych prezesów BGK powiedział: „Nasz bank nie goni za zyskiem. Naszym zyskiem jest rozwój Rzeczypospolitej". To zdanie aktualne i dziś?

Naszym zyskiem był i jest ogólny postęp i rozwój kraju. Obchodziliśmy w ubiegłym roku 95. urodziny, ale najpiękniejsze lata banku to okres powojenny. To także dzięki BGK budowano Gdynię czy Centralny Okręg Przemysłowy. Mieliśmy wówczas udziały w wielu przedsiębiorstwach przemysłowych. Niestety, nie wiemy nawet, ile dokładnie i w których, ponieważ wiele dokumentów zaginęło w czasie II wojny światowej. BGK finansował także budowę Żoliborza oficerskiego czy osiedla na warszawskim Kole. Mieliśmy wówczas jako bank inną strukturę, dzięki zaangażowaniu środków prywatnych mogliśmy inwestować i mieć udziały w wielu firmach. Ten rozwój został drastycznie przerwany przez wojnę.

Bank zdołano jednak ewakuować na zachód, poprzez Rumunię.

Wszystkie skarby złożone przez Bibliotekę Narodową i inne instytucje oraz sporo papierów wartościowych rzeczywiście zdołano wywieźć. Wróciły one do kraju na przełomie lat 50. i 60. To była jednak kropla w porównaniu z tym, co zniszczyła wojna. Później pół wieku komuny też zrobiło swoje, zwłaszcza w sensie mentalnym. Ten okres nie tylko niszczył nas gospodarczo, on także niszczył nasze społeczeństwo. Myślenie bardzo wielu ludzi zostało przeformatowane, ludzie nauczyli się, że lepiej się nie wychylać. PRL zabijała w nas, Polakach, także dumę.

Jakim cudem BGK przetrwał PRL?

Bank w tym okresie był potrzebny do rozliczania niektórych zobowiązań wojennych, także zadłużenia, choć w pewnym momencie cały bank to były dwa stanowiska w Ministerstwie Finansów. Na szczęście nigdy nie został rozwiązany. Dziś w BGK pracuje 1,7 tys. osób. Rośniemy wraz z polską gospodarką i to jest dla nas wielki powód do radości.

Mówiliśmy wcześniej o wspieraniu gospodarki. Jest jednak prawdą, że publiczne pieniądze wydaje się łatwiej, czasem mniej ostrożnie. Jak wspierać firmy, rynek i nie gubić pieniędzy?

Bank finansuje działalność z dwóch źródeł. Pierwsze to publiczne pieniądze, z których realizujemy zadania zlecone przez ministerstwa. To są tzw. fundusze przepływowe: drogowe, kolejowe, wsparcia dla osób z kredytami mieszkaniowymi. Drugie źródło to kapitały własne – z nich bank prowadzi działalność na warunkach rynkowych, na własne ryzyko, z odpowiedzialnością zarządu za wszystkie podejmowane decyzje, zgodnie z prawem bankowym. Mamy jednak inną rolę i inną pozycję na rynku niż banki komercyjne, np. wyższe limity koncentracji i brak podatku bankowego. Stanowimy ważny systemowo bank, jesteśmy uzupełnieniem banków komercyjnych i razem z nimi tworzymy ekosystem wsparcia przedsiębiorców.

Co oznacza, że dajecie wysoki procent?

Nie działamy w ten sposób, bo to byłoby działanie na szkodę całego systemu bankowego w Polsce.

Co dalej? Jakie są plany BGK?

Chcemy nieco zmienić nasz model biznesowy. Musimy dokładnie zdefiniować obszary, w których chcemy mocniej zaistnieć. Robimy przegląd sektorowy i regionalny naszej działalności. Patrzymy pod kątem strategii zrównoważonego rozwoju, a to wymaga uspójnienia różnych działań, współpracy z urzędami marszałkowskimi. Każdy region powinien mieć swoją własną strategię, zależną od tego, czy jest to region rolniczy czy przemysłowy. Trwa praca nad kolejnym etapem przeglądu wyzwań z planu Morawieckiego. Takie prace prowadzą też urzędy marszałkowskie, z którymi wspólnie opracowujemy strategie regionalne.

Wspomniała pani o wielkich projektach II Rzeczypospolitej, o Gdyni czy COP. Czy nasze obecne państwo dojrzało już do tego, by znów budować wielkie rzeczy? Jest przykład Mierzei Wiślanej, który pokazuje, że można, i są ambitne plany dotyczące CPK. Chyba jednak wciąż nam daleko do śmiałej kreski II RP?

W porównaniu okresu przedwojennego z obecnym jedna różnica wybija się na pierwszy plan: sprawność podejmowania decyzji. Jak to było z Gdynią?

eprasa.pl 4380405d25

Zaczęło się od jednej kartki z nominacją osoby odpowiedzialnej, jasno określonym zadaniem i budżetem. Czy dziś możemy sobie wyobrazić taki sposób działania? Oczywiście nie. Dziś jesteśmy inaczej uwarunkowani.

Krępują nas unijne przepisy?

To w dużej mierze wynik rozwoju demokracji. Społeczeństwo chce uczestniczyć przy podejmowaniu decyzji, także tych gospodarczych. I to dobrze. Rozpoczęta przez premiera Morawieckiego wielka praca nad uszczelnieniem podatków: mocnym zredukowaniem luki VAT, uszczelnieniem CIT, przyczynia się do budowania świadomości nt. budżetu państwa i udziału w nim podatników. Minister finansów Tadeusz Kościński ma świetny pomysł, by pokazywać konkretnie, ile poprzez podatki każdy z nas przekazał na służbę zdrowia, na edukację czy na wojsko. Powinniśmy rozumieć, że budżet państwa to nie jest coś oderwanego od życia każdego z nas.

Jeśli rozwijamy takie myślenie, to musimy mieć także świadomość, że każda niegospodarność boli podwójnie.

Z pewnością tak jest. Pamiętajmy jednak, że nie ma państwa, które nie popełniałoby błędów. Także w prywatnym biznesie zdarzają się, i to często, błędne decyzje. Państwo jest potężnym przedsiębiorstwem. I tylko ono jest w stanie zbudować coś tak kluczowego jak Centralny Port Komunikacyjny. Nie chodzi tylko o port lotniczy – to ma być cały system nowych połączeń komunikacyjnych, który wpłynie na Polskę i na całą Europę Środkowo-Wschodnią. Rolą BGK jest współudział w przedsięwzięciach strategicznych dla państwa z perspektywy rozwoju gospodarczego. Nasza obecność w projekcie oznacza, że jest on po pierwsze ważny dla państwa, a po drugie poważny i pewny.

Przy wielkich projektach jest ryzyko zmiany politycznej. Czy CPK da się zbudować bez zgody opozycji, której pierwszym odruchem będzie pewnie rezygnacja z tego, co zaplanowali poprzednicy?

Uważam, że budowa samego lotniska nie powinna być aż tak dużym wyzwaniem. Najtrudniejsze będzie zaplanowanie dobrych połączeń logistycznych, czyli torów i dróg, całego złożonego hubu logistycznego mającego pełną funkcjonalność operacyjną.

> Fundusz Trójmorza to pomysł i inicjatywa BGK. Będziemy finansować projekty na osi północ–południe w trzech obszarach infrastrukturalnych: transportowym, energetycznym i cyfrowym

Wróćmy do spraw bankowych. Jak pani prezes ocenia polski sektor bankowy? Repolonizacja w jakiejś mierze się dokonała, mamy już ponad połowę kapitału polskiego. Czy to model docelowy?

Rację ma premier Morawiecki, który powtarza, że kapitał ma narodowość. Jeśli centrala jakiegoś banku z kapitałem zagranicznym podejmie decyzję, że nie finansuje jakiegoś sektora, to nie finansuje go we wszystkich krajach, w których prowadzi działalność. To groźne zwłaszcza w czasach kryzysu. Na szczęście Polska dziś ma dużo większą możliwość samodzielnego decydowania o tym, jak chce rozwijać swoją gospodarkę. Poprzez budowanie dyplomacji gospodarczej oraz relacji z inwestorami może rozwijać inwestycje w Polsce i zachęcać do nich.

Czy powinniśmy zatem dążyć do 100 proc. polskiego kapitału w bankach?

Wciąż potrzebujemy kapitału z zewnątrz, choć rzecz jasna mądrze pozyskiwanego i mądrze zagospodarowanego.

BGK jest też zaangażowany w Fundusz Trójmorza. Jeśli dobrze rozumiem, za pomocą tego narzędzia państwo polskie chce wzmacniać współpracę regionalną?

Fundusz Trójmorza to pomysł i inicjatywa BGK. Inspiracją był dla nas szczyt Trójmorza w Warszawie i podjęcie współpracy przez 12 państw regionu. Fundusz Trójmorza jest funduszem inwestycyjnym, działającym na zasadach rynkowych, komercyjnych, czyli inwestuje środki prywatne w inwestycje przynoszące zwrot. Pieniądze, które BGK angażuje do Funduszu, nie pochodzą z budżetu państwa. To są pieniądze naszego banku, z kapitałów własnych, o których inwestowaniu decyduje zarząd banku na ryzyko własne, tzn. ponosi za to odpowiedzialność. Takie zaangażowanie mamy również w dwóch innych funduszach międzynarodowych wspólnie z pięcioma bankami rozwoju z Europy. Inne kraje angażują swoje środki do Funduszu w różny sposób, np. poprzez banki lub agencje rozwoju. Trzeba jednak zaznaczyć, że są to instytucje dużo mniejsze, co sprawia, że nie jest to przedsięwzięcie łatwe. Pracujemy wspólnie z kolegami z innych banków rozwoju w naszym regionie, co znacząco wpływa na poprawę współpracy i zrozumienie potrzeb tej części Europy.

Czy w regionie tylko Polska ma realne pieniądze?

Inne państwa w regionie Trójmorza nie mają tak dużego banku rozwoju jak BGK. My zadeklarowaliśmy swój udział do poziomu 500 mln euro, inne państwa myślą o kwotach znacznie niższych, o 20 czy 50 mln euro. Poprzez Fundusz chcemy pozyskać kapitał spoza regionu. Już dziś wiemy, że to atrakcyjna propozycja dla inwestorów z Azji, Australii czy USA.

Jaka jest idea Funduszu Trójmorza?

Fundusz Trójmorza ma inwestować w infrastrukturę na osi północ–południe.

eprasa.pl 4380405d25

Kapitał pochodzący z Funduszu ma wzmacniać, uzupełniać i mobilizować środki publiczne i środki europejskie. Nasz Fundusz będzie prowadzony na zasadach rynkowych, komercyjnych, tak jak inne fundusze inwestycyjne. Będziemy finansować projekty w trzech obszarach infrastrukturalnych: transportowym, energetycznym i cyfrowym.

Czyli jeśli ktoś będzie chciał zbudować np. łącznik drogowy czy kolejowy w regionie, to Fundusz pożyczy mu pieniądze albo przejmie udziały?

Tak, ale warunkiem jest, aby projekt inwestycyjny generował zysk, który przyniesie inwestorom zwrot z kapitału w wysokości właściwej dla funduszy infrastrukturalnych inwestujących długoterminowo, czyli 7–8 proc. lub wyżej. Infrastrukturalne potrzeby naszego regionu są tak wielkie, że nawet gdyby to było 5 proc., to i tak byłabym usatysfakcjonowana. W sumie chcemy zebrać w Funduszu ok. 5 mld euro, a łączne potrzeby infrastruktury transportowej, energetycznej i cyfrowej są szacowane na 570 mld euro. Tyle musielibyśmy wydać w regionie Trójmorza, gdybyśmy chcieli dogonić Europę Zachodnią.

Czyli kropla w morzu potrzeb.

Tak, ale w połączeniu ze środkami unijnymi i publicznymi możemy stworzyć wehikuł, który będzie już coś znaczył. To doskonała okazja dla projektów PPP czy montażu finansowego w projektach transgranicznych.

Czy same fundusze unijne nie wystarczą? Czy ich logika sprawia, że potrzeby na osi północ–południe są pomijane?

Projekt Unii Europejskiej w sensie gospodarczym jest bardzo dobrze pomyślany; żadne z państw naszego regionu nie powie, że wejście do UE było błędem. Bez Unii podniesienie się z komunizmu trwałoby znacznie dłużej. W pierwszym etapie po rozszerzeniu byliśmy jednak doskonałym rynkiem zbytu oraz źródłem wysoko wykwalifikowanej siły roboczej. Na Zachód wyjechała ogromna liczba lekarzy, inżynierów, informatyków. To wszystko kosztowało nas bardzo dużo. Sprawiło, że teraz musimy rozwijać się bardzo szybko i Fundusz Trójmorza z pewnością może w tym pomóc. Fundusze europejskie są ważne, ale to wciąż za mało.

Zachodnie centra polityczne nie bardzo jednak lubią, gdy kraje regionu próbują budować jakąś podmiotowość. Tego typu inicjatywy są często albo ignorowane, albo wyśmiewane, albo rozbijane. Powołanie Funduszu Trójmorza z pewnością musiało niektóre kręgi zaniepokoić.

Myślę, że nawet bardzo. Fundusz Trójmorza spotkał się z tak licznymi i tak mocnymi atakami, że nie mam wątpliwości, że to ważna sprawa. Mocno to odczuliśmy przez ostatnie półtora roku. Uruchomiono wszelkie możliwe siły. Jednocześnie, jeżdżąc po regionie, przekonaliśmy się, że jest bardzo silna potrzeba współpracy regionalnej. Średnia frekwencja na naszych spotkaniach to co miesiąc osiem–dziewięć państw. Wiemy, że w ten sposób budujemy wspólny głos na rzecz interesów krajów w regionie Trójmorza.

Nie zastraszą tych krajów?

Trudno to ocenić w kategoriach straszenia. Od początku pracujemy bardzo ciężko, organizując spotkania we wszystkich krajach Trójmorza. Na 18 spotkań tylko dwa odbyły się w Polsce, ponieważ nam nie chodzi o przedsięwzięcie polskocentryczne. Chodzi nam o współpracę ze wszystkimi państwami w regionie. Rozumiemy też, że niektórzy potrzebują więcej czasu. Dziś w Funduszu jest dwóch inwestorów: polski BGK i rumuński EximBank, a w radzie nadzorczej Funduszu są już dwa inne kraje: Czechy i Łotwa. Inni się przygotowują do przystąpienia albo analizują swoje możliwości.

Często słychać głosy, że idea Trójmorza nie znajduje takiego odzewu w regionie, na jaki liczyliśmy. Jaka jest pani ocena?

Odzew jest naprawdę duży. Teraz najważniejsze jest przejście z poziomu prezydenckiego na poziom rządowy, ministerialny, na poziom instytucji finansowych, a także na poziom koordynacji potrzeb infrastrukturalnych poszczególnych państw. Moim marzeniem są nowe połączenia kolejowe cargo, które zepną porty mórz Czarnego, Adriatyckiego i Bałtyckiego z nowymi centrami logistycznymi, a wszystko z wykorzystaniem np. lokomotyw wodorowych. Dzięki temu cały region zyskałby bardzo ważną infrastrukturę strategiczną. To jest ważne przedsięwzięcie i dziś wiem, że dzięki wspólnemu działaniu mamy mocny głos na rzecz rozwoju regionu.

Co zrobić z polską energetyką? Presja – coraz bardziej ideologiczna – na rezygnację z węgla będzie rosła.

Ważne są farmy wiatrowe, bardzo ważna jest fotowoltaika, przyszłością jest z pewnością wodór. Być może potrzebujemy także elektrowni jądrowych, aby lepiej budować bezpieczeństwo energetyczne Polski.

Rozmawiamy w pięknej, historycznej siedzibie BGK na rogu Nowego Światu i Alej Jerozolimskich, w której można by nakręcić „Vabank 3". Wiemy, że będzie remontowany.

Nasza główna siedziba to rzeczywiście perła modernizmu, która zasługuje na gruntowny remont. Trzeba już wymienić np. instalacje, odnowić fasadę. Chcemy na 100. urodziny w 2024 r. wrócić do odnowionej siedziby, w której na parterze marzą mi się piękne sale konferencyjne służące nie tylko nam. Historyczny budynek przy Alejach Jerozolimskich to jeden z pomników niepodległości, cudownie odzyskanej. Jako prawnuczce Ignacego Daszyńskiego zależy mi szczególnie, by to, co nasi dziadowie wywalczyli i zbudowali, nie zginęło, by odzyskiwało świetność, podkreślało historię i pokazywało nowoczesność.

eprasa.pl 4380405d25



Polska kolej przyspiesza

Trwa intensywny rozwój polskich kolei, ale potrzebna jest kontynuacja walki z wykluczeniem komunikacyjnym i budowanie nowych połączeń tam, gdzie są potrzebne – mówił prezydent Andrzej Duda, inaugurując II edycję Kongresu Rozwoju Kolei. Jak przyznał prezydent, kolej jest jedną ze strategicznych gałęzi państwa, zarówno pod względem gospodarczym, jak i militarnym, która po 1989 r. była w głębokim regresie. Dzięki nowej strategii i inwestycjom w ostatnich latach spółki PKP odwróciły ten trend. – Mam nadzieję, że kolej będzie „nabierała prędkości" i przez najbliższe dziesięciolecia nikt nie zdoła tego pociągu wyhamować – powiedział prezydent Duda

Motorem do rozwoju gospodarki pozostaje komunikacja. Mamy całkiem dobre połączenia Wschód–Zachód. Zadaniem jest dla nas rozbudowa połączeń Północ–Południe w rejonie Trójmorza. Mamy wielką ambicję rozbudować porty morskie i stać się europejskim hubem transportowym. Perspektywy rozwoju kolei wydają się obiecujące – mówił prezydent RP.

INWESTYCJE

– To drugi kongres rozwoju polskich kolei. Wobec tego, że jeszcze nasi poprzednicy realizowali plan zwijania polskich kolei, przynajmniej ich części, to kongres ten plasuje nas wśród tych, którzy odbudowują polską kolej, którzy przekonują Polaków do korzystania z kolei, walczą z wykluczeniem komunikacyjnym – mówił tuż przed inauguracją corocznego spotkania branży kolejowej minister infrastruktury Andrzej Adamczyk.

Minister infrastruktury Andrzej Adamczyk przedstawił cele, jakie są stawiane przed polskim rynkiem kolejowym w najbliższych latach. Wśród nich wymienił m.in. modernizację taboru, infrastruktury, dworców kolejowych, a także przebudowę szlaków kolejowych włącznie z tzw. ostatnią milą, czyli zagwarantowaniem wygodnego dostępu transportu kolejowego do portów morskich. Wspomniał również o zabezpieczeniu szlaków kolejowych przed likwidacją w ramach walki z wykluczeniem transportowym różnych regionów kraju.

– Realizacja tak dużych i ambitnych planów budzi oczywisty niepokój, ale to jest dobry niepokój. Idziemy w wyznaczonym rytmie – zaznaczył minister Adamczyk.

O inwestycjach mówił też prezes zarządu PKP SA Krzysztof Mamiński, który w udzielonym tygodnikowi „Sieci" wywiadzie podsumowywał przed Kongresem dotychczasowe realizacje i planowane działania w ramach Programu Inwestycji Dworcowych.

– To jest zmiana wizerunku polskich kolei. Pamiętamy, że pierwszy kontakt z PKP to właśnie dworzec, dlatego zależy nam na tych inwestycjach tak bardzo. To 200 dworców w planie inwestycji dworcowych do 2023 r., ale mamy już wytypowanych kolejnych 150 obiektów do przebudowy w przyszłości. Aktualnie 120 inwestycji jest „w produkcji" – na etapie projektowania albo w trakcie budowy. Kilkanaście dworców zostało już oddanych. Zakładamy budowę 40 innowacyjnych dworców modułowych

eprasa.pl 4380405d25

– z ekologicznymi pompami ciepła, panelami fotowoltaicznymi, odzyskiwaniem wody deszczowej. A przy wszystkich dworcach parkingi, miejsca dla rowerów i usługi carsharingowe pod brandem PKP Mobility – mówił prezes Mamiński.

KOLEJ PLUS

Obecne inwestycje realizowane w ramach Grupy PKP odgrywają kluczową rolę w ramach rządowego programu na rzecz walki z wykluczeniem komunikacyjnym. Przywracane są połączenia kolejowe, modernizowane są linie kolejowe, stacje oraz dworce, nie tylko w dużych miastach, lecz i w mniejszych ośrodkach. Przykładem takich działań są inwestycje realizowane w ramach Programu Operacyjnego Polska Wschodnia. Uczestnicy Kongresu dyskutowali zatem także o zmianach dotyczących walki z wykluczeniem.

– Wykluczenie komunikacyjne to wykluczenie społeczne. Podział na „Polskę A" i „Polskę B" nadal istnieje. Dogęszczenie standardu kolejowego z „Polski B" jest bardzo ważne. Celem jest, aby w ramach realizowanych planów polska kolej była motorem zmian, by powodowała rozwój „Polski B", przez odwrócenie niedobrego trendu likwidacji i budowy poszczególnych odcinków, czy to przy okazji planów budowy CPK, czy innych – mówił Andrzej Bittel, sekretarz stanu, pełnomocnik rządu ds. przeciwdziałania wykluczeniu komunikacyjnemu w Ministerstwie Infrastruktury.

Nikt nie krył, że do wykluczenia komunikacyjnego i gospodarczego wielu rejonów Polski przyczynił się realizowany przez wiele lat plan likwidacji połączeń kolejowych, eufemicznie zwany optymalizacją.

– Dzięki takim programom jak Kolej+ to się zaczyna zmieniać. PKP SA aktywnie uczestniczą w programach wyrównywania szans Polaków. Dzięki temu, że majątek należący do PKP SA utrzymaliśmy, a nie rozprzedaliśmy, można dziś dość szybko ten ruch przywrócić – oceniał Krzysztof Golubiewski, członek zarządu Polskich Kolei Państwowych SA. – Udało się odwrócić szkodliwy trend. Zabroniono likwidacji linii kolejowych bez zgody ministra. Dzięki temu też PLK dziś mogą odbudowywać połączenia.

MODERNIZACJA

Ireneusz Merchel, prezes zarządu PKP Polskich Linii Kolejowych SA, zwrócił uwagę na modernizację linii kolejowych w obrębie aglomeracji. Przypomniał, że dzięki nowym parkingom i bliskości stacji i budowaniu nowych przystanków, można płynnie zmienić środek transportu na bardziej ekologiczny – kolej. Merchel poinformował też, że w ramach programu Kolej+ zostanie rozbudowana siatka połączeń oraz przystanków.

– Musimy też podnieść prędkość w ruchu towarowym. W tym celu poprawimy przepustowość portów morskich o 50 proc. w ciągu najbliższych dwóch lat – zapewnił Ireneusz Merchel.

Marek Chraniuk, prezes zarządu PKP Intercity SA, wskazywał na znaczące inwestycje w tabor i stacje postojowe. To właśnie zwiększa zainteresowanie koleją. Do początku 2020 r. spółka podpisała z polskimi producentami umowy o wartości blisko 4,3 mld zł na modernizację i zakup nowych wagonów oraz lokomotyw, które mogą się poruszać po torach z prędkością do 160 km/h.

– Wraz ze zmianą taboru podnosi się jakość podróżowania. Pociągi są nowoczesne, czyste, rośnie satysfakcja z podróży. Otrzymujemy coraz lepsze opinie od pasażerów, którzy mogą dotrzeć z nami do pracy, na wakacje czy imprezy masowe. Kolej daje pewność, że dojedziemy do celu. Ta przewidywalność wpływa m.in. na to, że rosną ceny gruntów w pobliżu tras kolejowych – wyliczał Marek Chraniuk.

CENTRALNY PORT KOMUNIKACYJNY

Dziejowa inwestycja Polski – planowana budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego – wyraźnie dominowała w większości paneli podczas kongresu. Powstanie nowej infrastruktury, rozwój transportu kolejowego i intermodalnego, współpraca z portami morskimi, aż po kooperację w rejonie państw Trójmorza i przy budowaniu nowego jedwabnego szlaku – wszystkie te tematy jak zaprezentowane przez premiera Mateusza Morawieckiego szprychy komunikacyjne zbiegały się właśnie wokół CPK.

– Przedstawiamy strategiczne studium lokalizacyjne dla 10 szprych i plan budowy 1,6 tys. km nowych linii kolejowych, które będą budowane w nowych technologiach, wyznaczą nowe szlaki komunikacyjne i w istotny sposób poprawią dostępność komunikacyjną. Jestem przekonany, że Centralny Port Komunikacyjny razem ze szprychami będzie prawdziwym kołem zamachowym dla polskiej gospodarki – powiedział premier Morawiecki, przedstawiając studium lokalizacyjne CPK.

W tym samym czasie PKP Cargo zmienią się w duży logistyczny hub. Spółka deklaruje, że do 2038 r. zamierza przejąć rolę narodowego operatora logistycznego. Doskonałą okazją ku temu są wspomniane już projekty Nowego Jedwabnego Szlaku i Trójmorza. Czesław Warsewicz, prezes PKP Cargo, przypomniał podczas kongresu, że te dwa korytarze logistyczne są ważnymi elementami uwzględnionymi w misji i wizji rozwoju polskiego transportu kolejowego.

– Widzimy, że przychody w związku z transportem intermodalnym mniej więcej od pięciu lat rosną dwucyfrowo. Podobnie jak w całej Europie. Są mniej narażone na wahanie się koniunktury. Gospodarka jest oparta na logistyce, która staje się kluczowym elementem konkurowania na rynku. Jeżeli chcemy być liderem w regionie, to bez sprawnego łańcucha logistyki nie jest to możliwe – mówił Czesław Warsewicz, prezes zarządu PKP Cargo.

Kongres Rozwoju Kolei to wydarzenie organizowane przez spółki Grupy PKP: PKP SA, PKP Polskie Linie Kolejowe SA, PKP Intercity SA oraz PKP Cargo SA. W debatach i panelach dyskusyjnych na Stadionie Narodowym w Warszawie uczestniczyli kolejarze, przedstawiciele spółek kolejowych, eksperci rynku transportowego i infrastruktury, a także premier Mateusz Morawiecki, ministrowie, posłowie, senatorowie, przedstawiciele samorządów, instytucji naukowych oraz świata biznesu.

(mac)

Fot. Andrzej Wiktor

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 73/0120/F

eprasa.pl 4380405d25

Słodycz z nutą pikanterii

W jej życiu miłość mieszała się z goryczą, a twórcze spełnienie z cierpieniem. Los okrutnie doświadczył Fridę Kahlo, a mimo to potrafiła intensywnie malować i kochać. Uczucia okazywała również poprzez potrawy, które przygotowywała ukochanemu mężczyźnie. Piszą o tym – a także pokazują w plastycznych aranżacjach – autorki książki „Nienasycone" (wyd. Dwie Siostry). Dwie artystki. Norweżka Marianne Pfeffer Gjengedal i Polka Klaudia Iga Peres.



„Gdy meksykańska malarka Frida Kahlo poślubiła muralistę Diego Riverę, pojęła, że sztuka kulinarna stanie się ważną częścią jej życia. Jeżeli Diego któregoś dnia miał wybuchowy nastrój, jego zły humor znikał, gdy ona stawiała przed nim pyszne tradycyjne dania – puszysty biały ryż, nadziewane papryczki chili, sos mole z rejonu Oaxaca i tequilę. Frida malowała rano, a potem zabierała się za szykowanie lunchu dla Diega. Zdarzało się, że artysta przerywał swoje zajęcia, żeby posilić się w domu, lecz często Frida przygotowywała koszyk z jedzeniem, który posyłała mu do pracy. Znajdowała się w nim niebieska śniadaniówka z trzema niedużymi daniami na ciepło, za którymi przepadał Diego, na niej zaś leżały świeże, aromatyczne tortille. Na wierzchu Frida układała owoce i kwiaty z własnej uprawy, a także piękne białe serwetki z kolorowymi haftami przedstawiającymi rośliny i ptaki. Czasami widniało na nich haftowane miłosne pozdrowienie, na przykład »Felicidades, mi amor« – »Gratulacje, kochany«".

Kulinarno-uczuciowy kod pary: Kahlo–Rivera, autorki poznały m.in. dzięki książce kucharskiej wydanej w 1994 r. przez córkę Diega z pierwszego małżeństwa. Pojawiają się tam opisy dań, które Frida przygotowywała dla ukochanego mężczyzny. Były to m.in.: „...chiles en frio na sposób wiejski, nadziewane drobno siekanym mięsem i skąpane w słodko-kwaśnym sosie z pomidorami i plasterkami cebuli, romeritos z krewetkowymi tortitas i marynowaną opuncją, albo podsmażoną gotowaną fasolę posypaną serem i ozdobioną chrupiącymi topotos".

Dla Gjengedal i Peres książka Guadalupe Rivery „Frida's Fiestas: Recipes and Reminiscences of Life with Frida Kahlo", czyli „Uczty Fridy: Przepisy i wspomnienia z życia z Fridą Kahlo", była niezwykle ciekawą lekturą. Wyzwaniem okazało się natomiast znalezienie ekwiwalentów dla oryginalnych składników, czyli tak istotnych w meksykańskiej kuchni licznych gatunków chili, lokalnych mlecznych przetworów i produktów z kukurydzy. Tymczasem założeniem autorek było zaadaptowanie przepisów w taki sposób, aby potrawy można było przygotować, robiąc zakupy w popularnych europejskich marketach.

Poza Fridą Kahlo album „Nienasycone" przynosi jeszcze 13 portretów, równie wyjątkowych i charyzmatycznych kobiet – od Marii Antoniny po Björk. Gjengedal i Peres nie tylko przywołują dania z nimi związane (sprawdzone przez siebie, czyli przygotowane własnoręcznie, sfotografowane i skonsumowane), lecz także wcielają się w opisywane postaci. W tym celu aranżują do fotograficznych sesji wnętrza, dbają o stroje i charakteryzację. Uzyskują dzięki temu pełnię portretowych „smaków". Fridą, na potrzeby albumu, stała się Marianne Pfeffer Gjengedal.

***Jolanta** Gajda-Zadworna*

Likier rodzynkowy



Tradycyjny likier serwowany w meksykańskich barach w towarzystwie słonych przekąsek.

Składniki: 100 g rodzynek, 100 g cukru, 150 ml wody, 250 ml brandy albo koniaku.

Rodzynki, cukier i wodę podgrzej na średnim ogniu. Mieszaj do rozpuszczenia cukru, wystudź i dodaj alkohol. Przelej likier do czystej karafki i odstaw na 14 dni w chłodne, ciemne miejsce. Podawaj zimny lub w temperaturze pokojowej.

eprasa.pl 4380405d25

SŁODKO-SŁONY

Chlebek mocy

ANNA MONICKA

Upiekłam w swoim życiu wiele chlebów, szukając smaków, które na zawsze zapisały się w mojej pamięci. Wzorcem doskonałym był bochenek z Dąbrówki w Katowicach (oczywiście u babci) oraz z Troszyna, małej miejscowości koło Wolina, gdzie jeździłam na wakacje do leśniczówki (tym razem do babci przyłatanej). U jednej i drugiej najlepsza była po prostu pajda z pachnącym masłem i pomidorem lub świeżym ogórkiem i cebulką. Na widok nowalijek te wspomnienia atakują szczególnie mocno. Zawód potem jest duży, bo nic nie smakuje jak kiedyś. Kolor jest zbliżony, ale smak tekturowy.

Ale ostatnio moja córka krzyknęła, że lepszej kanapki nie jadła. I nie była to pajda razowca, ale solidny plaster chlebka bananowego, który nie ma sobie równych w porze śniadaniowej. Upiekła nam go kiedyś do pracy koleżanka, której nawet nie podejrzewałyśmy o posiadanie formy na ciasto czy blachy. Okazało się, że i w jej przypadku potrzeba jest matką wynalazku, bo dużo ćwiczy i potrzebuje pożywnego, pełnowartościowego jedzenia, a nie białego klajstra, od którego rośnie brzuch. Zachwycona córka opanowała pieczenie tego chleba natychmiast. W jeden weekend upiekłyśmy trzy bochenki – z różnymi dodatkami – żeby doszła do wprawy. Sekret tkwi w dobrych, słodkich, przejrzałych bananach i daktylach, które dają wspaniały, głęboki smak i niesamowitego kopa energetycznego.



Dwie szklanki mąki orkiszowej trzeba wymieszać z pół łyżeczki sody i pół łyżeczki proszku do pieczenia. Trzy ładne banany rozgniatamy widelcem z mlekiem roślinnym (najlepiej owsianym), dużą łyżką oleju kokosowego (pół szklanki) i trzema łyżkami cukru kokosowego. Wciskamy sok z połówki cytryny – około łyżki. To ważne, bo pobudza wzrastanie ciężkiego ciasta. Podprażamy garść pekanów, siekamy je wraz z 5–6 daktylami, wszystko mieszamy i gęstą masę przekładamy do formy. Pieczemy w 180 st. około 40 min, sprawdzamy patyczkiem, czy ciasto już suche, ewentualnie dopiekamy. Polecam, zwłaszcza gdy dzieci coś trenują. Ten chlebek daje moc do ćwiczeń.

Fot. Shutterstock x2



WILCZYM OKIEM

Palma zła, palma dobra

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Choć w świecie zależności przyrodniczych nie da się zastosować kategorii etycznych, to na opisanie dwóch gatunków palm przychodzi mi do głowy jedno hasło: „palma zła i palma dobra".

To, że olejowiec gwinejski *Elaeis guineensis*, zwany palmą olejową, stał się tą złą palmą, jest zasługą wyłącznie człowieka. Na Borneo oraz wyspach Indonezji lasy pierwotne karczowane są pod ubogie przyrodniczo plantacje tej rośliny. Zachwiana przez ludzką butę i żądzę zysku bioróżnorodność spada na łeb, na szyję. Nosorożce sumatrzańskie, nosorożce jawajskie, orangutany tracą siedliska. Bez deszczowych lasów tropikalnych zwierzęta te nie mają szansy na życie. A co z setkami gatunków delikatnych orchidei, zachwycających raflezji, skrytych w runie widliczek i epifitycznych paprotników? Świat bez nich nie będzie taki sam. Tracimy pierwotne bogactwo zawsze zielonego, wilgotnego lasu równikowego.

Co więcej, tłuszcz z palm uprawianych na niszczących ekosystem plantacjach, choć przeznaczony do przemysłu spożywczego, jest niezdrowy. Zawiera nasycone kwasy tłuszczowe, w tym kwas palmitynowy, wywołujący w mózgach spożywających go zwierząt, w tym ludzi, ciekawe zjawisko. Sprawia, że człowiek staje się oporny na działanie hormonów regulujących apetyt – insulinę i leptynę. W efekcie czego nie otrzymuje od mózgu sygnału, że jest najedzony, przejada się, popada w otyłość.

Na drugim końcu konstrukcji logicznej jest palma moriche – *Mauritia flexuosa* – wzór ekologicznych cnót, symbol zrównoważonego gospodarowania. Rośnie w lasach Ameryki Południowej. Nie z plantacji, lecz z leśnej gęstwiny Indianie Siona, Maijuna, Secoya pozyskują smukłe rośliny. Palmy dostarczają ludziom owoców, z których powstają przetwory, desery i przekąski. Z kwiatów moriche powstaje wino palmowe. Z włókna kłodziny wyrabia się nici, z których tkane są hamaki, torby i nosidła. Pomarańczowo-czerwony olej zawiera wysokie stężenie zdrowego nienasyconego kwasu oleinowego, tego samego, który w oliwie z oliwek odpowiedzialny jest za jej cudowne właściwości.

Trudno jest wyżywić świat, gospodarując jak Indianie z Amazonii, łatwiej jak plantatorzy z Indonezji. Doszliśmy jednak do takiego momentu w rozwoju ludzkości, że musimy szukać sposobów bliskich naturze i rządzących się jej mechanizmami, inaczej spotka nas koniec.

eprasa.pl 4380405d25

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Nasza flota

„Teraz wolne przed nami światy i wolne kraje. Żeglarz polski będzie mógł dzisiaj wszędzie dotrzeć pod znakiem Białego Orła, cały świat stoi mu otworem” – oto pamiętne słowa gen. Józefa Hallera dokonującego 10 lutego 1920 r. aktu zaślubin Polski z morzem w Pucku. Generałowi rzucającemu w morze pierścień w dowód zaślubin towarzyszyła liczna delegacja Sejmu, rządu, w tym wicepremier Wincenty Witos, minister spraw wewnętrznych Stanisław Wojciechowski, wojewoda pomorski Maciej Rataj, kontradmirał Kazimierz Porębski, dyplomaci, liczni Kaszubi.

Od tego momentu rozpoczął się dla II Rzeczypospolitej piękny i heroiczny okres zagospodarowywania polskiej obecności nad Bałtykiem, budowa miasta, portu i bazy Marynarki Wojennej w Gdyni, obecności handlowej i pasażerskiej polskiej bandery w świecie. Ten krótki, 19-letni zaledwie czas, Polacy wykorzystali bardzo dobrze, a pomagała w tym wielka duma z posiadania polskiego morza i odzyskanej niepodległości. Do tamtej atmosfery, z nutką zazdrości, powracają chętnie ci, którym dziś towarzyszy troska o bezpieczeństwo morskie i interesy Polski na Bałtyku i w całym światowym obszarze morskim. Świat przecież już od 100 lat wciąż stoi przed nami otworem.

Spotkałem się w Gdańsku z dwoma współautorami powstałej trzy lata temu „Strategicznej koncepcji bezpieczeństwa morskiego RP”, opracowanej z inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy: komandorem Maciejem Janiakiem ze Stowarzyszenia Rada Budowy Okrętów i Szymonem Hatłasem z Akademii Sztuki Wojennej i Instytutu gen. Józefa Hallera. Z treścią „Strategicznej koncepcji” można się zapoznać na stronie internetowej BBN.

Szybkie wdrożenie niektórych elementów tej strategii mogłoby zastąpić utrzymującą się wciąż niekorzystną statyczną koncepcję bezpieczeństwa morskiego Polski nad Bałtykiem. Trzeba zmienić mylny obraz naszych sił morskich („by było tak, jak było”), gdyż zdaniem członków NATO: „w rejonie Morza Bałtyckiego sytuacja w zakresie bezpieczeństwa uległa pogorszeniu”. Ze strony Federacji Rosyjskiej postępuje militaryzacja regionu, nasila się tranzyt surowców energetycznych, rosną oczekiwania związane z bezpieczeństwem żeglugi i ochrony środowiska. Tymczasem potencjał Marynarki Wojennej RP nie jest adekwatny do postawionych zadań oraz akwenów. Do tych zadań należy m.in. ochrona mającego się rozbudowywać gazoportu LNG w Świnoujściu, naftoportu w Gdańsku, przyszłego szlaku podmorskiego gazociągu Baltic Pipe idącego z Norwegii i Danii i platform wydobywczych. Do tego dochodzą zadania wynikające z umów sojuszniczych nie tylko w akwenie Bałtyku. Autorzy „Strategii” widzą polską flotę wojenną zdolną także do wykonywania zadań sojuszniczych na innych akwenach, z dala od polskich wód terytorialnych. Flotę tę, średnią pod względem siły i potencjału, należałoby porównywać do marynarki wojennej Kanady, Holandii, Australii, Danii lub Norwegii. W tym celu potrzebne są nie korwety, ale większe, do 6,5 tys. ton, wielozadaniowe fregaty wyposażone w rakiety SM-1 o zasięgu ponad 40 km, dzięki którym mogą one także wzmocnić system obrony powietrznej RP.

Tymczasem flota nasza „wciąż nieduża” powinna mieć więcej niż dwie fregaty bojowe typu OHP, jedną korwetę i trzy małe okręty rakietowe czy pięć okrętów podwodnych, z których cztery typu kobben pochodzą z lat 1964–1967. „Marynarka wojenna nie może być zakładnikiem ograniczonych możliwości produkcyjnych polskich stoczni” – piszą autorzy „Strategii”. Marynarka wojenna musi mieć jednostki morskie potrzebne do ściśle określonych zdań operacyjnych, „a nie jedynie takie, które są obecnie w stanie produkować polskie stocznie”. Ta krytyczna opinia także nawiązuje do myślenia sprowadzającego się do tego, aby jedynie strzec „portów bram”.



Współczesne operacje sił morskich to także misje pokojowe, stabilizacyjne. Misje, które są częścią polityki państwa, jego dyplomacji, świadczące o pozycji gospodarczej państwa, w tym potencjale gospodarki. 90 proc. towarów na świecie transportowanych jest drogą morską, a 80 proc. ludzkości mieszka tuż przy brzegu mórz i oceanów. Porty Trójmiasta dysponują jednymi z największych na Bałtyku terminalami kontenerowymi. Polskie stocznie mogłyby dziś remontować największe statki, w tym budować dowolne okręty także wojenne, gdyby nie rządy spod znaku PO-PSL.

Rok 2020 to rok zaślubin Polski z morzem, tak zdecydował w październiku ub.r. Sejm. Jest ważny dokument, o którym wspominam, „Strategia bezpieczeństwa morskiego RP”. Powinien być przedyskutowany, być może uzupełniony, ale szybko przyjęty do realizacji jako strategia kompletna, całościowa, właśnie w 100-lecie zaślubin Polski z morzem.

www.wojciechreszczynski.pl

40/0120/F

Przełom w walce o sądownictwo



Jerzy Jachowicz

Z nieukrywaną satysfakcją nasz tygodnik jako jedyny donosi, że w pierwszy piątek lutego, który w tym roku przypadł na siódmy dzień miesiąca, miała swoje inauguracyjne posiedzenie parlamentarna komisja ds. nowej ustawy o sądownictwie i Sądzie Najwyższym. Nieprzypadkowo podkreślam dokładną datę pierwszego spotkania komisji, gdyż ufam, że jej magiczne znaczenie będzie rzutowało na poziom obrad komisji i jakość merytoryczną projektu ustawy. Przypominam hipnotyczną moc cyfry siedem, przypisanej m.in. latom tłustym i chudym w Egipcie, słynnym antycznym cudom świata czy wreszcie grzechom głównym wpisanym w ludzki świat.

Jeśli mówię o satysfakcji, to dlatego, że duża część opinii publicznej z wielką nieufnością traktowała pomysł stworzenia mieszanego zespołu posłów i senatorów. Także znani powszechnie z prymitywnego krytykanctwa dziennikarze prawicowi w komplecie drwili z możliwości zawarcia sojuszu partii opozycyjnych pozostających ostatnio w napiętych relacjach w obliczu zbliżającej się szybkimi krokami kampanii wyborów prezydenckich. W chórze sceptyków najgłośniej jednak słychać było polityków rządzącego obozu.

Wbrew nieprzychylnym opiniom, dzięki dojrzałości liderów partii opozycyjnych, w tym głównie Roberta Biedronia, udało się sprawnie skompletować komisję. (Robert Biedroń sprawdzał jedynie w CV, czy ktoś z kandydatów do komisji nie brał udziału w pielgrzymkach na Jasną Górę). W wyłonionej według wspomnianych kryteriów komisji zasiada godna reprezentacja Sejmu: Kamila Gasiuk-Pihowicz, Klaudia Jachira, Joanna Scheuring-Wielgus, Joanna Senyszyn, Adam Szłapka, Krzysztof Mieszkowski, Witold Zembaczyński. Skład uzupełniają dwaj senatorowie: Krzysztof Brejza i Stanisław Gawłowski.

Choć pierwsze posiedzenie miało charakter organizacyjny, podjęto ważną decyzję. Nadano przez aklamację imię Fransa Timmermansa jednej z sal Senatu, która, jak przyjęto, będzie stałym miejscem posiedzeń komisji. „Największego obrońcy polskiej praworządności" – jak uzasadniał swój wniosek Adam Szłapka.

Dalsze kroki komisji przedstawimy w jednym z kolejnych numerów tygodnika.

Gdy drzewami wicher miota,
kup Smart Casco na wypadek wgniota
już od 199 zł rocznie!
Sprawdź 22 444 44 44
www.link4.pl lub zapytaj agenta



REKLAMA

SMART CASCO od 199 zł dot. wariantu „Szkoda całkowita, Kradzież i Żywioły". Ubezpieczenie dostępne tylko w pakiecie z OC. Cena zależna od wariantu ubezpieczenia i wartości pojazdu. Szczegóły sprawdź na www.link4.pl

eprasa.pl 4380405d25

LOKAL DLA AWANTURNYCH

„Boży pył codzienności”



Witold Gadowski

Nie znoszę nudziarzy i autorów przewidywalnych w każdym akapicie – do bólu kiszek. Nie oglądam kabaretów, w którym wiem, z czego się będą rechotali, a o czym nabożnie pomilczą. Nie słucham kazań ze sztampowymi chwytami i „bozią”, która nic wspólnego nie ma z Panem Bogiem. Mógłbym tak jeszcze długo wymieniać zjawiska, które przyprawiają mnie o wzruszenie ramionami, rzecz jednak w tym, że wokół wrze niespokojny fascynujący żywioł życia. Tyle się dzieje, tyle skłania do zastanowienia i tylko dyżurne mądrale wciąż klepią to samo z tak samo napuszonymi minami. Znaleziono nawet nowy sposób na zainteresowanie widza tymi kabotyństwami – ot, sadzają ich do samochodu i każą rozmawiać w czasie jazdy. Zwykle sadzają pustostany w rodzaju byłego rockowca, bohomaźnika bawiącego publikę rechotem, aktora, któremu wszystko wyszło... z głowy. Towarzyszą im Sekielskie, Kuźniary, czyli towarzystwo „Ja wam wszystko wyśpiewam, wytańczę. Czy dostanę pomarańczę?”.

Pełno tego ujadania wylewa się z mediów, a świat wcale nie przestał być fascynujący, wcale nie przestał zadawać frapujących pytań. Wystarczy tylko otrząsnąć się z tego sztampowego szlamu i proszę – kilka kroków w bok i można odczuć codzienne opadanie na nas zagadkowego, niewyjaśnionego, subtelnego i prowokującego pyłu, Bożego pyłu. Łapię się na tym, że aby cokolwiek prawdziwie zrozumieć, trzeba się tego pyłu nawdychać. Trzeba zdjąć z twarzy maskę codziennej poprawności i nie bać się tego stanu. Nie jest żadną chorobą, choć roznosi się zarówno w powietrzu, jak i w myśli. Pewnego dnia postanowiłem się tym zachłysnąć i zacząć opisywać świat w stanie kompletnego napylenia. Zaczęły mi wychodzić spod ręki pytania i odpowiedzi, których bym wcześniej nie przeczuwał. Porwałem się na próbę opisu wrzącego świata, za którym na co dzień trudno jest nam nadążyć. Nowe technologie i rodzące się z nich etyczne problemy, nowy feudalizm, czyli epoka, w którą właśnie wkraczamy (feudalizm finansowy). I tak powstał wcale pokaźny tom, który oczywiście nie mógł nosić innego tytułu niż przyczyna jego powstania: „Boży pył codzienności”.

Pomieszałem filozofię, nowe technologie, etykę cyfry i nadchodzącej kwantowości i wyszło z tego pisanie, które obarczyłem własnymi niepokojami i czułym słuchem zbiorowych fobii. Na dodatek doszedłem do wniosku, że sam to wydam i nigdy nie sprzedam do empiku, taka fanaberia. No i jest książka. Kto będzie miał ochotę, łatwo odnajdzie ją w sieci.

Reszta zanurzy się w Remi Mrozie albo Zenku Martini i tak ma być. Wolność.

Regulowanie populacji



Lech Makowiecki

Wojska Czyngis-chana masowo mordowały stawiających opór przeciwników. W efekcie tegoż przerażone okrucieństwem Mongołów miasta poddawały się często bez walki. Z tych samych pobudek niejaki Tamerlan ścinał tysiące bezbronnych jeńców, usypując z ich głów piramidy. Ma swoją ludobójczą kartę Francja (rewolucja, rzeź katolików w Wandei), Turcja (wymordowanie Ormian), Hiszpania (wybijanie w wojnie domowej księży i katolików), Belgia (mało znana masakra milionów mieszkańców Kongo), Wielka Brytania (eksterminacja tubylców w koloniach rozsianych po całym świecie: Indian, Arabów, Murzynów, Hindusów, Chińczyków, Aborygenów).

Niemieckie fabryki śmierci – za sprawą aktywnych żydowskich organizacji upamiętniających zagładę (Holokaust) – są dziś najbardziej rozpoznawalną ikoną ludobójstwa w świecie. Czy największą? Ależ skąd! Prym wiodą tu dyktatury komunistyczne (rosyjska, chińska, również północnokoreańska, kambodżańska i pomniejsze) odpowiedzialne za wymordowanie dziesiątków milionów ludzi, często własnych obywateli! Wielki Głód na Ukrainie pochłonął większą liczbę ofiar niż suma wszystkich Żydów zabitych w „German Death Camps”. Psychopatycznych satrapów ograniczały prozaiczne przeszkody: tępiły się miecze, psuły gilotyny, rozgrzewały pistolety, kończyła amunicja, brakowało specyficznej „kadry” i sprawnej logistyki, czyli tzw. mocy przerobowych.

Zabójcze epidemie dżumy i cholery zwróciły uwagę wojskowych na zalety broni biologicznej. Przypadkiem zawleczona przez konkwistadorów salmonella zmiotła państwo Inków. W XVIII w. Anglicy zlikwidowali plemiona Delaware i Shawnee, podrzucając im zakażone ospą chusteczki i koce. Wirusy, broń chemiczna czy zabójcze fale radiowe mają przyszłość – są tanie i anonimowe. Strona atakowana nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest właśnie eksterminowana. Dlaczego o tym piszę? Bo „elity” zaczynają mówić się o przeludnieniu Ziemi... Bo mają ochotę przy tym majstrować... Bo Wuhan... Bo...

Reklama | 9/0120/F

eprasa.pl 4380405d25

CO MNIE ZASTANAWIA

Pytam: dlaczego?



Katarzyna Łaniewska

Samej sobie zadaję to pytanie, ale i mnie wielokrotnie je zadano: „Dlaczego?”. Co kieruje moimi kolegami po fachu, przeważnie znakomitymi aktorami, że jeżeli nie podoba im się rząd dobrej zmiany, ludzie z partii rządzącej, to wyrażają się o nich w sposób tak mało kulturalny?

Oczywiście żyjemy w państwie demokratycznym (czasami wydaje mi się że aż nadto demokratycznym) i każdy może wyrażać swoją opinię na temat tego, kto i jak rządzi, ale niech to robi w sposób – powiedzmy umownie – kulturalny.

Nie wiem, co się stało z moim środowiskiem, z pewną jego częścią. Użyję tego słowa świadomie: z „kastą”, która znajduje frajdę w tym, by ich wykrzywione twarze ukazały się w spocie: „Nie świruj, idź na wybory”. Spocie obrażającym ludzi, którzy w jakiś sposób są upośledzeni. To było podłe. Już od początku dobrej zmiany zaczęły się wypowiedzi ludzi utalentowanych, którzy na swoje nazwisko zapracowali, którzy mają wielkie osiągnięcia w zawodzie. Wypowiedzi kompromitujące, których można się spodziewać po ludziach spod budki z piwem, chociaż tych budek już nie ma. Ludzie, którzy mi zadają pytania, czy oni to robią dla pieniędzy, sukcesu, że to im się opłaci, odpowiadam: nie sądzę. Mają sukcesy, nikt im nie zabroni dalej występować, nie są im zabierane pieniądze na prowadzenie teatrów – patrz Teatr Powszechny pokazujący klasykę polską w sposób obrażający uczucia ludzi. Nie sądzę, by chodziło o pieniądze, bo osiągnęli już wiele i ciągle są na topie. Dlatego odpowiadam: nie wiem.

Ostatnio poruszyła mnie wypowiedź Mariana Opani, kolegi, z którym byłam kiedyś bardzo blisko – grałam jego matkę i mogę się śmiać, że genów po artystycznej mamie nie odziedziczył. Nawymyślał tym, którzy są po stronie rządu dobrej zmiany, że są „durniami”, „wyrachowanymi łajdakami” i „sprzedawczykami”. Nie poczuwam się do żadnej z tych kategorii i to mnie obraża. Na jakiej podstawie używa takich słów, choć były one dość wyrafinowane w porównaniu z elegancką koleżanką Krystyną Jandą. Dlaczego tak się dzieje?

Przypominam sobie słowa św. Jana Pawła II: artyści dzielą się na postać artystyczną i człowieka (mówiąc w skrócie). My, ludzie kultury, powinniśmy zwrócić uwagę na to, że znakomity artysta powinien się zastanowić, czy jego człowieczeństwo jest adekwatne do tego, czego się spodziewają odbiorcy jego twórczości. Czy aby nie jest dobrym artystą, ale kiepskim człowiekiem. Może w tym tkwi odpowiedź na pytanie: „Dlaczego?”.



KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

kasastefczyka.pl
801 600 100 (koszt wg taryfy operatora)

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł.

Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Konto oznacza rachunek płatniczy. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

eprasa.pl 4380405d25

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Wroński powinien przeporosić



Aleksander Nalaskowski

Standardy dziennikarskie i publicyści „Gazety Wyborczej" to dwa różne światy – światy, które nigdy się nie spotkają. Są jak dwie równoległe proste, które schodzą się dopiero w nieskończoności. Zatem przyjdzie nam jeszcze sporo poczekać. W zasadzie nic w tym codziennym tabloidzie nie powinno już dziwić. Ani teksty, ani zdjęcia, ani ludzie. Dla mnie to symbol balcerowiczowskiej Polski – Polski handlującej z łóżek polowych, sprowadzającej z Zachodu złom samochodowy i prywatyzującej, co się da, aby potem sprzedać Niemcom, Francuzom, Włochom, Holendrom czy komu tam jeszcze. To była Polska krągłych słów, jak okrągły był stół, przy którym ją podzielono. Polska Michnika, któremu swoją pogardę okazał genialny Herbert. To był kraj, który wciąż istnieje w KOD, marszach równości, zastępach Mazgułów i wywiadach „towarzyszki panienki". Polska, która rzutem na taśmę wygenerowała prezydenckie kuriozum o nazwie „Komorowski". I tym wszystkim naraz jest dla mnie właśnie „Gazeta Wyborcza". Zachowała cała podłość chciwej i bezmyślnej, raczkującej III RP.

W Polsce chamstwo nie jest karane. Cham i gbur mogą pozostawać sobą bez ograniczeń. Zapewnia im to konstytucja

Jednym z jej prominentnych „dziennikarzy" jest Paweł Wroński. Przypomnijmy – Kawaler Orderu Odrodzenia Polski (Komorowski) i medalu „Za zasługi dla obronności kraju" (Siemoniak). Tenże osobnik, którego moja współpracownica nazywa „człowiekiem o złej twarzy", dał głos, a właściwie to puścił bąka, który głośno wydostał się z jego spodni. Całkiem niedawno.

Nie korzystałem ani nie korzystam z żadnego medium społecznościowego, bo widzę, że prędzej czy później niemal każdy się tam kompromituje, zamieszcza wpisy po pijaku i po prostu się obnaża. A ja nie mam ochoty biegać z innymi na golasa.

Otóż Wroński w swoim wpisie gdzieś tam napisał, co następuje: „Pani kurator Nowak z Krakowa jest po prostu niedozamasturbowania". Ostatni rzeczownik jest oczywiście pozbawiony jakiegokolwiek sensu, ale od dziennikarzy „GW" najwidoczniej nie wymaga się logiki, a jedynie posłuszeństwa. Może jednak żurnalista by to rozwinął? Zamasturbować na amen, na koniec, na śmierć? I kto ma to zrobić? Wroński ma ochotę? Lubi takie zabawy? Ma wprawę? Ale żarty na bok. Bo oto mamy do czynienia z kolejnym „Gburem Wyborczym", prostakiem i zwykłym chamem, któremu ktoś wmówił, że jest inteligentem, ktoś inny nawpinał orderów. Gazetowy menel odważył się obrzucić sobie właściwym językiem kobietę, wysokiego urzędnika państwowego, nauczycielkę, żonę, matkę i babcię. Nie znam takiego chlewa ani obory, której mieszkańcy przyjęliby go w gościnę. A wieś znam całkiem nieźle.

A teraz cytat: „W mediach społecznościowych symbol biało-czerwonej flagi czy orła to prawie nieomylny znak – że musisz się mieć na baczności. Budzi graniczące z pewnością podejrzenie, że masz do czynienia z osobą wulgarną, agresywną, homofobem, radosnym burakiem". Autor tego fragmentu jest najwidoczniej obrońcą dobrych manier i przeciwnikiem wulgaryzmów oraz buractwa. Ale to Wroński to napisał! Czy kogokolwiek to dziwi? Mnie już zupełnie nie. Takie są elity III RP, ale także i ci, którzy je kształtują. Bliżej im do myślenia, polityki i języka z Sowy i Przyjaciół niż pługowi do skiby. Nie mam wątpliwości, że to w gazecie ów „człowiek o złej twarzy" udaje kogoś, kim tak naprawdę nie jest, bo na Twitterze czy gdzieś tam właśnie uwielbia biegać na golasa, a do tego bliska mu jest masturbacja, co poniekąd sam przyznał.

W Polsce chamstwo nie jest karane. Cham i gbur mogą pozostawać sobą bez ograniczeń. Zapewnia im to konstytucja. I z tego rozmaici Wrońscy, Blumsztajny (słynne „pi**lę, nie rodzę!") korzystają pełnymi garściami. Obrażanie kobiet, a pani kurator Barbara Nowak to prawdziwa dama, nielubianych urzędników, to dla nich chleb z masłem, pikuś i fraszka. Klasyczny damski boks.

Dziwię się tylko, że żaden z kolegów Wrońskiego nie dał mu za to po łapach, nie złajał go, nie kazał przeprosić kuratorki. Może też znają tego sztygara z Mikołowa, który mawiał w takich sytuacjach: „Chama nie wychowasz, tak jak Murzyna nie wybielisz".

A co w tej sytuacji i w ogóle sytuacji zmasowanego ataku i hejtu ze strony „GW" i TVN na kuratorkę z Krakowa zrobili jej partyjni koledzy? Któryś się za nią wstawił, dał popalić łobuzowi, stanął w obronie kobiety? A przecież jak mawia klasyk: „Z głupkami się nie dyskutuje, przed głupkami trzeba się bronić". Bronili? Bronią?

eprasa.pl 4380405d25

PRZEZ ŚWIETLIK

Joker Hołownia

Jakiś czas temu rozmawiałem ze znajomą panią dietetyk o przyczynach ludzkich kłopotów i ta uparcie twierdziła, że najgorszy jest brak nawyków. To nawyki sprawiają, że nasz organizm o regularnych porach dostaje żywność, ta żywność od czasu do czasu się powtarza i tak dalej. Jeśli ktoś – jak ja – jest na bakier z nawykami, funduje swojej wewnętrznej gospodarce kalejdoskop, w którym nigdy nie wiadomo, co się zdarzy. A nasze wnętrzności, psychika zresztą też, tego nie lubią.



Marnie z tym u mnie i trzeba płacić wysoką cenę. Mimo wszystko – jak się okazuje – szkodliwy nieuregulowany tryb życia, który prowadzę, gdzie czasem zdarzy się śniadanie, czasem nie, a obiad może być i o 13.00, i może nie być go wcale, przy wszystkich wadach ma jednak pewną zaletę. Otóż ludzie, którzy mają nadmierną skłonność do ulegania nawykom, mają też często problem z zachowaniami kompulsywnymi, a to już kłopot. Zachowania kompulsywne, jak wszyscy wiemy, to natręctwa nikomu niepotrzebne, czasem w miarę niewinne, czasem szkodliwe, czasem wręcz zabójcze. Może to być nieustanne mycie rąk, szkodliwy dla płuc dymek, a może i być alkohol albo narkotyki. Ja na przykład chodząc ulicą, kompulsywnie zrywam przy okazji listki z drzew i kwiatów, robię to niechcący, mimochodem, mam tak od dziecka. W przypadku niektórych bywa jednak gorzej.

W przypadku ekipy Szymona Hołowni okazało się, że zachowaniem kompulsywnym właśnie jest robienie sobie jaj z ofiar katastrofy smoleńskiej. Oto głośny w zeszłym tygodniu spot: coś tam Hołownia sobie opowiada, o drzewach, o tym, jaka jest dziś polityka, jak on się od niej dystansuje i nagle w tym spocie brzoza i papierowy samolocik. Szymon Hołownia tłumaczył, że w spocie nie wiedział, o co chodzi. Trudno aż takiemu moraliście nie wierzyć.

Tak jest właśnie w przypadku wymuszonego zachowania kompulsywnego, ktoś coś robi z musu i nawet nie wie. Jeden myje ręce, drugi zrywa listki, trzeci obgryza paznokcie, czwarty mówi brzydkie słowo (to chyba też mam). Przepraszam za przekleństwo, a potem znowu mi się zdarza. A brygada TVN, PO i reformowanych katolików wspierających pana Szymona robi sobie jaja z ofiar katastrof i dokucza ich rodzinom. Taki przypadkowy wic, nieuświadomione jaja, przymusowy śmiech, jak u Jokera. Rozumiecie? Bo ja nie.

REKLAMA



71/0120/F

eprasa.pl 4380405d25

Skuteczność i siła



Alina Czerniakowska

Teraz gdy toczy się dyskusja, wręcz walka o sądy w Polsce, wracam często do wypowiedzi Wojciecha Ziembińskiego, człowieka niepodległości, nieugiętego bojownika w walce ze zdrajcami, jak nazywał tych, którzy od wojny przez wszystkie lata PRL i III RP szkodzili dobru Polski. Długo by wymieniać nawet te najważniejsze dokonania Wojciecha Ziembińskiego. Przecież z jego inicjatywy wmurowano wiele tablic pamiątkowych zapomnianym bohaterom w trudnych, nieprzychylnych czasach, na czele z pomnikiem – wagonem krzyży w centrum Warszawy, ku czci Pomordowanych na Wschodzie. Pierwszy organizował i wychodził na czele wszystkich zakazanych manifestacji, 11 listopada czy 3 maja. Po 1989 r. też był niewygodny, bo odważnie nazywał rzeczy po imieniu, wskazywał zdrajców, agentów, którzy nie powinni być we władzach odradzającej się Polski, domagał się głośno „Norymbergi 2" – osądzenia zbrodniarzy komunistycznych, wszelkich tajniaków i donosicieli. Wystarczy sprawdzić, jakie musiał pokonać przeciwności, by w 1997 r. odsłonić wspomniany pomnik – Golgotę Wschodu i wtedy mamy jasność, kto w III RP rządził, jacy ludzie dzielili między siebie majątek narodowy przechwycony po 1989 r. na zasadzie porozumień zawartych przy okrągłym stole.

Wojciech Ziembiński był silny i skuteczny, miał piękną kartę walki z komunizmem, patriotyczny rodowód, wielką wiedzę historyczną i znajomość obecnych realiów, ludzi, faktów – miał wszelkie podstawy, by jasno sprzeciwiać się kłamstwu, złej, szkodliwej polityce w latach 90. (Zmarł w 2001 r., świadomy swojej nieuleczalnej choroby płuc, związanej niewątpliwie z wyczerpującym, nerwowym życiem). Teraz sięgnęłam do nagranego przeze mnie wywiadu z Wojciechem Ziembińskim z 1999 r. Na moje pytanie o możliwości realnej naprawy Polski odpowiedział krótko: „Liczy się skuteczność i siła! Trzeba być twardym, konsekwentnym, dasz palec, wezmą rękę, rozdrapią, rozdzielą między siebie Polskę, wyprzedadzą obcym i koniec, będziemy niewolnikami. Wrogowie zewnętrzni tylko na to czekają i wszystko w tym kierunku robią, by Polska była skłócona, słaba i dlatego podsuwają nam swoich najemników, którzy mienią się obrońcami demokracji". Mówił z naciskiem, że nie należy ulegać presji ich rzekomym dobrym intencjom, hasłom, bo im chodzi tylko o utrzymanie się przy władzy, by mogli robić, co zechcą, kłamać, kraść, układać się ze swoimi mocodawcami w Polsce, Moskwie, Berlinie czy Brukseli.

Dalej pytałam o władzę sądowniczą, cytowałam aktualne wówczas stwierdzenie Adama Strzembosza, sędziego SN, że „sądy same się oczyszczą". „To jest niemożliwe! Sądy polskie trzeba oczyścić z ludzi z tamtych antypolskich układów ubeckich, ich kolejne pokolenia myślą i robią to samo, co ich powojenni dziadkowie i ojcowie. Ich nie może być w polskim wymiarze sprawiedliwości! Trzeba na czystej płaszczyźnie zbudować sądownictwo w Polsce, w oparciu o ludzi nieskazitelnych, spoza tamtych układów. Inaczej będziemy dreptać w kółko, nie będzie naprawy Polski, jakaś kosmetyka zaledwie, a przecież od tego, jakie mamy sądy, zależy funkcjonowanie całego państwa. Niemcy, Czesi odsunęli natychmiast wszystkich sprzed przełomu, a my nie potrafimy!". Na koniec Wojciech Ziembiński zacytował Feliksa Konecznego: „Wynarodowienie jest największą zbrodnią wobec Ojczyzny. (...) Nieuki i nieroby mogą zawsze przywieść kraj do zguby".

Przesłuchując ten wywiad sprzed lat, miałam wrażenie, jakbym dzisiaj rozmawiała, bo tak naprawdę dopiero teraz dokonuje się zmiana systemu, wychodzenie z komunistycznej przeszłości, oczyszczanie i naprawa Polski. Każdy dzień przynosi wiele nowych budujących wiadomości, które wcześniej nie oglądały światła dziennego. Gdy słuchamy wystąpień premiera Mateusza Morawieckiego i innych przedstawicieli rządu Prawa i Sprawiedliwości, widać, jak wielka zmiana nastąpiła w narracji, w dialogu z narodem i – co najważniejsze – za słowami idą czyny. Prezydent Andrzej Duda mówi o „wojsku, którego morale musi być oparte na naszej tysiącletniej tradycji chrześcijańskiej i patriotycznej, bo bez wymiaru duchowego nie istnieje żadna armia". Dzięki wszechstronnym działaniom i dobrej współpracy z Ameryką i prezydentem Donaldem Trumpem wraca do Polski bezpieczeństwo, ale i świadomość historyczna. Powracają żołnierze wyklęci – pamiętamy niedawne poruszające pogrzeby „Łupaszki", „Inki", „Zagończyka" czy powrót do ziemi ojczystej prochów tak wybitnych bohaterów, jak płk Ignacy Matuszewski. O tym wszystkim musimy wiedzieć, aby nie ulegać kłamstwom serwowanym przez wrogów. Musimy znać prawdziwą historię i, jak mówił Wojciech Ziembiński, z dumą przypominać światu o naszym zwycięstwie pod Wiedniem i pod Warszawą, o samotnej walce z dwoma wrogami w 1939 r., znać rozmiar zniszczeń i okrucieństwa niemieckiego i sowieckiego okupanta. Musimy wiedzieć o fenomenie Polskiego Państwa Podziemnego i o walkach po wojnie z ukrytym okupantem komunistycznym. Powtarzać do skutku, że tylko w Polsce za ukrywanie i pomoc Żydom groziła kara śmierci, a mimo to Polska uratowała ich najwięcej.

Na koniec Polska pokazała zniewolonym krajom Europy Środkowo-Wschodniej, że można wroga pokonać, zawołała w swoim hymnie: „Solidarni! Nasz jest ten dzień" i obaliła mur berliński. Musimy być odważni i dumni, bo mamy z czego, a wtedy skutecznie obronimy nasze racje i będziemy silnym, liczącym się państwem w sercu Europy – testament Wojciecha Ziembińskiego okazuje się dziś bardzo aktualny.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Reklama | 72/0120/F

eprasa.pl 4380405d25

1% Wierzymy, że warto pomagać

indywidualnie, **rodzinnie**, **zawsze**

JEDENPROCENT.CARITAS.PL



Przekaż 1% podatku dla Caritas Polska

WPISZ W FORMULARZU PIT NUMER **KRS 0000198645**

Wyjazdy wakacyjne dla dzieci, opieka nad osobami starszymi i samotnymi, świetlice socjoterapeutyczne, noclegownie, punkty żywieniowe, ośrodki rehabilitacyjne czy domy opieki to tylko część działań, które prowadzimy na co dzień.

Więcej informacji, rezultaty działań, formularze w wersji on-line i do pobrania znajdują się na stronie: **jedenprocent.caritas.pl**

caritas

eprasa.pl 4380495d25

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Efekt przełomu

Nawałnica wścieklizny ogarnęła opozycję po podpisie prezydenta

Reforma sądownictwa idzie niemrawo, nawet się wlecze, ale determinacja władzy, by wreszcie wyrwać wymiar sprawiedliwości z popeerelowskiego cienia, jest niezaprzeczalna. I sprawy idą w dobrym kierunku. Potwierdza to reakcja opozycji. Ta zachowuje się jak niesforny bachor. Tupie, wyje, rzuca się na podłogę, bo widzi, że kończy się przyzwolenie na wyrywanie łapki temu misiu.



Ryszard Makowski

W PO powstał duet. Kandydatka na prezydentkę Małgorzata Kidawa-Błońska i nowo wybrany przewodniczący „kręcenia lodów" Borys Budka. Oboje stanęli na wysokości partyjnego zadania, a zarazem przed pałacem prezydenckim, i dawaj dyrdymalić na potęgę. Nurty tego dualistycznego stand-upu były dwa. Pierwszy oklepany: polexit. Trzeba mieć niezłego kręćka, żeby opowiadać, że naprawa sądownictwa stawia nas poza Europą. Na zdrowy rozum, zbliża. Przy okazji ciekawe jest, jakich wielkich interesów strzeże kasta, że pół świata pilnuje, by mogła nadal harcować poza wszelką kontrolą. Drugi argument użyty przez MK-B: „Tylko ze strachu przed prezesem podpisał tak dramatyczną ustawę". To o panu prezydencie. Ważny motyw. Implikując: społeczeństwo jest sterroryzowane przez prezesa. Tylko ze strachu przed nim głosują na PiS. Gdyby ludzie się nie bali, że prezes poszczuje ich kotem, głosowaliby na takie tuzy jak wyżej wymieniony duet.

W polskiej polityce znaleźliśmy się na przedwiośniu. Przełom jest mało atrakcyjny, wkrada się zmęczenie, ale jest konieczny, by nastąpił rozkwit. Cierpliwości.

eprasa.pl 4380405d25

***Zawistowski prezentuje:* Wirus**



Wycinki z przeszłości

W zruszającą notatkę zatytułowaną „Pod sztandarem 1863 r." znajdujemy w „Ilustracyi Polskiej" z 1901 r. Na zdjęciu grupa weteranów, a niżej: „W dniu 28 października 1901 roku w niedzielę, po poświęceniu przez duchownego nowego ich przytuliska, stanęło tych 18 starców w szeregu, pod rozpostartym nad nimi purpurowym sztandarem z Białym Orłem, aby w promieniach południowego słońca utrwalić swe rysy ku wiecznej pamięci młodszych pokoleń".

Autor podkreśla, że 38 lat temu naprzeciwko nich zamiast aparatu stały „wyloty armat zionące kartaczami, roty czerni moskiewskiej i dzikich kozaków". A oni „młodzieńcy pełni życia i nadziei, nie rzadko posiadacze znacznych fortun, nie rzadko będący na drodze do najwspanialszej przyszłości, wyrzekli się tej nadziei i przyszłości, by krwią swą opłacić dług, jakiego zażądała od nich Ojczyzna".

I dalej: „Za to, że w młodości wyrzekli się mienia swego i dobrobytu, za to, że życie swoje poświęcili dla idei niepodległości, za to, że dla tej idei cierpieliście katusze, rany, lody Sybiru i tułaczkę wśród obcych narodów, za to, że przez swój bohaterski poryw zyskaliście dla narodu szacunek świata cywilizowanego, naród czci Was i błogosławi, starcy.

A że będąc narodem ubogim i jeszcze niewolnym, to nie miejcie żalu do nas. I bądźcie przekonani, że ideałów, za które wy walczyliście, myśmy się nie wyrzekli".

Prawda.

(mk)



O starości... na progu nowego roku chwilka

– To fakt, PESEL nie definiuje jej najbardziej
Potencjał ileż jest ważniejszy – z jakim by jeszcze
W drogę?
Ilości sił, zapas paliwa
Ciekawość, co do przodu
Za horyzontem, z boku?
OK. A co tam jeszcze mamy?
Radość, że jeszcze krzesze iskry krzemień
I słychać śpiewającą rybę?

Starość? Ta cicha zgoda
Uśmiech już nie zgorzkniały
– Mam to za sobą
Wszystko już było
Te zbiory, te walizy na peronach
Po co z tym dalej?
– Odechciane wybaczone
– Zapomniane
– Niech tam



Leszek Długosz

A na wypadek marzeń?
W bezsenne noce niedopilnowanych
Jeszcze ta broń, ta na ostatku
Świadomość chłodna
To wszystko płonne
Płonne już
I kiedy jak, ironio chroń, ocalaj
Daruj więc sobie już na dobre
Tę niestosowność takich pragnień
Dystans, dystans wszelaki
Wszelako polecany
Spieszmy się kochać ludzi, z pewnością
Nie mógłby się zdobyć na to sformułowanie
Autor młody
Starość?
– Wolność od tylu piekieł
Namiętności i ambicji
I nawet tych tak zwanych zasad
Ot może jeszcze...
Ta pokusa?
Na końcu, to zawiadomienie
Niechby wypadło powściągliwie
– Ot może i akurat:
– Urodzony
Żył – był
Minął
Ostatecznie – skutecznie

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 4380405d25



OD A DO ZYBERTOWICZA

Technociasnota?

To my, ludzie, mamy się dostosować do niestabilności. Jakby mało nam było uległości wobec pieniądza, mamy jeszcze klękać przed bożkiem techniki!

„Trudno sprawić, żeby człowiek coś zrozumiał, kiedy od niezrozumienia danej kwestii zależy jego pensja".

Jedno zdanie, ale jakiż potencjał socjologicznej analizy! To dzięki temu zdaniu Upton Sinclair, amerykański pisarz żyjący w latach 1878–1968, utkwił mi w pamięci.

Zdanie, które może dotyczyć każdego z nas, przypomniało mi się podczas zorganizowanej przez Politykę Insight konferencji „Ryzyka i trendy 2020". Uczestniczyłem tam w panelu poświęconym nadchodzącym wyborom prezydenckim, ale dziś pożalę się nad innym panelem zatytułowanym: „Czy Europa może jeszcze dołączyć do wyścigu o innowacje".

REGIONALNY DYREKTOR

Panel rozpoczęło interesujące wprowadzenie Arupa Banerjiego, dyrektora Banku Światowego na Unię Europejską, który dynamicznie przedstawił wybrane (te najważniejsze?) wyniki nieopublikowanego jeszcze raportu „Europe 4.0".

Jedna z głównych rekomendacji jego wystąpienia zaleca Europejczykom przyśpieszanie zmiany technologicznej (accelerating technological change).

ŚLEPOTA ŚWIATOWA

Jeśli niczego w dyskusji, która po tym wystąpieniu nastąpiła, nie przegapiłem, to żaden z uczestników panelu (zresztą także i kolejnego, „Przyzwyczajając się do niestabilności") nie dostrzegł nader niepokojącego związku między tempem zmian technologicznych a kryzysem demokracji. Związku między dezorientacją, zagubieniem mas ludzkich oszałamianych nasilającymi się strumieniami bodźców i zmian a podatnością na populizm, na demagogię, na niebezpieczne uproszczenia, diagnozy i idee.

CZYTAJCIE SWÓJ TYGODNIK!

Tymczasem w tygodniku „Polityka", która jest właścicielem Polityki Insight przedstawiającej się jako „pierwsza platforma dla liderów biznesu", można było przeczytać...

W maju 2019 r. główna ekonomistka Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju, Polka, profesor Oxfordu Beata Javorcik, mówiła, że wściekłość ludzi wybierających Trumpa, Salviniego, Orbána, Kaczyńskiego jest także efektem nowych technologii, w części odpowiadających za wzrost nierówności. Że postęp technologiczny przyczynia się do niszczenia demokratycznego konsensu. Że w Banku Światowym „nie myślano o tym, że globalizacja i nowe technologie w niektórych rozwiniętych krajach pogorszą sytuację niektórych grup społecznych".

W sierpniu 2019 r. prof. Siergiej Gurijew (głównym ekonomistą EBOiR był przed Javorcik) twierdził, że „wszystkie problemy składające się na populistyczny kryzys współczesnej demokracji są napędzane przez globalizację i nowe technologie".

W październiku 2019 r. politolog Yascha Mounk, z Johns Hopkins University w USA, pytany o źródła sukcesu „autorytarnych populistów", wskazywał, że „preferencje wyborców często są ignorowane jako nieracjonalne. I to bez specjalnych wyjaśnień. To jest duży problem. Zwłaszcza w kontekście niepokojących ludzi szybkich zmian kulturowych, gospodarczych i technologicznych".

OPLECENI PRZEZ SIEĆ I KASĘ

Polityka Insight zgromadziła na konferencji wielu inteligentnych, wykształconych, dobrze usieciowionych i wysoko opłacanych ludzi, którzy najwyraźniej tego, co przywołani badacze mówili, zupełnie nie dostrzegają.

No właśnie, może to w poziomie usieciowienia i wynagrodzenia jest problem?

Jak biadać na nowoczesne technologie na konferencji sponsorowanej przez Orange, Facebooka i UPC?

Pomińmy teraz złośliwości, nawet najbardziej zasadne. Chodzi o to, że samo postawienie problemu jest tak głęboko błędne, że nie daje szansy na zorientowanie się, dokąd brnie cywilizacja ludzka. Oto nasze myślenie ma się skupiać na poprawianiu warunków dla rozwoju technologii. To my, ludzie, mamy się dostosować do niestabilności. Jakby mało nam było uległości wobec pieniądza, mamy jeszcze klękać przed bożkiem techniki!

Skądinąd to może wydawać się zadziwiające, a przynajmniej powinno być takie dla studenckiej młodzieży ufającej w wolnościowy potencjał demokracji liberalnej. Myśl liberalna i racjonalne instytucje liberalizmu miały gwarantować szerokość społecznych horyzontów. Na razie przyniosły cyfrową formę Ciemnogrodu: technociasnotę!

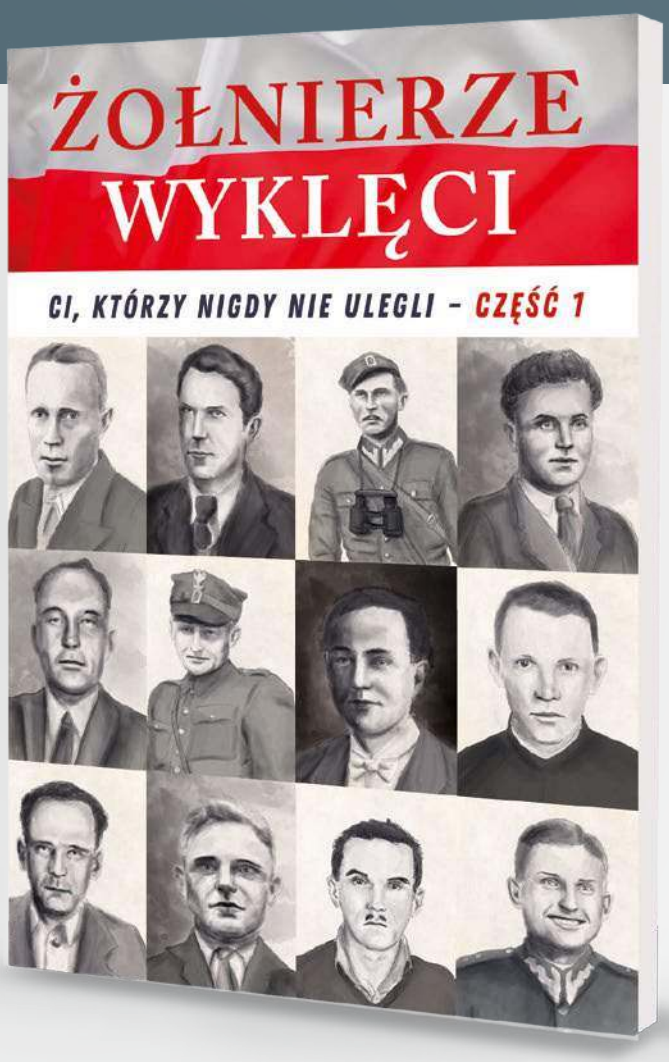
Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 59/0120/F

eprasa.pl 4380405d25

Już 17 lutego z tygodnikiem SIECI

pierwsza książka z cyklu „Żołnierze Wyklęci”



- sylwetki tych, którzy nie ulegli komunistycznemu terrorowi
- bohaterskie czyny, dramatyczne losy, wciąż żywe wspomnienia o Wyklętych



Druga część książki „Żołnierze Wyklęci” ukaże się **2 marca**

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl 4380405d25

Wygraj i odbieraj
600 zł co tydzień przez cały rok



Graj w punktach LOTTO

eprasa.pl 4380405d25